ROZMOWA „DO RZECZY”

Józef Orzeł: Duża część społeczeństwa przestała wierzyć PiS

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 27/432 5–11 LIPCA 2021

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Manipulacje „Wyborczej” w sprawie ks. Godawy – ciąg dalszy

SWÓJ DO SWEGO PO SWOJE – PAMFLET NA ŚRODOWISKO FILMOWCÓW

Gdzie w Europie zaczyna rządzić prawo szariatu

Drugi atak Izraela na Polskę

MINISTER JA’IR LAPID UDERZA W NASZE PAŃSTWO

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 27 >

Nakład: 57,2 tys. egzemplarzy

eprasa.pl/860f4d831b

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER GŁÓWNY PZU

PARTNER Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl a60f4d831b

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Trzeci totalitaryzm

Nie tak dawno moją uwagę przyciągnął pewien tytuł z „Gazety Wyborczej": „PiS – trzeci totalitaryzm po faszyzmie i komunizmie". Cóż, był to jeden z tych upalnych, letnich dni, kiedy to człowiek ledwo żyje i próbuje, jak tylko może, przeżyć nacierające fale gorąca. Nie ukrywam przeto, że zobaczywszy wspomniane słowa, początkowo pomyślałem, że znalazłem się w stanie delirium lub pomroczności jasnej wywołanej nadmiarem wysokiej temperatury. Jednak mara ustąpić nie chciała. Żeby zatem ostatecznie przekonać się, czy mam do czynienia z omamami, czy jednak ktoś naprawdę i na jawie takie tezy głosi, postanowiłem ów tekst przeczytać. Cóż, nazwisko Jacka Żakowskiego, autora tychże refleksji, wskazywało, że jednak to jawa. Tak, publicysta tygodnika „Polityka", co tydzień pisujący w bratniej/siostrzanej „Gazecie Wyborczej", stwierdzał, co następuje: „PiS jest uzależniony od politycznej przemocy. Opozycja jest uzależniona od PiS. My uzależniliśmy się od spektaklu, który tworzą. Wszyscy razem toniemy w mętnej wodzie systemowej destrukcji budującej władzę, która ma być wieczna i wszechogarniająca. […] Twarz zwrotu autorytarnego to Zbigniew Ziobro. Twarz zwrotu totalitarnego to Przemysław Czarnek".

Tak, proszę mi uwierzyć – kto nie wierzy, niech sam sprawdzi – że to wszystko naprawdę wypisuje guru „Polityki" i „Wyborczej". Nie koniec na tym. Otóż znany publicysta dowodzi, że świat demokratyczny nie umie sobie poradzić z dokonującym się w Polsce zamachem totalitarnym. Ten bowiem pełza i pełza bez końca, swym paraliżującym jadem unieruchamiając ośrodki zdrowego oporu. Wprawdzie Żakowski dostrzega pewne sukcesy w walce o demokrację, ale nic nie może „zatrzymać kolejnych kroków prowadzonego przez Piotra Glińskiego miękkiego totalitarnego zwrotu, gdy PiS przejmował i upartyjniał kulturę – muzea, galerie, teatry, produkcję filmową, festiwale. Pod wodzą Czarnka ten zwrot się radykalizuje". Radykalizacja totalitarnego zwrotu od Glińskiego do Czarnka to prawie jak opis dojścia do władzy Stalina. A może Hitlera?

Uwaga, proszę o zachowanie spokoju. Przypominam, że to jest refleksja ważnego publicysty ważnego tygodnika, ogłoszona w ważnym dzienniku, na tyle ważnych, że poważanych i traktowanych poważnie. Nie, to nie kabaret. Okazuje się mianowicie, że Zachód (a jakże, demokratyczny) nie miał prawnych narzędzi, żeby zahamować proces totalitaryzmu w Polsce. Co więcej, Polakom totalitaryzm też niespecjalnie przeszkadza (tylko brak aborcji im zaczął doskwierać) i to „zachęciło PiS, by zradykalizować zwrot totalitarny". Zaraz, zaraz, jak to, ktoś się zapyta, to co tu jest przyczyną, a co skutkiem? Spieszę z odpowiedzią: PiS ustępuje pod presją międzynarodową z budowy państwa autorytarnego i dlatego (sic!) „Czarnek został ministrem" i może wprowadzić totalitaryzm. Naprawdę publicysta „Polityki" to wypisuje!

Podsumujmy: w Polsce autorytaryzm próbował budować Ziobro, powstrzymał go demokratyczny Zachód, jednocześnie nie zauważając, że podstępnie totalitaryzm wprowadza Gliński. Kiedy PiS się spostrzegł, że totalitaryzm cieszy się uznaniem, to go zradykalizował i znalazł Czarnka. A teraz morał: „W Polsce ćwiczyliśmy dwa totalitaryzmy: faszystowski i komunistyczny. Teraz wyłania się trzeci".

Zdarzają się ludziom gorsze dni, nie przeczę. Wspomniałem już, jak wielki wpływ na naszą umysłowość może mieć banalny fakt upałów. Jednak w tym przypadku Jacek Żakowski nie tylko napisał to, co napisał, lecz także redaktor „GW" ów tekst do druku dopuścił i – co jeszcze bardziej niezwykłe – ukazał się on pod rzeczonym tytułem. Pomijam kwestię stylu, de gustibus non est disputandum, ale zawartość? Przecież to jest refleksja na poziomie jakiegoś oszalałego kodziarza, to są myśli, które nie zasługują nie tylko na ich przedstawienie, lecz także nawet na pomyślenie w głowie. Przykład to łamania wszelkich reguł logiki i rozsądku.

Co to, u licha, znaczy, że „w Polsce ćwiczyliśmy totalitaryzm faszystowski"? Początkowo myślałem, że chodzi o okupację Hitlera. Ale może autor ma na myśli rządy sanacji? Tych jednak do tej pory nikt po prostu faszyzmem i totalitaryzmem nie nazywał. Podobnie w jakim sensie „ćwiczyliśmy totalitaryzm komunistyczny"? Że to my, Polacy, go wprowadziliśmy? A może my z nim się zmagaliśmy? Lecz najważniejsze: jak, u licha, można zestawiać z totalitaryzmem, który ma na koncie masowe morderstwa i ludobójstwo, „trzeci totalitaryzm", PiS-owski? No po prostu jak można takie rzeczy wypisywać i potem najzwyczajniej w świecie patrzeć na swoją twarz w lustrze? I jak coś takiego można publikować i uznawać, że to normalne? Brak zimnej wody tego nie wytłumaczy. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl a60f4d831b

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ŻYDZI – POLACY: KOLEJNA BITWA WIECZNEJ WOJNY
Atak Izraela na Polskę

18 PIOTR WŁOCZYK
SZWAJCARSKA LEKCJA

KRAJ

20 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
PRYWATYZACJA PARTII SZKODZI PIS
Czy Zjednoczona Prawica odda władzę?

24 ROZMOWA Z PROF. ZBIGNIEWEM GIRZYŃSKIM
SANITARYZM MA LEWICOWE OBLICZE

26 MACIEJ PIECZYŃSKI
TAJEMNICZA GRUPA C19

28 OLIVIER BAULT
ANATOMIA MANIPULACJI

32 TOMASZ ROWIŃSKI
JAŚ KAPELA – DIABOLICZNY JURODIWYJ

34 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
PIERWSZE NIEPOKOJĄCE SYGNAŁY

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
CENZURA OSIĄGNIĘĆ

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ZAKUPY DLA POTRZEBUJĄCYCH

KULTURA

40 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
ORŁY I ORZEŁKI
Nagrody filmowe

42 PIOTR GOCIEK
MROCZNE SKRZYŻOWANIE

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
MSZA WSZECH CZASÓW PRZETRWA
Franciszek ograniczy ryt trydencki?

52 JAN FIEDORCZUK
CAR ZŁY, BOJARZY JESZCZE GORSI

HISTORIA

54 PIOTR LITKA
NIEZNANY RAPORT Z JEDWABNEGO
Badania archeologów i sprawozdanie antropologów

58 ROZMOWA Z MONIKĄ LUFT
CZYSTA KREW I BRUDNE CZYNY

ŚWIAT

60 ŁUKASZ WARZECHA
NIEMCY 2021
Przetasowanie, a nie przewrót

62 TERESA STYLIŃSKA
SZARIAT NA POLETKU DOŚWIADCZALNYM

EKONOMIA

66 ROZMOWA Z ANDRZEJEM SADOWSKIM
CZAS TO PIENIĄDZ, KTÓREGO NIE MAMY
Potrzebna jest druga transformacja – polskiego państwa

68 JACEK PRZYBYLSKI
PRACOWNICY PILNIE POSZUKIWANI

70 ANDRZEJ SOLECKI
WĘGLOWY ZIELONY ŁAD

„DO RZECZY" NA WAKACJE

74 JACEK KOMUDA
GNIEW HUSARII
10 najwspanialszych zamków Polski

76 RADOSŁAW WOJTAS
ŻYCIE USŁANE ZIOŁAMI

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (57), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (72), KARWELIS (79), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl a60f4d831b

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **POOL/REUTERS/FORUM**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, p.pech@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 57,2 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za Wasze listy. Przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i zapraszamy do dyskusji.

Felietony Piotra Semki

Szanowni Państwo,
jestem czytelniczką Państwa tygodnika od początku (a nawet wcześniej – zaczytywałam się w „Uważam Rze"). Zawsze z prawdziwą przyjemnością szukałam felietonów i artykułów Pana Piotra Semki. Cenię Go za przenikliwe spojrzenie na rzeczywistość, za próbę zrozumienia i wyjaśnienia nam, czytelnikom, złożoności i czasami kontrowersyjności świata polityki i historii.

Choroba Pana Piotra spowodowała, że nie jest możliwe obcowanie z Jego słowem na bieżąco. Tym bardziej jestem wdzięczna za Jego obecność na łamach tygodnika. Z jednej strony przypominają Państwo fragmenty Jego książki „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956", z drugiej publikują wywiad przypominający Jego młodość i działalność opozycyjną w czasach komunizmu. Cieszy mnie, kiedy co tydzień mogę wracać do rzeczy i spraw poruszonych przez Pana Semkę.

Jestem pełna uznania dla koleżeńskości i solidarności Zespołu Redakcyjnego. Bardzo Państwu dziękuję, że starają się Państwo, aby w tym trudnym dla Pana Piotra czasie czytelnicy o Nim nie zapomnieli, a młodsi mogli poznać Jego rzetelność dziennikarską i wiedzę historyczną. Jeszcze raz bardzo Państwu dziękuję za tę postawę, rzadko spotykaną w obecnych czasach.

Anna Jakubik

Wołanie o pomoc

Panie Redaktorze,
w jednym z tegorocznych numerów tygodnika „Do Rzeczy" przeczytałem artykuł, którego autor polemizował z tezami zachodnich wojennych przywódców twierdzących o rzekomym braku możliwości pomocy dla mordowanej w Auschwitz ludności żydowskiej. [...]

Mieszkam od urodzenia w Żywcu i w 1944 r. widziałem wraz z rodziną i sąsiadami co najmniej dwukrotnie eskadry lotnictwa naszych aliantów lecące nad naszym miastem od południa, pewnie z wyzwolonych już południowych Włoch. Eskadry, w liczbie może 50, może 80 samolotów, przemieszczały się nad naszym miastem bez żadnych przeszkód ze strony Niemców. Gdy zniknęły za północnym horyzontem, dochodził do nas odgłos potężnych bombardowań. Bombardowane były zakłady chemiczne w Oświęcimiu w pobliżu niemieckiego obozu zagłady. Lotnicy musieli widzieć pod sobą dymiące krematoria, czynne komory gazowe, pociągi, w których kolaborujące z Niemcami rządy Francji, Belgii, Holandii wysyłały swoich żydowskich obywateli wprost do tych komór. [...] Nasi alianci mieli wówczas dokładne plany i rysunki obozu wysłane z wnętrza obozu przez „ochotnika" rotmistrza Pileckiego. Premier Churchill nie reagował na wcześniejsze apele Sikorskiego, twierdząc, że dla niego ważne są tylko cele wojenne. [...]

Nie wierzono naszym meldunkom o rozmiarach Zagłady być może dlatego, bo tak było wygodnie. Ponadto w USA panowały wtedy nastroje antyżydowskie, a zbliżały się wybory. Nasze wołania o pomoc dla Żydów zostały bez echa. Po wojnie nasze meldunki okazały się prawdziwe i wtedy zaczęto szukać winnych braku pomocy. Zostaliśmy najlepszym do tego kandydatem, bo nie było nam dane pisać własnej wersji historii wojennej – zaczęli ją pisać za nas nasi niedawni okupanci i niechciani opiekunowie: ci z Zachodu nazywając swoje obozy w okupowanej Polsce „polskimi obozami", a swoich żołnierzy eskortujących nasze dziewczyny na egzekucję jako idących na randki, ci ze Wschodu zaś – organizując w Polsce pogromy Żydów pod naszym szyldem (vide: pogrom kielecki). Wszak musieli jakoś uzasadnić swoją opiekę. Przekaz z Zachodu okazał się tak skuteczny, że jeden z następców Roosevelta, Obama, był przekonany, iż Auschwitz to polski obóz [...].

Witold Ryczkiewicz, Żywiec

eprasa.pl a60f4d831b

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Problem WiN

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Podstawową organizacją oporu niepodległościowego po wojnie był Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji „Wolność i Niezawisłość". Powstał 2 września 1945 r. na warszawskim Żoliborzu, powołany przez grupę oficerów dawnej Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj pod przewodnictwem płk. Jana Rzepeckiego. Jego zastępcą został płk Jan Bokszczanin, a szefami trzech okręgów WiN zostali: na Obszar Centralny – ppłk Józef Rybicki „Maciej", na Obszar Południowy – płk Antoni Sanojca „Cis" i wreszcie na Obszar Zachodni – płk Jan Szczurek-Cergowski „Sławbor".

Wszyscy dowódcy przeszli wojnę jako wyżsi oficerowie Armii Krajowej. Założenie WiN było reakcją na apel o ujawnienie się szefa Obszaru Centralnego DSZ płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława". Od początku problemem WiN było psychiczne rozedrganie jego przywódców. […] Rzepecki już w latach1943–1944, gdy był szefem Biura Informacji i Propagandy Armii Krajowej, zaczął głosić, że polityka rządu w Londynie się skompromitowała i trzeba zdecydować się na jakąś formę rozmawiania z Sowietami. Dochodziły do tego wynikająca z jego lewicowych poglądów wręcz obsesyjna niechęć do NSZ i ciągłe obawy, że AK i jej następcy zostaną zdominowani przez obóz narodowy.

Z tej perspektywy można dziwić się, że Rzepecki tak długo trwał na kolejnych stanowiskach w AK, organizacji „Nie" i wreszcie w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj. Powstaje pytanie, dlaczego Rzepecki podjął się organizowania nowego ruchu oporu. Kluczem do wyjaśnienia tej zagadki było specyficznie rozumiane poczucie odpowiedzialności za podległych sobie ludzi. Rzepecki uważał, że ma prawo do politycznych kroków, które prędzej czy później „rozładują lasy" i zalegalizują podległych mu podwładnych. Ta w swej istocie bezrefleksyjna wiara w obowiązek „wyciągnięcia" chłopców z powojennego potrzasku zakończyła się tragicznie. Snuto, jak się okazało po czasie, dość idealistyczne przekonanie, że WiN ma być organizacją polityczno-cywilną ukierunkowaną na przygotowanie społeczeństwa do pierwszych wyborów i niepowiązaną formalnie z rządem emigracyjnym i Naczelnym Wodzem w Londynie.

Wydana 9 września 1945 r. deklaracja WiN „O wolność obywatela i niezawisłość państwa" przypominała bardziej program partii politycznej niż przewodni dokument organizacji, która miała być następcą Armii Krajowej. Oczywiście dowódcy WiN na czele z Rzepeckim deklarowali, że możliwe będą akcje zbrojne, ale miały być one ograniczone do minimum. Teoretycznie WiN posiadał jeszcze całkiem sporą miejską strukturę konspiracyjną z wieloma różnymi komórkami, jak zespoły legalizacyjne, radiostacje czy nabierająca wagi placówka nadzoru kurierskiego […]. Jednak te komórki zaczynały się powoli pruć. Okazywało się, że ludzie, którzy pięć lat niemieckiej okupacji przeżywali w niezwykłym naprężeniu psychiki, nawet jeśli rozumowo dostrzegali fakt zastąpienia jednego okupanta przez drugiego, to nie potrafili obronić się przed zmęczeniem. ©℗

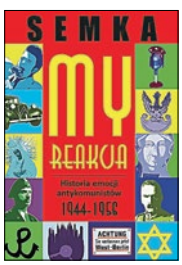

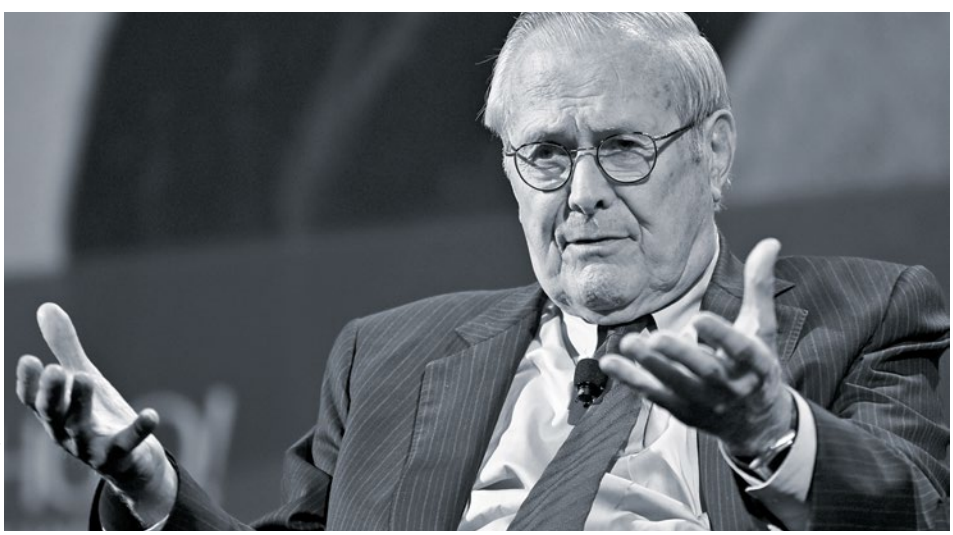

FOT. BRYAN BEDDER/GETTY IMAGES

DONALD RUMSFELD NIE ŻYJE

W wieku 88 lat zmarł w zeszłym tygodniu były minister obrony USA Donald Rumsfeld. Na przełomie XX i XXI w. uchodził za jedną z najbardziej wpływowych osób w Waszyngtonie. Do polityki trafił na początku lat 60., gdy został kongresmenem ze stanu Illinois Był członkiem administracji prezydentów Geralda Forda – będąc wówczas najmłodszym sekretarzem obrony w historii Pentagonu – oraz George'a W. Busha (już jako jeden z najstarszych szefów Pentagonu). To on był też architektem amerykańskiej inwazji na Irak i Afganistan. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Prawo do p.....nia

Polska trendsetterem narodów, powtarzam często. Wbrew potocznemu stereotypowi to nie my kopiujemy Zachód, to Zachód powtarza z pewnym opóźnieniem tutejsze aberracje. Na przykład reakcje amerykańskich „elit" na sukces wyborczy Donalda Trumpa były identyczne, jak kilka lat wcześniejsze reakcje salonów w Polsce na podwójne zwycięstwo PiS. Teraz zaś do Ameryki dotarły polityczne schamienie i lempartyzm.

American Civil Liberties Union, organizacja licząca sobie już ponad sto lat i mająca poważne miejsce w amerykańskiej historii – zwłaszcza w kampanii o równouprawnienie kolorowych i Żydów w latach 60. i 70. – dziś zachęca do wzięcia udziału w „Fuck Everything Weekend". Jeśli ktoś jest zainteresowany – informuję, że „tydzień p.....ć wszystko" zaczyna się 12 lipca. Ma on służyć uczczeniu dwojga męczenników „praw obywatelskich", którzy dzięki wsparciu ACLU wygrali właśnie sprawę sądową przeciwko swojej szkole.

Konkretnie chodzi o dwoje 14-latków, zawodnika i cheerleaderkę szkolnej drużyny sportowej, którzy wymieniali się na Snapchacie uwagami, że p.....ą tę drużynę i całą szkołę. Za karę szkoła zawiesiła ich na rok w prawach członków drużyny. Tę właśnie decyzję zaskarżyli z pomocą obrońców praw obywatelskich do sądu, uzyskując wyrok nakazujący przywrócenie im pełnych praw zawodnika i cheerleaderki. Sąd uznał, że karanie nastolatków za to, co powiedzieli o szkole poza szkołą, narusza Pierwszą Poprawkę do Konstytucji USA, i orzekł jak wyżej. Gdyby małolaty bluzgały, będąc w szkole, mogłyby zostać ukarane, ale poza nią – nie.

ACLU uczciła swój sukces wypuszczeniem koszulek z napisem: „P.....l szkołę, softball, doping i wszystko!". To właśnie ich promocyjna sprzedaż jest atrakcją wspomnianego weekendu.

Przypomnę: mówimy o organizacji, która pół wieku temu zajmowała się wspieraniem Martina Luthera Kinga, walką z segregacją rasową, z numerus clausus dla Żydów na amerykańskich uczelniach czy z ograniczeniami w zatrudnianiu ich w instytucjach publicznych.

Cóż, jakie czasy, takie „prawa obywatelskie" i taka odwaga w walce o nie.

Ale Ameryki szkoda… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Biedny Cat

W swej ostatniej wydanej za życia książce, „Europa in flagranti", Stanisław Mackiewicz pisze między innymi o Aleksym Suworinie, wydawcy, krytyku, obrońcy rosyjskiej autokracji. Suworin dla Cata był personifikacją dekadencji, która strawiła Rosję za panowania Mikołaja II. Nie był oportunistą, był człowiekiem niezależnym, jednak „pisał zupełnie co innego w swoich artykułach w »Nowoje Wriemia«, a zupełnie co innego w swoim »Dzienniku« […], w swoje artykuły wierzył i nie wierzył, pisał je w dzień, przeinaczał w nocy".

Przypomniał mi się ten fragment „Europy in flagranti", gdy czytałem „Odsłony Cata", świetnie zredagowany przez Kartę „dziennik epistolarny", ułożony chronologicznie zbiór powojennych listów Mackiewicza do przyjaciół i znajomych. Listy te to poruszający zapis emigracyjnej niedoli, zmagania się z poczuciem bezsensu, z przekonaniem, że życie toczy się gdzie indziej. W tym żadnego oportunizmu nie było. Choć Stanisław Mackiewicz wrócił do kraju dopiero w roku 1956, to już na początku 1947 r. – niczym Doboszyński – pisał we „Lwowie i Wilnie", że „przy całym swoim antysowietyzmie" gotów jest jechać „do Warszawy, by tam walczyć z próbami tworzenia nowej Armii Krajowej, nowego rządu podziemnego finansowanego przez Amerykę, nowych powstań Wilna i Warszawy […]. Dość tego!". To, co natomiast szokuje jednych, a sprawia złośliwą satysfakcję innym, to dziecinna pornografia zawarta w listach do Michała Pawlikowskiego, niegasnące, wręcz nasilające się obsesje starzejącego się pisarza.

W przededniu wojny w „Książce moich rozczarowań" Cat ubolewał, że nie stworzył wielkiego monarchistycznego ruchu w Polsce. Wiele lat potem w jednym ze swych listów, nawiązując do tytułu książki Pawlikowskiego „Wojna i sezon", pisał, że może II Rzeczpospolita była tylko piękną przygodą. „Odsłony Cata" to smutny, ale ważny dokument deficytów moralnej powagi, której nieraz w czasie tej przygody zabrakło. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zniewolonych umysłach

Tydzień temu pisałem, że brytyjski Hindus otworzył nowy kulinarny front wojny z rasizmem, bo zdiagnozował rasistowskie pochodzenie amerykańskiej szarlotki. Byłem w błędzie. Wykształcony w Oksfordzie Raj Patel, choć błysnął kretyństwem oślepiającym, błyszczał światłem odbitym.

Wyprzedziła go amerykańska profesor prawa Mathilde Cohen z University of Connecticut. Uczona dama niedawno wzięła udział (zdalny) w konferencji naukowej w Paryżu i wywiodła, że cała kuchnia francuska i nawyki żywnościowe Francuzów są rasistowskie, poczynając już od białej zastawy, a przy okazji emanują z nich uprzedzenia klasowe. Ubolewała, że we Francji chrześcijańskie i „białe" standardy kulinarne przyczyniają się do marginalizacji mniejszości rasowych i etnicznych.

Naturalnie występ wywołał furorę w europejskich mediach. Jedni myśleli, że to żart, inni – że kobieta zwariowała, a jeszcze inni, że może co złego zjadła we francuskiej restauracji. Niestety, jak sprawdziłem, paryski występ niewiasty nie był efektem chwilowej dysfunkcji organu intelektualnego. Był streszczeniem jej pracy naukowej „Białość francuskiej kuchni: prawo, rasa i kultura żywieniowa we Francji", która ukazała się już w kwietniu, i to nie w prima aprilis. Jest w Internecie. 41 bitych stron okrutnych bredni, niepopartych niczym hipotez i teorii w nieznośnym sosie żargonu socjologów. Wiele wywodów kłóci się z elementarnymi podstawami logiki.

Ale pal diabli stukniętą niewiastę. Praca ukazała się w periodyku „French Politics, Culture & Society", związanym z Instytutem Studiów Francuskich Uniwersytetu Nowojorskiego i Centrum Studiów Europejskich słynnego Harvardu, a więc wiodących amerykańskich uczelni o ogromnym prestiżu na całym świecie. Redaktorem naczelnym jest prof. Edward Berenson, wybitny znawca Francji, nagrodzony przez prezydenta Chiraca orderem zasługi.

Trudno uniknąć podejrzeń, że tekst pani Cohen opisuje nie Francję, a przerażający stan umysłu postępowych, zaczadzonych ideologią amerykańskich elit. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Piłka i zemsta

Niech tylko Państwo sobie nie myślą, że piłka nożna to sport. Piłka nożna to między innymi sport, ja się zgadzam. Ale przecież piłka nożna, proszę Państwa, to jest polityka, to jest namiętność, to jest wreszcie Katullusowskie „Odi et amo", „Nienawidzę i kocham". Swoją drogą mało kto wie, że pochodzący z Werony Katullus był kibicem Hellasu Verona, mistrza Włoch w sezonie 1984/1985. Oczywiście zawsze znajdzie się jakiś mędrek, który powie, że Katullus nie mógł być kibicem Hellasu, bo klub został założony w 1903 r., a Katullus zmarł w I w. p.n.e. Jakie znaczenie te kilkanaście wieków może mieć dla nieśmiertelnego poety, dla jego sportowych namiętności?

Ale, ale, bo się tu rozpisałem. Wróćmy do Twittera. Polski polityk Jacek Protasiewicz z okazji wygranej Anglii z Niemcami na Euro 2020 napisał: „Za chamstwo mundurowych we Frankfurcie niech dziewczynka płacze. Za kłamstwo o heilowaniu – niech cierpią... nie zasługują na mistrza Europy, bo nigdy nimi nie byli. Powiem, tak jak kiedyś usłyszałem: RAUS!". W ten sposób nawiązał do dość głośnego w swoim czasie incydentu na niemieckim lotnisku, na którym miał być pod delikatnym wpływem i wdać się w daleko idącą dyskusję z niemieckimi gliniarzami. Z ich ust miał też usłyszeć „Raus", co dla Polaka wiąże się jednak z historią. W każdym razie wywołał burzę pan Protasiewicz i to bynajmniej nie sportową. Komentarze śmigały jak noże w ciemności. Duża część polskiego TT cieszyła się panem Jackiem sercami, niemniej były także głosy krytyczne. Na przykład pewna pani imputowała na TT: „Panie Jacku, jest tam z Panem jakiś dorosły? Proszę oddać komuś dorosłemu telefon, kluczyki i położyć się spać. A jutro przeprosić za te durnoty". Lecz dziennikarz Marcin Torz wyraźnie zaznaczył swoje stanowisko: „Ja tam jestem za Jackiem Protasiewiczem. Pamiętam, jak wtedy wymądrzano się, że »raus«, które usłyszał od Niemców, to uprzejme »proszę odejść«, a nie żadne »wynocha«. Jakby mi tak Niemiec powiedział, to też bym się wkurzył". Pan Jacek z niczego się nie wycofywał, nikogo nie przepraszał. Twardo stał na swoim stanowisku. Z tych wpisów zrobiła się prawdziwa wojna polsko-niemiecko-angielska. Trenera Niemców, znanego z – przepraszam – zjadania kulek, oćwiczono potwornie, bo znowu go przyłapano na degustacji, niestety. Tak czy siak cieszę się, że zgodzili się Państwo z moją obserwacją, że piłka nożna to jednak w jakiejś cząsteczce sport. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl a60f4d831b

dwaj panowie g

Zmiany, zmiany, zmiany. Rekonstrukcja to jedno z naszych ulubionych słów. Jak donoszą wiewiórki, po kongresie PiS przyjdzie nowe otwarcie. Ze stanowiskiem marszałka Sejmu ma się pożegnać Elżbieta Witek. Miałby ją zastąpić Marek Kuchciński, co nie wszystkim się podoba. Witek miałaby, zdaniem wiewiórek, zostać szefem MSWiA, które zostanie opuszczone przez Maria Kamińskiego. Co dalej z Krwawym Mariem? Na razie nie wiadomo.

Kolejnym resortem, który czeka wstrząs, jest obrona narodowa. Nie oznacza to jednak zmiany ministra. Chodzi o to, że niedawno prokuratura zatrzymała, a sąd aresztował pewnego pułkownika z Krakowa. Postawiono mu zarzuty korupcyjne. W miarę postępu śledztwa okazuje się, że korupcja sięga wyżej i dotyczy generałów. Błaszczak zapowiedział, że cackać się z łapówkarzami nie zamierza. Będzie więc bolało.

Nieprawdą są natomiast plotki o rychłym powrocie do rządu Jadwigi Emilewicz. Wedle wiewiórek wciąż ma być trzymana na dystans. Przynajmniej do końca roku. Natomiast możliwe, że zamiast do polityki, pójdzie sprawdzić się w biznesie. Słyszeliśmy, że mogłaby być wice-Obajtkiem.

Apropos zmian – usłyszeliśmy przed kongresem PiS, że nowości będzie tak wiele, iż aby nie mącić ludziom w głowach, sprawa awansu premiera Mateusza na wiceprezesa PiS zostanie ominięta. Czy tak się stało, to już pewnie wiecie sami, my wysyłaliśmy gazetę do drukarni w piątek. Ale jeśli do tego doszło, to opóźnienie jest chwilowe. Awans premiera Mateusza miał w tym wariancie zostać ogłoszony kilka dni po kongresie.

Afera ziemiańska, o której wspomnieliśmy tydzień temu, zatacza coraz szersze kręgi. Po Sobańskich, Zamoyskich i Lubomirskich, o których pisaliśmy w ubiegłym tygodniu, pojawiają się nowe nazwiska – Czartoryscy, Przeździeccy, Belina-Brzozowscy i uwaga – Burbonowie. Tak z tych Burbonów. Przypomnijmy, chodzi o sprawdzanie przez CBA, czy aby nie używali lewych testamentów, żeby sobie to i owo poodzyskiwać.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Sprawa ma też nieoczekiwany wymiar polityczny. Kilka miesięcy temu przedstawiciele jednego z arystokratycznych rodów mocno starali się o audiencję u szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. Chcieli go przekonać do zwrotu w prywatne ręce pewnego bardzo znanego pałacu z pięknym parkiem, obecnie służącego jako muzeum. Kaczyński SWP nie miał jednak zamiaru o tym rozmawiać. Ten to ma nosa!

Jeśli już jesteśmy przy Czartoryskich. Jeden z osobników noszących to nazwisko wystąpił ostatnio z klubu PiS. Arkadiusz ma na imię. Sprawa ma drugie dno. Facet od dłuższego czasu jest przedmiotem zainteresowania CBA i prokuratury w związku z różnymi historiami w elektrowni w Ostrołęce i w wojsku. Wiewiórki twierdzą, że wniosek o uchylenie immunitetu jest tylko kwestią czasu. Zawsze lepiej w takiej sytuacji twierdzić, że jest się prześladowanym opozycjonistą.

Musimy jeszcze wyjaśnić jedną rzecz. Otóż Czartoryski ma tyle wspólnego ze słynnym rodem magnackim, ile my z ruskimi kniaziami. Jeszcze niedawno przodkowie posła pisali się Czartoryjscy. Wywodzą się bowiem nie z Puław, lecz z kurpiowskiej wioski o wdzięcznej nazwie Czartoria.

Ustawa o odbudowie Pałacu Saskiego jest już prawie gotowa. Niebawem zostanie ogłoszone, że nowym gospodarnym Sasem w Warszawie będzie nie kto inny, jak sam wicepremier Piotr Gliński. Tym samym odbudowany gmach wróci do swoich pierwotnych funkcji związanych z kulturą. U zarania dziejów miał wszak salę teatralną, a potem mieszkali tam państwo Chopinowie. Ploteczki zaś, że Saski – jak przed wojną – miałby być siedzibą Sztabu Generalnego, należy między bajki włożyć.

Między bajki włożyć należy także opowieści o przyspieszonych wyborach. Szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński wszystkim współpracownikom zdążył już opowiedzieć, że lekcję z roku 2007 odrobił bardzo sumiennie i ryzykował nie będzie. A większość sejmową potrafi – jak ostatnio pokazał – łatać w wielkim stylu.

Tymczasem opresja PiS narasta. Ofiarą znów stała się Bogu ducha winna Eine Totalopposition, która chciała spokojnie obejrzeć mecz Polaków ze Szwecją, ale nie mogła. Wszystko przez wieczorne głosowanie nad odwołaniem Ryszarda Terleckiego i paru ministrów. „A już mieliśmy razem w gronie klubu parlamentarnego oglądać transmisję" – żalił nam się pewien wpływowy platformers. Ehm, zauważamy nieśmiało, że przecież sami platformersi te wnioski najpierw złożyli…

Wszystkich rozczarowanych faktem, że w niniejszym wydaniu rubryki nie piszemy nic o powrocie Tuska, uświadamiamy – ta rubryka jest od tego, żeby w niej pisać o rzeczach ważnych oraz o rzeczach zabawnych. Donald nie kwalifikuje się już do żadnej z tych kategorii.

Zabawne jest natomiast wszystko to, co dzieje się w samej PeŁo przy okazji kwestii Tuska. Zabawne i znane z historii. Zjawisko to zwie się totentanz albo danse macabre. Przyjrzyjcie się uważnie: Rafcio, Borysław i Donald nawet wyglądają jak te tańczące szkieleciki. Mówi się, że z każdym przeżytym dniem podróżujemy w przyszłość. Cóż, PeŁo odwrotnie – z każdym kolejnym dniem coraz bardziej wędruje w przeszłość. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

FOT. PAWEŁ GROMADA

KELNERKA W SHOW-BIZNESIE

Skandal w polskim show-biznesie! Celebrytka i influencerka pracuje jako kelnerka! Chodzi o Dominikę Zasiewską, najbardziej znaną ze wszystkich pań podających gościom wodę w programie Kuby Wojewódzkiego. Po odejściu z programu Zasiewska została instagramerką i celebrytką. Chętnie dzieli się zdjęciami i relacjami ze swojego modnego i luksusowego życia. Tymczasem okazało się, że pracuje jako kelnerka w jednej z restauracji. Fani zarzucili jej hipokryzję, a ona postanowiła się im wytłumaczyć.

– Dotarła do mnie taka trochę fala zarzutów, że na Instagramie się lansuję, a tak naprawdę jestem kelnerką i to ukrywam, i szara rzeczywistość. Kochani, to nie jest szara rzeczywistość, to jest jedna z najfajniejszych prac w moim życiu! – stwierdziła Dominika. – Wróciłam do gastronomii chyba miesiąc temu, ale ja nie ukrywam tego, że jestem kelnerką. Mało tego, ja chyba jestem jedną z najlepszych kelnerek w tym mieście! – dodała. – Uwielbiam tę pracę, uwielbiam swoich gości, goście lubią mnie. Naprawdę, muszę wam powiedzieć, że to jest praca super. Za pół godziny zaczynam pierwszy dzień w nowej pracy, mam bardzo blisko [...], sytuacja w gastronomii jest na ten moment tak rewelacyjna dla pracownika, że w ofertach można przebierać – argumentowała. A my zastanawiamy się, kogo próbowała przekonać – innych czy siebie?

PROFESOR CELEBRYTKA

Natalię Siwiec jeden z obserwujących jej profil na Instagramie zapytał o to, czy gdyby mogła cofnąć czas, to czy poszłaby na studia. – Byłam [na studiach] i nie skończyłam – odpowiedziała celebrytka. – Myślę, że mając 19 lat, mało osób wie, co chciałoby robić. Ja nie miałam pojęcia, co studiować, i poszłam na zarządzanie i marketing w gospodarce globalnej. Po dwóch latach stwierdziłam, że na nic mi się to nie przyda, i zrezygnowałam, bo i tak zarabiałam już jak na tamten czas spoko pieniądze, pozując do zdjęć. Dziś wybrałabym psychologię lub aktorstwo – twierdzi Natalia. Niech chwilę jeszcze się wstrzyma. Jak tylko pojawią się studia ze znajomości show-biznesu (a to więcej niż pewne, że się pojawią), to Siwiec nie będzie tam żadną studentką, lecz wykładowcą. Pani profesor Siwiec.

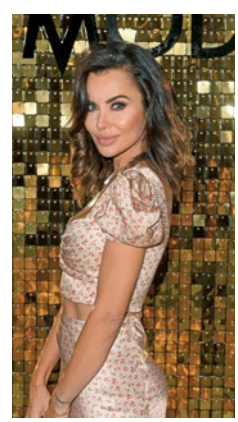

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

BEZCENNE RADY ORAZ ZDJĘCIA

Była partnerka Jana Kulczyka, dziś wzięta celebrytka, influencerka z aspiracjami do bycia coachem, znów podzieliła się swoimi radami odnośnie do tego, jak osiągnąć w życiu sukces. Lubimy bardzo jej cenne rady, więc dzielimy się nimi, żeby i inni mogli czerpać łyżkami z tej mądrości. – Dasz sobie radę. Za większością porażek stoi strach przed samotnością. Głupie decyzje. Desperacja. Godzenie się na życie wbrew sobie. Łamanie zasad. Wszystko po to, żeby na siłę zatrzymać partnera, przyjaciela i być w miejscu, w którym tak naprawdę nie chcemy być. Nie mogę zostać sama. Przecież sobie nie poradzę. Potrzebuję go. Bez nich jestem nikim. Te i inne hasła kotłują się w głowach kobiet, które przez lata tkwienia w toksycznych relacjach uwierzyły, że nie dadzą sobie rady. Jeśli nikt Ci tego wcześniej nie powiedział, to ja to zrobię: poradzisz sobie. Tylko daj sobie szansę – tłumaczy Joanna. Jeśli chcecie się już wzruszać, to od razu was powstrzymamy. Wpis ten Joanna opatrzyła swoim zdjęciem w stroju kąpielowym. I o to głównie w nim chodziło. Chusteczki można odłożyć.

ŻONA ZAWSZE POMOŻE

Marina Szczęsna, żona Wojciecha Szczęsnego, czyli bramkarza naszej reprezentacji, która wypadła na Euro tak, jak wypadła, postanowiła stanąć w obronie piłkarzy. Na Instagramie oczywiście. I tak stwierdziła, że są oni zupełnie niesłusznie atakowani za to, że grają wyłącznie dla pieniędzy. – Pamiętajcie o tym, że to wciąż jest rozrywka, sport. Oni chcą zapewnić wam emocje i poświęcają swój czas, który mogliby wykorzystać na – jak to mówią niektórzy – „luksusowe" wakacje po ciężkim sezonie – tłumaczy kibicom Marina. – Tego, że oni nie mają wolnych weekendów i w większości śpią w hotelach przed meczami, zapewne duża część z was nawet nie wie. A jednak wciąż walczą i to nie za żadne pieniądze, a tym bardziej nie wasze – dodaje celebrytka. Deklaruje też, że kibicuje reprezentacji zawsze, bo wie, „ile to ich kosztuje ciężkiej pracy i wyrzeczeń". – A wy tylko widzicie dobra materialne, co jest bardzo, ale to bardzo wyrywkowym i płytkim podejściem do sprawy, ogólnie do życia. Nie można spłaszczać życia tylko do posiadania, bo ma ono ogromną wartość – konkluduje Marina. Nie pomagasz, Marina, oj, nie pomagasz. Ani reprezentacji, ani tym bardziej mężowi. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, od kilku dni nie możemy spać, ubraliśmy się na galowo i medytujemy w TEJ intencji, której się pewnie domyślacie, a więc iżby spełnił się powrót Donalda Tuska do polskiej polityki. Of kors mamy na myśli medytację świecką, postępową, z tymi wszystkimi olejkami i kadzidełkami, i koralikami.

W każdym razie nie możemy się doczekać, aż Tusk wróci, iż oznacza to rozwiązanie wszystkich problemów, jakie ma obecnie ten kraj, a więc zlikwidowanie inflacji, podniesienie naszego prestiżu w Europie, oddanie mienia i uwolnienie sądów. I może coś z TVP dałoby się też zrobić.

A gdyby z rozpędu zakończył pandemię, wybudował 100 mln km autostrad i przynajmniej trzy nowe stadiony (w każdej gminie), byłoby to miłym dodatkiem. Donald, musisz, czekamy <3

Znów przyszedł sezon na komary i znów mamy problem, jak się zachować, a każde wyjście wydaje się być złe.

Otósh zdecydowanie nie chcemy zabijać komarów, iż traktujemy nasz weganizm poważnie i nie robimy wyjątków.

Z drugiej strony, nie chcemy być pogryzieni. Jednak przyszło nam do głowy, iż komary same weganami nie są, skoro piją ludzką krew. Więc dlaczego my mielibyśmy się przejmować? Czy to nie jest właśnie przykład jakiegoś paradoksu?

Odstraszanie wydaje nam się jeszcze gorsze od zabijania, jako iż pozostawiamy komara w stanie głodu i z poczuciem odrzucenia. Pozostaje chyba tylko uciekać i nie dać się złapać, jako postawa możliwie najbardziej neutralna.

Pewnie słyszeliście, iż rząd zniósł limity w transporcie? I to zupełnym przypadkiem tuż przed wakacjami. Tak, aby wypuścić hordy wąsatych januszów rozklekotanymi autosanami na wakacje do Sopotu już nie tylko za „500+", ale i za bony turystyczne.

To celowe posunięcie, które miało obrzydzić nam i wszystkim innym mieszkańcom dużych miast podróżowanie. Komunikacja zbiorowa będzie pełna turystów, którzy zablokują automaty z biletami i co przystanek będą pytać osobę motorniczą, czy to już jest dworzec. A komunikacja międzyośrodkowa zostanie opanowana przez prowincjuszy, którym zamarzyło się, iżby zobaczyć w dużym ośrodku miejskim, jak wyglądają rondo, ruchome schody i galeria handlowa.

Myśleliśmy, iż w te wakacje będzie nam łatwiej, niż bywało to wcześniej, ale nic z tego. Martwi nas w dodatku, czy pan Donald będzie miał wygodnie wracać do nas z Brukseli, a nie cisnąć się wraz z podkarpaciem, które by go jeszcze częstowało kanapką z jajkiem, zgroza. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Dochód gwarantowany

Ty, Szymon, co my im mamy powiedzieć, jak nas zapytają, z czego ten dochód gwarantowany ma być?
No jak z czego, Michał? Z pieniędzy. Z budżetu, znaczy. Państwa.

No dobra, ale przecież z czegoś ten budżet się zasila, co nie? Tłumaczyłem ci to tyle razy.
No... wiem przecież. Pieniędzmi się zasila. Ludzie płacą podatki, firmy płacą. Nie rób ze mnie debila.

Płacą, ale jeśli nagle wzrosną wydatki, to nie starczy tego, co płacą. I wtedy co?
Chyba przesadzasz. Ja ostatnio sprawdzałem, jaki duży jest budżet Polski. Tam wychodzi ponad czterysta biliardów...

Miliardów chyba?
No może miliardów. Co za różnica? Ty wiesz, ile to kasy? Jak z tego może na cokolwiek nie wystarczyć?

A wydatki też sprawdzałeś?
Nie, musiałem do telewizji iść.

To sprawdź następnym razem.
Oj, dobrze już. A przy okazji – masz dwie stówy pożyczyć?

Nie mam. Mam deficyt. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Atakowanie Tuska to w naszej polityce najbardziej popularny obecnie sposób na manifestowanie swych słabości, deficytów i kompleksów".

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

eprasa.pl a60f4d831b

EGLISE
ROMAINE
CATHOLIC
CHURCH
SAMEDI
DIMANCHE
SATURDAY
SUNDAY

FOT. JASON FRANSON/THE CANADIAN PRESS/EAST NEWS

WANDALE W KANADZIE PODPALAJĄ KOŚCIOŁY

W zachodniej części Kanady już co najmniej sześć kościołów katolickich zostało podpalonych, a co najmniej dwa inne zostały zniszczone lub wymazane graffiti. Zdewastowano również pomnik św. Jana Pawła II w Edmonton w południowo-wschodniej Kanadzie – nieznani sprawcy wymazali go czerwoną farbą i zamalowali imię papieża Polaka. Do fali groźnych podpaleń i aktów wandalizmu doszło po podaniu informacji o odnalezieniu nieoznaczonych grobów na terenach dawnych przymusowych szkół dla indiańskich dzieci prowadzonych w imieniu kanadyjskiego rządu federalnego. Pierwszy premier Kanady sir John A. Macdonald mówił w 1883 r. w parlamencie, że Indianie w rezerwatach są dzikusami, i naciskał, by zabierać dzieci rdzennym mieszkańcom tak szybko, jak to możliwe, aby mogły trafić „do szkół zawodowych, gdzie nabędą obyczajów i sposobu myślenia białego człowieka". Organizacje rdzennych mieszkańców Kanady domagają się od papieża Franciszka zajęcia stanowiska wobec działań Kościoła katolickiego na tych terenach na przełomie XIX i XX w. Lewicowy premier Kanady Justin Trudeau poinformował publicznie, że rozmawiał w tej sprawie z papieżem Franciszkiem i wezwał go do przeprosin dla rdzennej ludności Kanady na kanadyjskiej ziemi. ***(jap)*** © ℗

eprasa.pl a60f4d8911

Żydzi – Polacy:
kolejna bitwa wiecznej wojny

Rafał A. Ziemkiewicz

To bardzo ważne, żeby jasno i otwarcie postawić sprawę naszej oceny żydowskich roszczeń i przestać udawać, że nie rozumiemy, o co naprawdę chodzi – że mamy tu do czynienia z całkowitym bezprawiem i próbą wymuszenia okupu

Pod jednym względem nowa odsłona konfliktu z Izraelem i amerykańskimi organizacjami żydowskimi zapowiada się dla nas lepiej niż poprzednia kampania, ta, do której pretekstem była nowelizacja ustawy o IPN, rozpoczęta atakiem izraelskiej ambasador podczas obchodów rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz, a zakończona chwiejnym rozejmem – wspólną deklaracją premierów Morawieckiego i Netanjahu.

Tym razem stronie żydowskiej jest dużo trudniej udawać, że chodzi jej o co innego, niż chodzi w istocie. Nowelizacja Kodeksu administracyjnego nie odnosi się w żaden sposób do Holokaustu, pamięci historycznej i innych obszarów, które żydowscy politycy i aktywiści do perfekcji nauczyli się wygrywać na rzecz swoich bieżących interesów. Nie odnosi się w sposób szczególny do mienia pożydowskiego ani nawet do reprywatyzacji. Ustanawia tylko

eprasa.pl a60f4d831b

Ja'ir Lapid, piastujący obecnie urząd ministra spraw zagranicznych Izraela, znany jest z ataków na Polskę

FOT. KOBI WOLF/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

okres przedawnienia, po którym decyzja administracyjna nie może być podważona, a więc i zmieniona.

Oczywiście stara narracja, którą Żydzi zwykli osłaniać swe roszczenia – „walczymy tylko o pamięć i dobre imię ofiar Holokaustu; ktokolwiek wiąże nasze działania z roszczeniami majątkowymi, ten jest antysemitą propagującym oszczerczy stereotyp o żydowskiej chciwości" – została natychmiast użyta, między innymi przez znanego już z wcześniejszych ataków na Polskę Ja'ira Lapida, piastującego obecnie urząd ministra spraw zagranicznych Izraela. Wiążąc jednak tak sformułowaną nowelizację z pamięcią Holokaustu, to raczej sami Żydzi krzewią wspomniany stereotyp.

INNE OKOLICZNOŚCI

Niestety, pod innym względem nasza sytuacja jest teraz znacznie gorsza. Stany Zjednoczone Trumpa stawiały między innymi na eksport energii, w tym gazu ze złóż łupkowych. Dlatego Europa Środkowa i inicjatywa Trójmorza były dla administracji USA ważne, a to sprawiało, że dobre stosunki z nami i perspektywy amerykańskiego handlu w regionie uważała ona za priorytetowe w stosunku do żydowskich roszczeń. Nie mogła oczywiście otwarcie odmówić im słuszności, na to żydowskie lobby polityczne w USA jest zdecydowane za silne, ale milcząco je blokowała; zresztą według wielu źródeł to właśnie nacisk USA skłonił Netanjahu do podpisania wspomnianego tu rozejmu, który pozwolił Polsce wyjść z poprzedniego sporu ze stratami, ale przynajmniej z twarzą.

Podłości, wyprodukowane w czasie wojny w Moskwie i chętnie podejmowane w Londynie i Nowym Jorku, dzięki Grossowi i Kwaśniewskiemu pozostają żywe do dziś

Joe Biden już pierwszymi decyzjami – wstrzymaniem budowy rurociągu z Kanady na południe USA i wycofaniem sankcji blokujących budowę Nord Stream 2 – pokazał, że jako zwolennik „zielonych" technologii nie będzie popierać wydobycia amerykańskich surowców, a politycznie zamierza oprzeć się w Europie na osi Berlin-Moskwa. Ameryka pod jego rządami nie potrzebuje nas więc ani jako partnera politycznego, ani jako rynku zbytu, więc wszelkie wrogie Polsce działania dostają dziś od niej zielone światło. Sygnałem, którego nie można zignorować, jest to, że zanim jeszcze odezwały się ambasada Izraela i organizacje żydowskie, jako pierwszy wystąpił przeciwko nowelizacji pełniący obowiązki ambasadora USA Bix Aliu, w liście do marszałek Sejmu posuwając się do bezprecedensowej w swej bezczelności sugestii, że taka ustawa nie powinna być w ogóle procedowana, ponieważ jego kraj sobie tego nie życzy.

Bez zmian pozostaje natomiast zastosowana przez Izrael i amerykańskie organizacje żydowskie strategia. Powtórzmy w największym skrócie: ponieważ roszczeń, szczególnie ich najpotężniejszego segmentu „mienia bezspadkowego", które wspomniane organizacje szacują nawet na 300 mld dol., nie da się uzasadnić prawem, trzeba sięgać po argument moralny. Argument ten można oprzeć tylko na powszechnej zgodzie co do tego, że zbrodniarz nie powinien dziedziczyć po ofierze, czerpać ze swej zbrodni zysków. Aby zadziałał, trzeba więc zbudować trwałe przekonanie, że Polska jest sprawcą Holokaustu, a zatem, że w drugiej wojnie światowej była sojusznikiem Hitlera, a nie jego ofiarą.

PRZEMYŚLANA KAMPANIA KŁAMSTW

I to właśnie nowojorskie organizacje robią konsekwentnie, krok po kroku, od momentu, gdy upadek ZSRS i wyjście Polski zza żelaznej kurtyny dały im nadzieję obfitego połowu. A gdzie łup zapowiada się obfity, tam warto wykazać się cierpliwością, podchodzić długo i zakładać pułapki przemyślnie, by ofiary nie spłoszyć. Z dzisiejszego punktu widzenia widać wyraźnie, że kampania mająca przekonać świat, a nawet samych Polaków, o naszym współsprawstwie w Holokauście, miała charakter przemyślany, a użycie w niej wszystkich możliwych narzędzi – zakłamanych pseudohistoryków, popkultury, celebrytów, mediów – realizowało kolejne etapy i wbrew polskim nadziejom, że mamy do czynienia z jakimiś incydentalnymi nieporozumieniami, na każdym z owych etapów sięgano dalej, wysuwając coraz bardziej absurdalne tezy: aż do obecnych twierdzeń, że „Polacy zabili w czasie wojny więcej Żydów niż Niemców" i zmyśloną przez Jana Grabowskiego liczbę „200 tys." rzekomych ofiar polskich kolaborantów Hitlera.

Niewątpliwie kluczowa była tu sprawa zbrodni w Jedwabnem – pamflet Jana Tomasza Grossa, kłamliwy, manipulatorski, niewytrzymujący nie tylko historycznej krytyki źródeł, lecz także testu zwykłego zdrowego rozsądku (1,6 tys. ofiar spalonych w jednej stodole albo spontaniczny charakter pogromu, w którym zginęło za jednym zamachem praktycznie 100 proc. zaatakowanej populacji!), a bardziej jeszcze niewczesne przeprosiny ówczesnego prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego, złożone bez żadnego ustalenia faktów, postawiły nas w oczach świata dokładnie w zaplanowanym miejscu,

eprasa.pl a60f4d831b

u boku III Rzeszy. Było to zresztą tym łatwiejsze, że od momentu odkrycia przez Niemców grobów w Katyniu amerykańskie i angielskie media czasu wojny tak właśnie o polskich legalnych władzach w Londynie i dowództwie PSZ pisały, pod dyktando sowieckiej propagandy powielając jej przekaz, że wskutek obsesyjnej nienawiści do Rosji Polacy de facto sprzyjają Hitlerowi, a nie aliantom.

Te podłości, wyprodukowane w czasie wojny w Moskwie i chętnie podejmowane w Londynie i Nowym Jorku, dzięki Grossowi i Kwaśniewskiemu pozostają żywe do dziś i nie budzą już na Zachodzie sprzeciwu ani zdziwienia tezy tak karkołomne jak to, że Polacy są winni wojny i Holokaustu, bo wskutek swego antysemityzmu nie zgodzili się w 1939 r. na zawarcie sojuszu z ZSRS – ani publikacje takie, jak niedawny artykuł w „Los Angeles Times", który mianował Niemców „mistrzami" w rozliczeniu się ze swych win, Polaków zaś napiętnował jako tych, którzy do dziś się swojej odpowiedzialności za Shoah wypierają.

„Myśmy w getcie marzyli o wujku Roosevelcie jako naszym zbawcy, myśmy wierzyli, że te wszystkie Morgentauy, Baruchy i Frankfurtery nas uratują, zrobią coś. A oni wszyscy się na nas wypięli. Zygielbojm nikogo nie obchodził, raporty Karskiego nikomu nie były potrzebne. Za to 50 lat po wojnie okazało się, że ci sami ludzie albo ich następcy chętnie wezmą finansowe zadośćuczynienie za swoich, wtedy zdradziecko opuszczonych, rodaków" – mówił w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" w sierpniu 2000 r. „Strażnik niewygodnej pamięci" Antoni Marianowicz. Nie był to jedyny taki głos. Forum Żydów Polskich przypomniało w ostatnich dniach memoriał, który wysłało Władysławowi Bartoszewskiemu przed jego wyjazdem, jako polskiego ministra spraw zagranicznych na opłakaną dla nas w skutkach konferencję w Terezinie – jednoznacznie wykazujący bezpodstawność roszczeń amerykańskich organizacji żydowskich i, co ważniejsze, zbijający ich argumenty. Dlaczego Bartoszewski zupełnie pismo Forum Żydów Polskich zignorował – dzisiaj już nie sposób go zapytać. Deklaracja terezińska, w której w niejasny sposób zadeklarowano przekazywanie „mienia bezspadkowego" na „upamiętnianie zbrodni i jej ofiar", „działania edukacyjne" oraz „wsparcie dla żyjących jeszcze ofiar", zaaprobowana została przez ówczesny rząd w tajemnicy przed społeczeństwem, nie toczyła się na ten temat żadna debata, nie podano nawet podstawowych informacji.

Słyszy się już, że dla opozycji sprawa okupu dla organizacji żydowskich, jak każda inna, jest tylko okazją do uderzenia w PiS i zastosowania po raz kolejny zasady „im gorzej, tym lepiej"

Nie można więc powiedzieć, że Polska nie miała w ręku argumentów, które – umiejętnie użyte (czy raczej: w ogóle użyte) – mogły stępić czy w ogóle złamać ostrze moralnych zarzutów o winy wobec Żydów i antysemityzm, używanych przy tym wymuszeniu.

Odpowiedź polskich elit na haniebne pogróżki, wygłaszane nie przez byle kogo, tylko przez samego lidera Światowego Kongresu Żydów – „Miliony Żydów zginęły w Polsce i my nigdy nie pozwolimy, by Polacy po nich dziedziczyli… Polska będzie atakowana i upokarzana na arenie międzynarodowej dopóty, dopóki nie zaspokoi roszczeń" – była po prostu niepojęta. Większą troską „elit" III RP – niż odpowiedzieć na nie z odpowiednią mocą – było raczej nie pozwolić, by ogół Polaków się o tych słowach dowiedział, bo to oczywiście mogłoby obudzić „demony polskiego antysemityzmu", straszące na dworze Michnika.

Politycy i liderzy opinii ówczesnego mainstreamu wybrali strategię biegunowo odwrotną, niż nakazywały polski interes i elementarny zdrowy rozsądek. Jakąś dziwną formę „appeasementu", opartą na przekonaniu, że „czas na szczere wyznanie win" wobec Żydów i że wyznanie takie „oczyści atmosferę wzajemnych relacji". Gdy nieliczni dopuszczani wtedy do debaty publicznej publicyści niezwiązani z lewicą i „salonem" Michnika protestowali przeciwko publicznym przeprosinom prezydenta za Jedwabne, zanim w ogóle ustalono, co tam się stało i kto był sprawcą zbrodni, zakrzykiwano ich, że „choćby nawet tylko jeden Polak" uczestniczył w tej zbrodni, to i tak jest to „hańba całego narodu" i „trzeba mieć odwagę się do tego przyznać".

Zamiast przedstawiać Polakom i światu historyczną prawdę, salony michnikowszczyzny, przeciwnie, zachłystywały się „Biednym Polakiem patrzącym na getto" Błońskiego i wierszem Miłosza „Campo di Fiori" oraz licytowały się w kabotyńskich gestach, mających podkreślić moralną wyższość tych, którzy szczerze i odważnie biją się w pierś, nad tymi, którzy tego odmawiają. Właśnie to poczucie wyższości jest kluczem do zrozumienia ich postawy – w istocie było to przecież bicie się w piersi cudze, polska „inteligencja", bo tak chciała się identyfikować wspomniana formacja, wyznawała światu winy polskich „chamów", a zgoła wręcz na owych „chamów" donosiła. Oskarżenie Polaków o antysemityzm, wpisanie tego antysemityzmu w nienawistną dla liberalnych salonów tradycję polskiego patriotyzmu i katolicyzmu było jednym z głównych motywów wyższościowego dyskursu michnikowszczyzny, zarazem uzasadniając pogardę „elit" dla niższych klas społecznych i ich najwyższe mniemanie o sobie samych.

Mając takich sojuszników wewnątrz Polski, nowojorscy Żydzi mieli prawo nabrać przekonania, że operacja wyduszenia z nas wielomiliardowego okupu jest do przeprowadzenia. Tym bardziej że zmiana u sterów państwa niewiele tu zmieniła. Ze strony odsuniętego „salonu" zajadłość w wywijaniu pałką „polskiego antysemityzmu" nawet się zwiększyła, a nowa władza, wbrew oczekiwaniom, nie umiała i odtąd nie umie zdobyć się na stanowcze postawienie spraw i nazwanie po imieniu złej woli środowisk prowadzących tę kampanię – po prostu złą wolą. Elity „PiS-owskie" tkwią co do spraw polsko-żydowskich w inteligenckich złudzeniach, których wzorcem pozostaje dla nich śp. Lech Kaczyński: wszystko to jest kwestią nieporozumień, które trzeba wyjaśnić, i jeśli tylko okażemy Żydom dobrą wolę, to i oni okażą ją nam. Wciąż myślą więc w kategoriach „niezadrażniania" i kierują się politycznym wyrachowaniem, że emocje związane z – umownie mówiąc – „447" służą politycznej konkurencji na prawicy, Konfederacji.

Otóż taka postawa jest wręcz wymarzona dla sprawców „rewindykowania

eprasa.pl a60f4d831b

mienia bezspadkowego", po których żadną miarą nie można się spodziewać dobrej woli.

NAZWIJMY TEN PROCEDER

Tym bardziej że ostatnio ujawnia się jeszcze jeden, coraz silniejszy element tej gry w łupienie bezradnych Polaków. Zwróćmy uwagę, że w obecnej kampanii środowiska żydowskie występują już nie tyle o to, aby reprywatyzacja w Polsce przebiegała w sposób uwzględniający ich roszczenia, ile żeby nadal nie było jej w ogóle, żeby przeciągał się w nieskończoność stan obecnego chaosu prawnego. Jest to żywotnym interesem zagranicznych, głównie amerykańskich kancelarii prawniczych, które w ostatniej dekadzie wyspecjalizowały się w „dzikiej reprywatyzacji" na wielką, omalże już przemysłową skalę.

Ten proceder, cichy, ale zyskowny, rozpisany na wiele pojedynczych postępowań, przebiega według wzorca znanego nam z „reprywatyzacji" warszawskiej. Zagraniczni prawnicy nabywają roszczenia od kogoś, kto miał polskie korzenie albo nazywa się podobnie jak przedwojenny właściciel „mienia bezspadkowego", najlepiej z niewielkich miejscowości – z wykorzystaniem wszystkich znanych z Warszawy nieuczciwych sztuczek, w rodzaju potwierdzonych notarialnie w Urugwaju upoważnień od obywatela, którego ostatni raz widziano w 1943 r. na rampie w Auschwitz, ale formalnie nigdy nie stwierdzono jego śmierci – a następnie realizują je w polskich sądach, które przecież jakie są, każdy widzi. Ze strony polskiej nie ma wciąż nawet szacunkowych danych, ile takich spraw mieliśmy w ostatnich latach, jak wielkie roszczenia zaspokojono i przede wszystkim ile postępowań się toczy. Furia ataku na wprowadzenie do KPA jednej prostej nowelizacji pokazuje jednak wyraźnie, że zyski ciągnięte z reprywatyzacyjnego procederu muszą być nieliche.

Są powody, by obawiać się, że po raz kolejny wrogom Polski uda się wykorzystać do swoich celów polsko-polską wojnę. Słyszy się już, że dla opozycji sprawa okupu dla organizacji żydowskich, jak każda inna, jest tylko okazją do uderzenia w PiS i zastosowania po raz kolejny zasady „im gorzej, tym lepiej". Wprawdzie Senat nie jest w stanie zablokować ustawy, może ją jedynie wstrzymać o miesiąc, ale nawet symboliczne rozbicie jedności Polaków będzie nam bardzo szkodzić. Także z tego powodu jest bardzo ważne, żeby jasno i otwarcie postawić sprawę naszej oceny żydowskich roszczeń i przestać udawać, że nie rozumiemy, o co naprawdę chodzi, że mamy tu do czynienia z całkowitym bezprawiem i próbą wymuszenia okupu za odstąpienie od „atakowania i upokarzania" Polski. Bardzo wskazane byłyby dwa posunięcia: wypowiedzenie Deklaracji terezińskiej i wyraźne opowiedzenie światu haniebnej postawy Żydów amerykańskich wobec Holokaustu wtedy, gdy zbrodni dokonywano. Zamiast już teraz dawać sygnały, jak uczynił to jeden z posłów PiS, na szczęście tych mniej mających do powiedzenia, że „być może trzeba będzie zrobić krok wstecz", trzeba mówić światu jasno i wyraźnie: nikt nie ma prawa do „mienia bezspadkowego" po ofiarach, ale szczególnie nie mają takiego prawa Żydzi amerykańscy.

Bez tego zapowiedź premiera Morawieckiego „ani złotówki, ani dolara" pobrzmiewa niebezpiecznie historycznym „ani guzika".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

COLLEGIUM INTERMARIUM

Trwa rekrutacja
– ucz się od najlepszych

Prawo
- Praktyczne nauczanie i indywidualny tutoring
- Studia magisterskie z międzynarodową kadrą i prawnikami Ordo Iuris

LL.M. in Human Rights and International Dispute Resolution

Studia podyplomowe
- Europa klasyczna: polityka – kultura – sztuka debaty
- Zarządzanie procesami zakupowymi w nowoczesnej organizacji
- Nowoczesne metody dowodowe
- Zarządzanie organizacjami pozarządowymi
- Polityka rodzinna w samorządzie

Pełna oferta i rekrutacja na stronie
www.collegiumintermarium.org

Wolny Uniwersytet Środkowej Europy
Chrześcijańska etyka
Praktyczne umiejętności
Klasyczne wartości

eprasa.pl a60f4d831b

Szwajcarska lekcja

Piotr Włoczyk

Gigantyczna kampania czarnego PR wymierzona w szwajcarskie banki pokazała, jak skutecznym narzędziem może być oskarżanie o wzbogacenie się na tragedii ofiar Holokaustu i kolaborowanie z „nazistami"

Na łamach „The New York Times" 12 listopada 1996 r. ukazał się wielki tekst, którego główną bohaterką była Gizella Weisshaus. Ta 67-letnia wówczas Amerykanka żydowskiego pochodzenia urodzona w Rumunii w czasie wojny straciła w Holokauście całą rodzinę – jako jedyna została skierowana na rampie w Auschwitz do kolejki osób przeznaczonych przez Niemców do pracy niewolniczej.

Kobieta przywoływała w rozmowie z nowojorskim dziennikiem słowa swojego ojca, który czując, że rodzina może niedługo trafić do obozu, zebrał wszystkich bliskich i powiedział im, gdzie powinni po wojnie szukać majątku. Gizella Weisshaus zapamiętała, że ojciec wspomniał m.in. o koncie w szwajcarskim banku, ale nie była w stanie przypomnieć sobie szczegółów. Kobieta po wojnie wyjechała do Ameryki, jednak na przełomie lat 80. i 90. postanowiła dotrzeć do konta, o którym mówił jej ojciec. Trzy razy odwiedzała Szwajcarię i zaglądała do każdego banku, ale wszędzie słyszała, że nie można udzielić jej informacji na temat posiadaczy kont. „Musiałam im pokazać coś, co było niemożliwe do uzyskania – powiedziała Weisshaus reporterowi »NYT«, przyznając, że nie znała numeru konta. – I dlatego uchodziło im to na sucho przez cały ten czas".

Szwajcaria jeszcze przed wojną uchwaliła bardzo rygorystyczne przepisy gwarantujące prywatność osób deponujących w tamtejszych bankach pieniądze, ale też trudno wyobrazić sobie, by w jakimkolwiek innym kraju można było uzyskać informację na temat konta bliskiej osoby, pytając o nie „w ciemno" w bankach.

Wymowa artykułu w „NYT" była jednoznaczna – chciwi Szwajcarzy przetrzymują bezprawnie pieniądze ofiar Holokaustu i należy zrobić wszystko, by tamtejsze banki przekazały pieniądze rodzinom ofiar. A jeżeli rodzin nie ma, to powinny je dostać organizacje żydowskie dbające o pamięć o ofiarach Holokaustu. Nawiasem mówiąc, w całym tym wielkim artykule nie znalazła się najmniejsza nawet wzmianka o amerykańskich bankach, w stosunku do których można byłoby wystosować analogiczne roszczenie, skoro wiadomo, że tysiące europejskich Żydów, widząc zagrożenie ze strony III Rzeszy, deponowało za oceanem oszczędności swojego życia.

ODDANA PRASA

Artykuł o Gizelli Weisshaus powstał w samym środku czteroletniej kampanii prowadzonej przeciw szwajcarskim bankom. Jak dowodzi prof. Norman Finkelstein w swojej książce „Przedsiębiorstwo holokaust", za akcją mającą na celu zmuszenie Szwajcarów do wypłacenia gigantycznych pieniędzy stał w rzeczywistości Światowy Kongres Żydów (World Jewish Congress – WJC), który ma siedzibę w Nowym Jorku i działa głównie na terenie USA.

„WJC zmobilizował cały amerykański establishment. Od prezydenta Clintona […] przez 11 agencji rządu federalnego, Izbę Reprezentantów i Senat, aż do rządów stanowych i lokalnych. Cała klasa polityczna wywierała presję – pisze prof. Finkelstein.

eprasa.pl a60f4d831b

FOT. ADOBE STOCK

– Jeden urzędnik po drugim ustawiali się w kolejce, by potępić perfidnych Szwajcarów. Używając parlamentarnych komisji bankowych jako odskoczni, przemysł holokaustu zorganizował bezczelną kampanię oczerniania. Po swojej stronie miał oddaną prasę gotową wypełnić pierwsze strony gazet najbardziej nawet absurdalnymi historiami związanymi z Holokaustem. Ta kampania oszczerstw okazała się nie do zatrzymania".

Gizella Weisshaus jako pierwsza pozwała szwajcarskie banki przed amerykańskim sądem. Wkrótce dołączyły do niej 3 tys. innych osób, które twierdziły, że Szwajcarzy przetrzymują pieniądze zdeponowane tam przez ich bliskich, którzy zginęli w Holokauście. Pozew zbiorowy opiewał na kwotę 20 mld dol.

Równolegle rozpoczęły się naciski ze strony Kongresu. Republikański senator ze stanu Nowy Jork Alfonse D'Amato kierował pracami specjalnej komisji przesłuchującej szwajcarskich bankierów i wysłuchującej ludzi, którzy pozwali banki przed amerykańskim sądem.

„Już na samym początku było oczywiste, że Szwajcaria będzie łatwą ofiarą – pisze prof. Finkelstein. – Bardzo niewielu ludzi będzie trzymało stronę bogatych Szwajcarów w sporze z »potrzebującymi ofiarami Holokaustu«. Najważniejsze jednak, że szwajcarskie banki były bardzo podatne na ekonomiczną presję ze strony Stanów Zjednoczonych".

Szwajcarzy, przerażeni potencjalnymi konsekwencjami, współpracowali z Amerykanami, choć mogło im się wydawać, że z punktu widzenia ich prawa temat roszczeń żydowskich jest zamknięty. W 1962 r. szwajcarski parlament uchwalił bowiem prawo, które dawało tamtejszym bankom 10 lat na znalezienie spadkobierców właścicieli „uśpionych" kont, którzy zostali zamordowani w trakcie Holokaustu. W ten sposób 10 mln franków szwajcarskich zostało przekazanych spadkobiercom ofiar Zagłady, ale – jak pokazała przyszłość – szwajcarskie prawo nie miało żadnego znaczenia w starciu z WJC.

Gdy sytuacja zaczęła się robić coraz bardziej niebezpieczna, Szwajcarzy postanowili sami wrócić do tematu. W 1995 r. David Vogelsanger z ambasady Szwajcarii w USA przyznał, że bankierzy z jego kraju raz jeszcze przejrzeli swoje aktywa i znaleźli dodatkowe 38 mln „uśpionych" franków, które mogą się należeć rodzinom ofiar Holokaustu.

Dla WJC i innych żydowskich organizacji zainteresowanych wypłatą ze Szwajcarii ta kwota była nie do zaakceptowania. Szwajcarzy upierali się jednak, że miliardy dolarów, które mieliby wypłacić, nijak przystają do rzeczywistej skali depozytów Żydów zamordowanych przez Niemców.

Amerykanie wymogli w końcu na szwajcarskich bankierach, by ci zgodzili się na przeprowadzenie wielkiego audytu. Komitetem nadzorującym przegląd kont kierował były szef FED Paul Volcker.

W międzyczasie, by wzmóc presję na bankach, WJC zapowiedział bojkot szwajcarskich usług i towarów. Do groźby bojkotu dołączyły władze m.in. Nowego Jorku i New Jersey. Israel Singer, ówczesny sekretarz generalny WJC, powiedział wprost: „Ostatnią rzeczą, jaką chcą banki, to zła prasa. Będziemy to robili dopóty, dopóki banki powiedzą: »Wystarczy już. Chcemy się dogadać«".

Druga strona coraz bardziej miękła. „Szwajcarzy obiecują, że na koniec tego procesu w Szwajcarii nie zostanie nawet jeden cent, który mógł należeć do ofiary Holokaustu" – zapowiedział Jeffrey Taufield, rzecznik Szwajcarskiego Związku Banków. Mimo to Szwajcarzy wciąż zwlekali z wyłożeniem na stół miliardowego odszkodowania.

W marcu 1998 r. Edgar M. Bronfman ostrzegł, że „to wszystko zmierza to momentu, gdy albo samo się rozwiąże, albo dojdzie do wojny totalnej".

W odpowiedzi Szwajcarzy zaoferowali 600 mln dol. Gdy jednak druga strona nie przyjęła tej oferty i zapowiedziała rozpoczęcie wielkiego bojkotu, szwajcarskie banki w sierpniu 1998 r. wywiesiły białą flagę i zgodziły się wypłacić 1,25 mld dol., a także przeznaczyć 200 mln dol. na specjalny fundusz dla ofiar Holokaustu, które znajdują się w szczególnie trudnej sytuacji. Część pieniędzy popłynęła na konta ludzi takich jak Gizella Weisshaus, ale setki milionów trafiły wprost do organizacji żydowskich, z WJC na czele. Jak zaznacza w swojej książce prof. Finkelstein, o ile wcześniej kierownictwo WJC ponaglało banki, by przelały pieniądze jak najszybciej, póki jeszcze żyją ludzie dotknięci bezpośrednio przez niemieckie zbrodnie, o tyle po wypłacie tych środków żydowskie organizacje z USA nie były tak skłonne do szybkiego rozdziału szwajcarskich pieniędzy.

„TRIUMF DUCHA"

Już po wypłacie przez Szwajcarów niemal 1,5 mld dol. komisja Volckera opublikowała raport, z którego wynikało, że na kontach, które z dużym prawdopodobieństwem należały do ofiar Holokaustu, znajdowało się między 170 a 260 mln dol.

Zwycięstwo nad Szwajcarią zostało przyjęte bardzo ciepło m.in. przez ówczesnego premiera Izraela. „Byłeś prawdziwym pionierem w tej sadze. Rezultat jest nie tylko wielkim osiągnięciem pod kątem materialnym, lecz także jest to moralne zwycięstwo i triumf ducha" – napisał Beniamin Netanjahu w liście do senatora D'Amato.

Jak jednak zwraca uwagę prof. Norman Finkelstein, kampania przeciw szwajcarskim bankom pełna była hipokryzji, skoro dokładnie to samo można byłoby zarzucić amerykańskim instytucjom finansowym.

– W obliczu zagrożenia ze strony nazizmu wielu europejskich Żydów zdecydowało się ulokować swoje oszczędności w amerykańskich bankach. Wychodzili oni z założenia, że im dalej je zdeponują, tym będą one bezpieczniejsze. Jednak amerykańskie banki nigdy nie stały się przedmiotem zainteresowania organizacji starających się wyciągnąć „odszkodowania". Nie trzeba być geniuszem, żeby to zrozumieć. Nie gryziemy ręki, która nas karmi – powiedział „Do Rzeczy" prof. Finkelstein. I dodał: – Należy więc zapytać ludzi, którzy próbują wymuszać pieniądze za pomocą wszystkich tych ustaw: zanim weźmiecie się za polskie nieruchomości, dlaczego najpierw nie prześwietlicie amerykańskich banków pod kątem zdeponowanego w nich żydowskiego majątku? Przecież da się przeprowadzić taki audyt, co pokazała sprawa szwajcarskich banków...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

Z Józefem Orłem, filozofem, byłym posłem, twórcą Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac

Prywatyzacja

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

KAROL GAC: Trzy miesiące temu mówił pan, że Zjednoczona Prawica znajduje się w kryzysowym momencie. A jak jest teraz?

JÓZEF ORZEŁ: Krok dalej. Różnica polega na tym, że część polityków PiS dostrzegła ten kryzys oraz stwierdziła, że należy zadbać o swoje, bo nie ma stałej większości, więc wystarczy kilka osób, by zachwiać równowagę. W efekcie mamy wahadło – Jarosław Kaczyński zdobywa czterech posłów, Adam Bielan kilku następnych, ale Zbigniew Girzyński tworzy małe kółko. Klub poselski PiS traci więc większość, co buduje pozycję Girzyńskiego, ale i Jarosława Gowina, bo jego ludzie stają się ważni. W PiS krąży zresztą plotka, że kolejna grupa posłów szykuje się już do odejścia. W efekcie Zjednoczona Prawica jest skazana na doraźne koalicje. Polski Ład wymaga uchwalenia ok. 100 ustaw. Trzeba więc będzie mozolnie negocjować. To zaczyna wyglądać więcej niż niepokojąco. Najważniejsze jednak jest to, skąd się wzięła sytuacja tak łatwego rozbijania większości.

Skąd?

Z tego, że posłom zachciało się mieć szybkie frukta. Ale dlaczego te roszczenia tak łatwo się teraz materializują? Bo w PiS dzieje się to samo, co działo się w drugiej kadencji PO. Mieliśmy tam bardzo widoczny proces prywatyzacji partii. Jego początki zawsze zaczynają się wraz z przejęciem władzy. Aparat, który powalczył w kampanii, chciałby od razu na tym skorzystać. Na początku kierownictwo partii stawia opór i robił to nawet Donald Tusk. W PiS mówienie o szkodliwości korupcji skończyło się w latach 2016–2017. Drugie, wywalczone z trudem, zwycięstwo wyborcze umocniło przekonanie dużej części aparatu PiS, że trzeciej kadencji może nie być.

Da się ten proces zatrzymać albo odwrócić? Wkrótce ma zostać przyjęta tzw. ustawa antykorupcyjna i antysitwowa. Do tego Jarosław Kaczyński zamierza zreorganizować PiS.

To bardzo trudne pytanie. Na pewno nie da się tego zrobić tylko drogą prawną. Tworzenie ustaw jest poważną, polityczną bronią, ale samo prawo nie zmienia rzeczywistości. To wyłącznie złudzenia polityków. Nie wystarczy, gdy duża część aparatu myśli przede wszystkim o tym, jak usadowić się w państwowych spółkach. Ciekawe byłoby zestawienie, jak zwiększyła się tam liczba dyrektorów od 2015 r. Sądzę, że bardzo. Obok zmiany prawnej musi nastąpić również zmiana polityczna: jest afera, media ją opisują, opozycja krzyczy, służby działają, a człowieka wyrzuca się z pracy, wsadza do aresztu i szybko szykuje się proces. Tego nie ma i trudno uwierzyć, że kierownictwo PiS ma siłę, by złamać aparat partii.

Przyjaciel Mateusza Morawieckiego, prof. Wojciech Myślecki, mówił już w 2016 r., że aparat PiS jest przeszkodą na drodze rozwoju Polski i władzy. Wtedy wicepremier Morawiecki musiał się z tego tłumaczyć. Teraz kierownictwo PiS zakomunikowało, że szykuje mocne zmiany w strukturze aparatu partii. To za późno, ale lepiej późno niż wcale. Innej drogi jednak nie ma.

Przez ostatnie sześć lat władza kierownictwa PiS się osłabiła, bo zwiększyła się rola aparatu, który w praktyce przejął część kompetencji kierownictwa. Widać to zwłaszcza teraz, gdy Jarosław Kaczyński przyznaje publicznie, że nie jest już jednoosobowym centrum władzy.

Mówi pan, że PiS jest skazany na doraźne koalicje. Tyle że tak się nie da efektywnie rządzić.

Długofalowo, stabilnie i planowo – nie. Są tutaj dwie drogi, które można łączyć.

eprasa.pl a60f4d831b

partii szkodzi PiS

Pierwsza to szukanie pojedynczych posłów i małych grupek, ale w Sejmie ten zasób się kończy. Druga to próba zbudowania innej koalicji. Proszę zwrócić uwagę, że niektórzy działacze PSL mówią, że można by pohandlować z PiS, jak choćby w sprawie RPO i prezesa IPN. PSL jest więc otwarte na negocjacje na temat wzajemnych korzyści. Pytanie, czy PiS będzie chciał iść w tę stronę. Inna możliwość to zadaniowa współpraca z Lewicą. Polityka społeczna PiS zyskuje poparcie dużej części tej formacji, bo jest zgodna z jej programem. Czy z tego urośnie szersza umowa? Nie wiem.

Takie prowadzenie rozmów koalicyjnych może obudzić konkurencję partii i partyjek o zajęcie brakujących miejsc PiS, a i o korzyści z tego wynikające. Wiązałoby się to jednak z tym, że PiS musiałby odejść od swojej linii politycznej i aksjologicznej, co mogłoby być zauważone przez twardszy elektorat, który mógłby zacząć szukać innej partii. Są to przede wszystkim Solidarna Polska i Konfederacja. O ile Konfederacja nie ma spójnego programu światopoglądowego, a w dodatku jest zbyt różnorodna, by być trwałym partnerem, o tyle zwrot w kierunku Solidarnej Polski byłby dużym problemem dla PiS.

W diagnozach SP niewiele się różni się od PiS, ale zdecydowanie głośniej o nich krzyczy. Wykorzystuje to, że nie odpowiada za cały rząd i może domagać się twardej linii. W sporach o praworządność wpycha rząd w sytuacje niezwykle trudne, jak choćby w ostatni wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. To wymaga zmiany, bo odpowiedzialności powinno być tyle, ile władzy. Tymczasem Solidarna Polska ma dużo władzy i wpływów, ale mało odpowiedzialności.

eprasa.pl a60f4d831b

Zostaje jeszcze administrowanie krajem i wyczekiwanie na rok 2023 albo zmianę sytuacji.

Administrowanie w sytuacji braku większości powoduje nie tylko brak reform, lecz także niespełnianie obietnic oraz spadek w sondażach. Do tego ostatniego przyczyni się także sytuacja geopolityczna Polski, która w najbliższych latach będzie się pogarszać. Stany Zjednoczone będą próbowały dogadać się z Niemcami, choć nic z tego nie wyjdzie, bo Niemcy nie wesprą USA w sporze z Chinami. Będą grały własną politykę – obrotową między Rosją, USA i Chinami ze wskazaniem na Rosję. Z całą pewnością nie będzie to polityka sprzyjająca Polsce. Ameryka będzie się do Niemiec zbliżać naszym kosztem, a Rosja i Chiny będą próbowały to wykorzystać. Przez jakiś czas, zanim w USA nie dokona się zmiana w kierunku Realpolitik, Polska będzie w coraz trudniejszej sytuacji międzynarodowej. Nie wyobrażam sobie wówczas rządzenia przez administrowanie, bo to oznacza tylko ustępstwa. W dodatku może się tak zdarzyć, że chwilową większość uzyska opozycja, która podejmie wtedy jakieś antypisowskie i antypolskie uchwały. Poza tym nie da się przez dwa lata tylko administrować, bo byłaby to droga do pełnej „awuesizacji" PiS, która dla AWS skończyła się anihilacją w następnych wyborach.

Skoro o AWS mowa... W ostatnim czasie powstały Partia Republikańska oraz koła poselskie Polskie Sprawy i Wybór Polska. Czy czeka nas powtórka z lat 90., czyli wiele bytów politycznych o małym znaczeniu, od których momentami dużo zależy?

To jest właśnie podwójny proces „platformizacji" PiS, czyli pójścia w kierunku dbania o interesy aparatu, oraz „awuesizacji", czyli rozbijania obozu władzy i tworzenia małych formacji. Nie widać przy tym w historii AWS i PO szczęśliwego dla nich finału.

Jesteśmy w połowie drugiej kadencji. Spodziewa się pan jeszcze głębokich reform?

Nie, bo widzimy je w całej okazałości w dwóch niepowiązanych ze sobą planach: w Polskim Ładzie (wykorzystującym środki krajowe) i Krajowym Programie Odbudowy (środki europejskie). Polski Ład wygląda tak, jakby miał się sam sfinansować i tego kompletnie nie rozumiem, bo wydaje mi się, że powinniśmy mieć jeden strategiczny plan zmian, wykorzystujący pieniądze krajowe i unijne.

Opowiadanie, że będziemy żyć jak Niemcy, było chybione, bo ani to realne, ani Polacy w to nie uwierzą

Przecież politycy PiS nieustannie mówią o 770 mld zł z UE.

To prawda, ale mówią oddzielnie o KPO, czyli pieniądzach unijnych, i oddzielnie o Polskim Ładzie, który miałby się sam sfinansować. Z jednej strony będzie przecież ogromna powszechna podwyżka kwoty wolnej od podatku do 30 tys. zł, a z drugiej strony podwyższenie składki zdrowotnej do 9 proc. dla lepiej zarabiających i brak możliwości odpisu jej z PIT, co po prostu oznacza nowy, 9-procentowy podatek. To wygląda tak, jakby koszt Polskiego Ładu miał wyjść na zero w polskim budżecie.

To, czego mi brakuje, to jeden bardzo prosty program zmian, który łączyłby pieniądze krajowe i europejskie oraz pokazywałby tylko kilka priorytetów – korzystnych zmian dla Polaków. Jeżeli jest tak, że premier przedstawia Polski Ład i mówi o kwocie wolnej od podatku oraz dodatkowo o kilkudziesięciu projektach, a potem cichutko wspomina się o składce zdrowotnej, to ludzie nie rozumieją, kto zyska, a kto straci. Nic dziwnego, że pierwsze sondaże wskazują, iż grupa tych, którzy uważają, że stracą, jest większa od tej, która sądzi, że zyska. Miało być inaczej – zyskać miało 90 proc., a stracić 10 proc.

Nawet CBOS pokazał, że 30 proc. Polaków uważa, iż straci na zmianach podatkowych, zaś 23 proc. – że zyska.

Są tego dwa powody. Uważam, że PiS pomylił się w ocenie, jaki podział w społeczeństwie na tych, którzy zyskają i stracą, chce stworzyć. Władza wspomaga biedniejszych, a z drugiej strony próbuje zabrać klasie średniej. To oznacza, że mamy się rozwijać z podziału tego, co mamy, a nie z przyrostu tego, co wytworzymy. Tak się nie da. Od mieszania w herbacie nie przybywa pieniędzy. Drugi błąd to fakt, że PiS się wydawało, iż buduje podział, który na pewno przyniesie sukces wyborczy. Tymczasem nie pomyślał o tej grupie mniej zarabiających, którzy teraz zyskają, ale nie stoją w miejscu i chcą rosnąć – pracują i uczą się, myślą o awansie, lepszej pracy, przeprowadzce do większego miasta. Ci ludzie, a ich jest sporo, bo PiS buduje aspiracje awansu społecznego, nie będą głosować na PiS. Dlaczego? Bo ta grupa rozumie, że choć zyska teraz, to za dwa–trzy lata straci, i to już na zawsze. To z tych dwóch powodów wynikają słabe sondaże dla PiS.

Jest jednak jeszcze trzeci powód, czyli stopień zaufania do władzy. Jeśli według planistów Polski Ład ma przynieść korzyść większości społeczeństwa, a przyjmuje to mniejszość, to oznacza tylko tyle, że duża część społeczeństwa przestała wierzyć PiS. I to z tych grup, którym PiS chce poprawić życie.

Przestała wierzyć z powodów politycznych czy wpłynęła na to pandemia?

Pandemia ma wszędzie dość podobny wpływ. Kiedy jest bardzo źle, to zwracamy się do rządu. Jednocześnie dużo uważniej patrzymy mu na ręce, słuchamy go i weryfikujemy informacje. Kiedy pandemia tymczasowo odpuszcza, wówczas objawia się niewidoczny wcześniej brak zaufania. Nie ma w tym nic dziwnego. Z drugiej strony PiS ma zły okres. Mamy ciąg afer, aferek i wydarzeń negatywnych. Z tego robi się ciąg zmiany relacji z władzą. Mówi się, że jeśli władza wpada na równię pochyłą, to już z niej nie ma odwrotu. PiS jeszcze na niej nie jest, ale ma od ponad roku w sondażach 30 proc., choć wcześniej miał powyżej 40 proc.

PiS się wydawało, że Polski Ład pomoże w odzyskiwaniu poparcia, ale tak się nie stało, co mnie nie dziwi. W rzeczywistości nie jest on bowiem żadną zachętą dla większości. To, co bym w nim zmienił, to przede wszystkim komunikację. Powiązałbym go z KPO w jeden strategiczny plan, czym ma się stać Polska za kilka lat. Opowiadanie, że będziemy żyć jak Niemcy, było chybione, bo ani to realne, ani Polacy w to nie uwierzą. Trzeba pokazać kilka powszechnych korzyści, które nie będą budziły wątpliwości. Tak jak to było w przypadku programu „500+", gdy Jarosław Kaczyński słusznie wymusił, by był to program bezwarunkowy. On wiedział, że przy możliwości decyzji uznaniowych urzędnicy zrobią wszystko, by ludziom dać mniej. Tamta decyzja zbudowała zaufanie do władzy. Teraz musi być tak z kwotą wolną od podatku. 30 tys. zł, dwie–trzy inne korzyści i koniec.

eprasa.pl a60f4d831b

Polski Ład okaże się punktem zwrotnym dla PiS i da jeszcze efekt polityczny?

Najwyraźniej Polski Ład jest pewną grą negocjacyjną – jak go poukładać, by sondaże skoczyły do góry. To się jeszcze da zrobić i to w prosty sposób, który opisałem przed chwilą. Nie można wprowadzać dodatkowych podziałów w społeczeństwie. Znowu odwołam się do „500+" – wszyscy dostali tyle samo, biedniejsi się cieszyli, a nie zazdrościli. W dodatku widać, jak wielu rodzinom to pomogło. To samo można zrobić Polskim Ładem. Resztę propozycji trzeba sprzedawać nie w mediach, ale w objazdach, które organizują właśnie Mateusz Morawiecki i Jarosław Kaczyński. Tam należy pokazywać inwestycje i inne korzyści w skali lokalnej, przede wszystkim dla aparatu PiS, by go uzbroić wyborczo. Wówczas pogodzi się nadmiar propozycji z prostotą przekazu.

A gdzie w tym wszystkim opozycja? W ostatnim wywiadzie mówił pan, że dostrzega, jak się jednoczy przy okazji wyborów w Rzeszowie, które ostatecznie wygrała. Z drugiej strony widzieliśmy też wyraźne pęknięcie przy głosowaniu nad Funduszem Odbudowy w parlamencie. Jak ją pan ocenia w obliczu kolejnych problemów PiS?

Nie lubię mówić o opozycji, bo nie bardzo jest o kim. Zadam panu jednak pytanie: Czy zna pan stosunek opozycji do propozycji podniesienia kwoty wolnej od podatku do 30 tys. zł?

Twierdzi, że PiS realizuje jej postulat.

Ale czy ona się z nim zgodziła i ucieszyła?

Nie.

No właśnie. Opozycja ma problem pozytywnego programu, ponieważ utkwiła w antypisie. Liderzy opozycji powtarzają, że czas na program pozytywny przyjdzie wtedy, kiedy obalą PiS. Ale jeśli się dorwą do władzy, to o żadnym programie nie będzie już mowy. Bo po co? Cały program pozytywny opozycji skupiony jest obecnie na powrocie Tuska.

Ten serial trwa już dosyć długo. Załóżmy jednak, że Tusk rzeczywiście wróci. Czy wywróciłoby to stolik i zmieniło warunki gry, czy przeciwnie – nadzieja z tym związana jest nieco przesadzona?

Po pierwsze, jeżeli Tusk wróci, to będzie musiał ułożyć sobie wszystko sam i straci przy tym część kapitału politycznego. Po drugie, jeśli wróci, to jako przyszły kandydat na prezydenta, a nie premiera, bo to za dużo roboty. To oznacza, że program i resztę będą musiały ułożyć te biedaki z opozycji. W tej układance nie ma dobrego miejsca dla Lewicy. Od strony politycznej nie będzie to też odpowiadało PSL, bo jest małe i dużo mu nie dadzą (być może od PiS dostałoby więcej). Ostatecznie każde układanie to ustępstwa i odstępstwa od jasności programowej, a to zawsze zmniejsza poparcie dla całego bloku. Kiedy się już jednak poukładają, to rozpocznie się czas wojny totalnej między opozycją a władzą. Ona ma to do siebie, że jest zero-jedynkowa. To jednak wcale nie musi oznaczać, że wyniki poparcia automatycznie się dodadzą i opozycja wygra. Mogą się dziać ciekawe rzeczy.

Czy na ten moment pana zdaniem Zjednoczona Prawica jest bliżej trzeciej kadencji czy raczej oddania rządów? A może mamy remis?

Myślę, że remis. Obecnie elektorat patrzy na pojedynek PiS z opozycją. Czymś, co może naruszyć obecną równowagę, jest powrót Tuska, ale z drugiej strony ostateczne pokazanie, czym dla Polaków ma być Polski Ład. Zobaczymy, co się wydarzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

TROPEMWILCZYM
BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

NAJWIĘKSZY BIEG PAMIĘCI W POLSCE

Sezon wyjazdowy = sezon wypadkowy...

Wszystkie Stacje Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa czekają na KREW ratującą życie!

Nie zapomnij!

15 sierpnia startujemy!

Wyjeżdżasz wtedy na urlop? Żaden problem!

Odbierz wcześniej pakiet startowy w warszawskim biurze organizatora i...

Zabierz Tropem Wilczym na wakacje!!!

PATRONAT
Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości
1918-2018

ORGANIZATOR
FUNDACJA WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

WSPÓŁORGANIZATOR
wolne dźwięki.pl

DARCZYŃCA
FUNDACJA KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER EDUKACYJNY
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER PROJEKTU

PATRON MEDIALNY
TVP
POLSKIE RADIO

PARTNER MEDIALNY
RZECZY
HISTORIA

MECENAS PLATYNOWY
PZU
FUNDACJA PGNiG

MECENAS ZŁOTY
ORLEN
KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER
Bank Polski
Fundacja
BGK
PGNiG
fundacja arp
FESTIWAL FILMOWY NWW

eprasa.pl a60f4d831b

FOT. MARCIN OBARA/PAP

Z prof. Zbigniewem Girzyńskim, posłem koła Wybór Polski
rozmawia Ryszard Gromadzki

Sanitaryzm
ma lewicowe oblicze

RYSZARD GROMADZKI: Dlaczego właściwie odszedł pan z PiS?

ZBIGNIEW GIRZYŃSKI: To Prawo i Sprawiedliwość, niestety od pewnego czasu ten proces mocno przyspieszył, odchodzi od swojego programu, przechodząc na pozycje stricte lewicowe. Siłą polskiej prawicy zawsze było oparcie na małych i średnich firmach. Tymczasem dziś obserwujemy sytuację, w której PiS zdecydował się przyjąć rozwiązania, które de facto będą premiowały dwa rodzaje podmiotów gospodarczych: wielkie państwowe firmy i międzynarodowe korporacje. To będzie prowadziło do wywłaszczenia Polaków, pozbawienia ich większego wpływu na polską gospodarkę – i to jest projekt, który nigdy nie powinien być realizowany. Tak odczytujemy – my i eksperci, z którymi rozmawialiśmy w tej sprawie – propozycje zasygnalizowane w Polskim Ładzie.

Nie obawia się pan odium polityka, który rozbił jedność Zjednoczonej Prawicy, torpedując Polski Ład?

Ten Polski Ład nie ma nic wspólnego z prawicowością. W związku z tym, jeśli głosy posłów naszego koła mogłyby rzeczywiście przyczynić się do tego, że znacząca część, bo nie wszystkie, ale znacząca część rozwiązań, które są tam projektowane, nie zostałaby wprowadzona, to będę z tego bardzo zadowolony.

Czy pańska diagnoza dotyczy tylko Polskiego Ładu czy także innych pomysłów promowanych ostatnio przez PiS, np. „piątki dla zwierząt"?

To jest sprawa, która od początku budziła moje wielkie zastrzeżenia. Poszliśmy na wielki kompromis, głosując za tym pakietem. W moim przekonaniu była to realizacja ideologii lewicowej. Ale dotyczyło to tylko fragmentu naszej gospodarki. Ważnego fragmentu, bo rolnictwo jest jej integralną częścią. Natomiast to, co obserwujemy teraz, dotyczy całości gospodarki. Tutaj zgody na cofnięcie się o jeszcze jeden krok być nie może. Obawiamy się, że rząd będzie próbował realizować Polski Ład wspólnie z Lewicą, przynajmniej z jej radykalną, socjalistyczną częścią, czyli partią Razem.

Po ogłoszeniu przez pana decyzji o odejściu z PiS rzeczniczka partii Anita Czerwińska, komentując ten fakt podczas konferencji prasowej, powiedziała, że należy go łączyć z wizytą funkcjonariuszy CBA w biurze pana dobrego znajomego – Adama Hofmana. Co miała na myśli pani Czerwińska?

Zdaje się, że tego samego dnia agenci CBA odwiedzili także kancelarię prawną, której właścicielem jest nie tylko dobry znajomy Jarosława Kaczyńskiego, lecz także jego prawnik przez wiele lat. Idąc za logiką pani Czerwińskiej, Jarosław Kaczyński powinien wspólnie z panią Czerwińską powołać w tym dniu nowe koło poselskie w Sejmie, a nie zrobili

eprasa.pl a60f4d831b

tego tylko dlatego, że nie znaleźli trzeciej osoby. To oczywiście żart, który tylko pokazuje absurdalność tego rodzaju wypowiedzi, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że dobrze zrobiłem, podejmując taką decyzję.

Zapowiedział pan, że wraz z posłanką Janowską i posłem Czartoryskim rozważy poparcie wniosku o wotum nieufności wobec premiera oraz ministra edukacji i nauki. Czym narazili się wam Morawiecki i Czarnek?

Będziemy bardzo uważnie wczytywali się w uzasadnienia tych wniosków. Jeżeli w tych uzasadnieniach znajdą się rzeczy, wobec których także mamy wątpliwości, to niewykluczone, że rozważymy jego poparcie. Zachęcamy ugrupowania opozycyjne, które chcą składać takie wnioski, żeby przed ich złożeniem skonsultowały się z nami. To pomoże nam podjąć decyzję. Co do ewentualnych rozmów politycznych z PiS to oczywiście też „warto rozmawiać", ale gestem dobrej woli byłoby przywrócenie na antenie telewizji publicznej programu Jana Pospieszalskiego. To jedno z ostatnich miejsc w mediach publicznych, gdzie w miarę uczciwie mówiło się o polityce sanitarnej rządu. A i to zostało wstrzymane.

Wchodzi pan w skład sejmowego zespołu ds. sanitaryzmu. Czy zgodzi się pan z tezą, że działania rządu uzasadniane epidemią koronawirusa bardziej zaszkodziły, niż pomogły gospodarce i zdrowiu publicznemu? O uderzeniu w wolności obywatelskie nie wspominając...

Jedną z dwóch kluczowych spraw, które spowodowały, że odeszliśmy z Prawa i Sprawiedliwości, była polityka dotycząca segregacji sanitarnej i tego, jak były prowadzone kwestie związane z lockdownami. To doprowadziło wiele małych firm do stanu, z którego trudno wrócić do normalnego funkcjonowania. Mieliśmy sytuacje nagminne, gdzie w wielkich supermarketach funkcjonowały bez przeszkód duże hale handlowe, gdzie obok artykułów spożywczych i sanitarnych handlowano innym asortymentem, podczas gdy tzw. wyspy handlowe prowadzone przez drobnych najemców były zamknięte. To jeden z przykładów braku racjonalności rządu przy podejmowaniu różnego rodzaju działań sanitarnych. Co więcej, przy okazji epidemii obserwujemy narastanie cenzury, której nie było nawet w trakcie krytycznie przeze mnie ocenianych rządów Platformy Obywatelskiej. Przykładem tych cenzorskich praktyk jest usunięcie z telewizji publicznej programu Jana Pospieszalskiego. Ktoś ostatnio zapytał mnie, jaki jest warunek wstępny, żebyśmy razem z koleżanką i kolegą wrócili do rozmów z PiS. Odpowiedziałem, że takim warunkiem byłoby natychmiastowe przywrócenie w telewizji publicznej programu pana Pospieszalskiego. Usunięcie tej audycji jest żywym dowodem na to, że rząd, który przecież kontroluje TVP, nie dopuszcza innej narracji w sprawie tzw. zwalczania epidemii.

Dlaczego tak się dzieje pana zdaniem?

W mojej opinii jest to efekt ulegania naciskom międzynarodowych koncernów, które wykorzystują pandemię koronawirusa do tego, aby przejąć kontrolę nad gospodarką światową. Elementem tego procesu jest przejmowanie kontroli nad gospodarkami poszczególnych państw.

Czy w ten mechanizm wpisuje się także zadeklarowane przez ministra zdrowia Adama Niedzielskiego rozpoczęcie negocjacji w sprawie zakupu dodatkowych 30 mln dawek szczepionki na trzecie szczepienie? Wcześniej sam Niedzielski i rząd zapewniali, że dostępne w Polsce szczepionki gwarantują pełną ochronę po zaszczepieniu się dwoma dawkami lub jedną w zależności od rodzaju preparatu...

Pan minister Niedzielski podejmuje w tym zakresie działania nieracjonalne, niewynikające z sugestii osób, które się na tych sprawach znają. Nie próbuje nawet prowadzić konsultacji. Postępuje dokładnie tak, jak „na ślepo" robią rządy w innych państwach. W mojej ocenie w pierwszej kolejności należy sprawdzić – mówię to jako osoba zaszczepiona, niemająca poglądów antyszczepionkowych – jak u osób zaszczepionych przyjęły się przeciwciała. Wiemy przecież, że cała ta akcja szczepionkowa jest wielkim eksperymentem. Testujemy zupełnie nowe produkty medyczne, które nie przeszły pełnego cyklu badań. Włączyłem się na ochotnika w badania prowadzone wycinkowo na moim uniwersytecie. Badam się, bo chcę wiedzieć, czy dwie dawki szczepionki, które przyjąłem, są wystarczające. Jak długo zapewniają ochronę? Ale to pojedyncze inicjatywy, prowadzone na poziomie jednego, może kilku ośrodków akademickich, rząd w tym zakresie nie robi dosłownie nic. Jedyny pomysł, jaki ma pan Niedzielski, to nie sprawdzając, jak przyjęły się dwie dawki szczepionki, dać komuś trzecią. Gdy słyszę z jego ust, że rozważa on wprowadzenie obowiązku szczepień, to jest to rzecz, która budzi mój fundamentalny sprzeciw. Nie może być nigdy tak, że państwo tak dalece wkracza w wolności i swobody obywatelskie. Skoro ktoś ma prawo palić papierosy czy pić alkohol, choć jedno i drugie nie pomaga zdrowiu, to także każdy ma prawo ryzykować swoje własne zdrowie, szczepiąc się lub nie chcąc się zaszczepić, bo z takich czy innych powodów uznaje, że jest mu to niepotrzebne.

Czy działania szefa resortu zdrowia, o których mówimy, działania polskiego rządu nie dają podstaw do twierdzenia, że jest on podobnie jak wiele innych rządów „zakładnikiem kompleksu Big Pharma"?

Dokładnie tak. Zresztą pan minister zdrowia całą swoją karierę zawodową do momentu, kiedy został wysokim urzędnikiem państwowym w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości, związał najpierw z SLD, a potem z Platformą Obywatelską, pracując na różnych stanowiskach w administracji publicznej. Przyszedł w związku z tym do obozu PiS człowiek, który jest bezideowy. I to jest komplement, bo moim zdaniem jest on związany z ideologią lewicową i wprowadza rozwiązania – na koszt polityczny obozu prawicowego, tzw. prawicowego, bo on z rzeczywistą prawicą przestaje mieć cokolwiek wspólnego – które są absolutnym zaprzeczeniem wartości będących fundamentem dla ugrupowań prawicowych, mianowicie wolności osobistej i gospodarczej.

Czy forsując politykę sanitaryzmu, obóz rządzący może za to zapłacić przegraną w kolejnych wyborach parlamentarnych?

Moim zdaniem tak. Ci, którzy cenią sobie wolność, zwłaszcza w wymiarze swobód obywatelskich, po tym, co słyszą z ust polityków PiS, nie zagłosują już na takie ugrupowanie. A deklaracje, które słyszałem chociażby podczas posiedzenia klubu parlamentarnego w Przysusze, brzmią naprawdę groźnie. Uderzenie w wolność, swobody obywatelskie, wykorzystanie polityki sanitaryzmu do pomniejszania zakresu własności prywatnej w Polsce jest niczym innym jak pełzającą rewolucją o skrajnie lewicowym obliczu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

Maciej Pieczyński

Nie kwestionują istnienia wirusa, ale krytykują sposoby zwalczania tzw. pandemii. Czym jest Grupa C19?

Decyzje rządu, tłumaczone Polakom tzw. pandemią, budzą w nich wiele wątpliwości, opór i podejrzenie o niejednoznaczne cele tych działań. Wsłuchując się w wiele głosów ludzi, którzy zwracają się do nas z tymi wątpliwościami, powołaliśmy do życia zespół pod nazwą Grupa C19" – czytamy na stronie internetowej inicjatywy.

– Działania władz Rzeczypospolitej w obliczu tzw. pandemii koronawirusa są nielogiczne, niekonsekwentne i sprzeczne. A także tragiczne w skutkach, czego dowodem jest nadmiarowa liczba zgonów. Jak podaje GUS, do kwietnia 2021 ponad 105 tys. ludzi zmarło nie na COVID-19, ale z powodu sytuacji wokół epidemii. To zmusiło nas do działania. Zrzeszamy ok. 30 lekarzy, przedsiębiorców i prawników, którzy monitorują działania rządu w walce z tzw. pandemią – tak w rozmowie z „Do Rzeczy" motywy powstania Grupy C19 przedstawia jej koordynator, prof. Mirosław Piotrowski, historyk, były europoseł, prezes Ruchu Prawdziwa Europa. Jego zdaniem w sposobie walki z epidemią brakuje konsekwencji i logiki. – Władza de facto zmusza obywateli do szczepienia się przeciwko COVID-19, a wstrzykiwany preparat jest wciąż eksperymentem medycznym. Nie może tak być. To niezgodne z konstytucją. Dobrowolność szczepień jest czysto teoretyczna – mówi. I dodaje: – Rząd wmawia też obywatelom, że preparat, który sobie wstrzykują, jest całkowicie bezpieczny. Producenci zastrzegają, że nie wiedzą, jakie mogą być skutki uboczne i powikłania. Komisja Europejska publikuje na swoich stronach obawy producentów, a nasz rząd skrzętnie pomija informacje o tym.

Wśród współpracowników Grupy C19 są m.in. prawnicy: mec. Marek Czarnecki, mec. Elżbieta Gromadzka, mec. Arkadiusz Tetela; lekarze: były główny inspektor sanitarny, epidemiolog dr Zbigniew Hałat, prof. dr hab. n. med. Ryszard Rutkowski, dr Paweł Basiukiewicz; przedsiębiorcy: Leszek Szymański i Andrzej Dębski; przedstawiciele organizacji pozarządowych: Justyna Socha z Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Wiedzy o Szczepieniach „STOP NON" czy twórca Pomarańczowej Alternatywy Waldemar „Major" Fydrych.

Na stronie internetowej grupy mowa jest o „pandemii", w cudzysłowie, w tym tonie na temat COVID-19 wypowiada się również jej koordynator. Łatwo zatem przedstawicielom C19 przypiąć łatkę wyznawców teorii spiskowych, którzy uważają, że nie ma żadnego koronawirusa. – W naszej grupie nikt nie kwestionuje, że choroba wywołana SARS-Cov-2, czyli COVID-19, istnieje – zastrzega prof. Piotrowski. – Przy czym istnieje w bardzo różnych formach: od bezobjawowej do śmiertelnej. Osobiście pytałem jednego z przedstawicieli rady medycznej przy premierze, prosząc o ocenę, w skali od 1 do 10, na ile niebezpieczna jest to choroba. Odpowiedź brzmiała: 2, może 3. Przy czym, dla porównania, grypę sezonową ocenił na 1,5, zaś ebolę na 9 – dodaje.

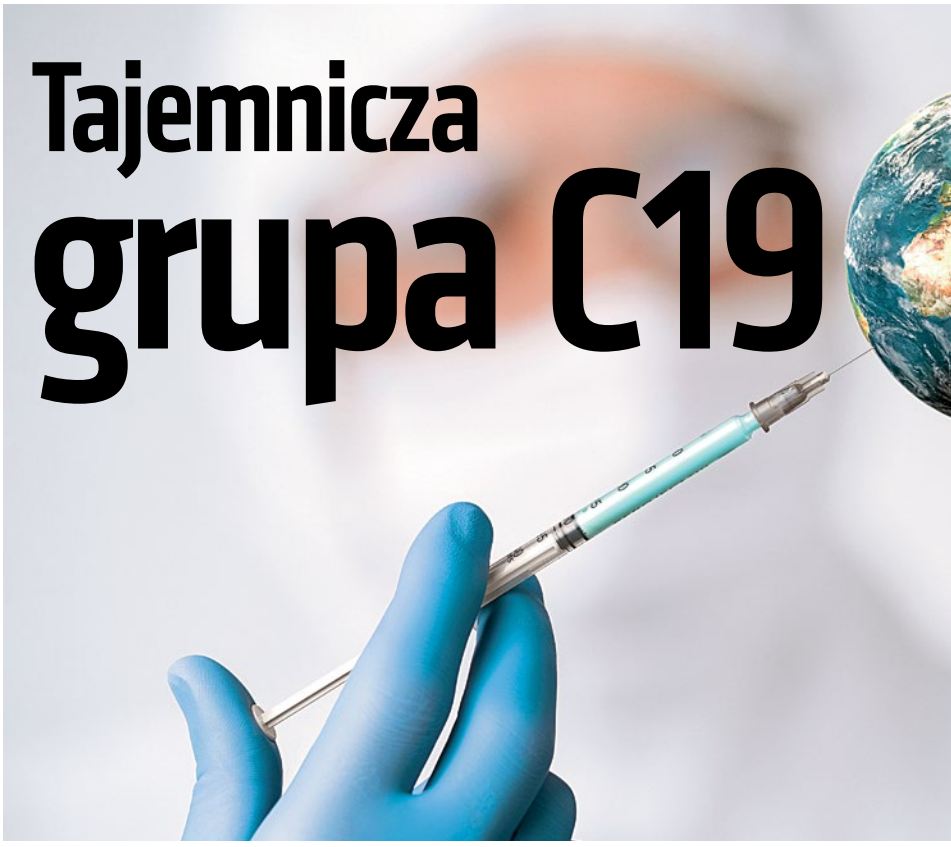

PROSTY LUDZKI ODRUCH

– Dołączyłem do Grupy C19 powodowany prostym ludzkim odruchem. A mianowicie: z potrzeby przeciwstawienia się absolutnie błędnym decyzjom polskich władz, podejmowanym w ramach walki z COVID-19 – mówi „Do Rzeczy" mec. Marek Czarnecki, adwokat, przedsiębiorca, polityk, prawnik partii Prawdziwa Europa. W jego ocenie największym błędem rządu było niepowołanie głównego inspektora sanitarnego po rezygnacji dr. Pinkasa. – Zgodnie z ustawą to właśnie GIS powinien kierować walką z epidemią. Ciągle toczy się w mediach dyskusja na temat braku rzecznika praw obywatelskich. Wszyscy są oburzeni, że nie mamy RPO. Tymczasem w dobie epidemii najważniejszy jest GIS! Obowiązki inspektora pełni obecnie człowiek bez wykształcenia medycznego. To tak, jakby samolotem kierowała stewardesa. Tym powinni zająć się dziennikarze – dodaje.

Jednym z lekarzy, zaangażowanych w działalność grupy C19, jest dr Paweł Basiukiewicz, kardiolog i internista, który od dawna otwarcie krytykuje ideę lockdownu. – Nasza nieformalna grupa łączy ludzi z różnych środowisk, o różnych poglądach, ale o jednym celu.

eprasa.pl a60f4d831b

Tym celem jest podważenie paradygmatu, że środki niefarmaceutyczne, których używamy do walki z epidemią, są adekwatne – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy". – Przykładowo powinniśmy zrezygnować z przymusowej izolacji osób zakażonych oraz podejrzanych o zakażenie. Trzeba tym ludziom umożliwić dostęp do służby zdrowia, pozwolić im na spacer na świeżym powietrzu. Dystans społeczny przynosi więcej szkody niż pożytku. Źle działa bowiem na psychikę. Dwutygodniowy areszt domowy może prowadzić do zaburzeń emocjonalnych. A zdrowie to

FOT. ADOBE STOCK

nie tylko zdrowie fizyczne – to także zdrowie psychiczne, duchowe i radość z życia w społeczeństwie – argumentuje dr Basiukiewicz. I dodaje: – Od dawna powtarzam, że lockdown zabija. Mam nadzieję, że wraz z przyjściem kolejnej fali wirusa rząd nie popełni jeszcze raz tego samego błędu i nie zamknie społeczeństwa.

BRAK STANU NADZWYCZAJNEGO

Zdaniem Czarneckiego rząd popełnił fundamentalny błąd, nie wprowadzając stanu nadzwyczajnego. – Przecież często się mówi, że jesteśmy tak naprawdę na wojnie z wirusem. Dlatego powinien być wprowadzony stan klęski żywiołowej. Tylko wówczas te wszystkie ograniczenia, wprowadzane obecnie z wątpliwą podstawą prawną, byłyby absolutnie zgodne z konstytucją – mówi prawnik. – Rząd nie chce tego zrobić w obawie przed koniecznością wypłacenia wysokich odszkodowań tym, którzy ucierpieli w efekcie epidemii. Tymczasem wiadomo, że na walkę z wirusem wydano już ponad 260 mld zł. Współprowadzę kancelarię adwokacką, więc też jestem przedsiębiorcą. Otrzymałem od państwa jedyne 5 tys. zł pomocy. Wielu moich znajomych, prowadzących działalność gospodarczą, dostało podobnie niskie wsparcie. Pytam więc: Gdzie się rozpłynęło te 260 mld zł?! – dodaje.

Mecenas Czarnecki uważa, że u steru walki z koronawirusem brakuje lekarza. – Premier Morawiecki i minister Dworczyk są historykami, pełniący obowiązki GIS Krzysztof Saczka to inżynier, specjalista od elektronicznych urządzeń sterowania. Nawet minister zdrowia to ekonomista, choć przecież z reguły to stanowisko zajmował lekarz właśnie – zauważa mec. Czarnecki.

Główna sfera działalności Grupy C19 to formułowanie wniosków, zapytań czy listów otwartych do najważniejszych instytucji w państwie, które zajmują się walką z epidemią. Już ponad rok temu Mirosław Piotrowski, dr Hałat, mec. Czarnecki i Leszek Szymański zwrócili się do premiera o uzyskanie informacji o działalności Rady Medycznej. Okazało się, że jej posiedzenia nie są protokołowane. – To skandal, bo przecież ci ludzie decydują o różnego rodzaju ograniczeniach – mówi mec. Czarnecki. Jedynym podsumowaniem posiedzeń są stanowiska Rady, publikowane na jej stronie internetowej.

Przedstawiciele grupy zapytali też oficjalnie premiera o to, czy osoby wchodzące w skład Rady Medycznej składały oświadczenia o braku konfliktu interesów. Chodzi o to, że „osoby wchodzące w jej skład bądź jednostki je zatrudniające lub z którymi są związane współpracowały, współpracują, są lub były beneficjentami koncernów farmaceutycznych". KPRM odpowiedziała: „Członkowie Rady Medycznej nie byli zobowiązani do składania jakichkolwiek oświadczeń".

Grupa C19 wystąpiła również w obronie lekarzy, którzy zostali przez Naczelną Radę Lekarską ukarani za krytykę sposobów, w jakie rząd walczy z epidemią. Profesor Rutkowski złożył do NRL wniosek o „poddanie ocenie prawnej i etycznej" tych dyscyplinujących działań. Zapytał m.in. o podstawę prawną zakazu wypowiedzi, którym zostali objęci niepokorni medycy, powołując się na konstytucyjne zapisy o wolności słowa.

Szczególnie często akcentowanym przez przedstawicieli grupy problemem jest niepowołanie nowego szefa GIS. W tej sprawie Mirosław Piotrowski i jego współpracownicy złożyli już kilka wniosków. Najpierw do premiera, który odesłał ich do ministra zdrowia. Ten z kolei wskazał Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – Państwowy Zakład Higieny jako instytucję kompetentną w tej sprawie. Ostatecznie na początku czerwca Piotrowski, Hałat, Czarnecki i Szymański złożyli do prokuratury zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Ich zdaniem minister zdrowia nie dopełnił swoich obowiązków, nie ogłaszając naboru na stanowisko Głównego Inspektora Sanitarnego, „działając w ten sposób na szkodę interesu publicznego i prywatnego". W zawiadomieniu zacytowana została wypowiedź Adama Niedzielskiego z listopada 2020 r., w której przyznał on, że na razie resort nie planuje ogłaszać konkursu. – Zgodnie z przepisami szefem GIS musi być lekarz. Pan minister Saczka, który zastępuje pana ministra Pinkasa, nie ma takich kwalifikacji, nie ma takiego wykształcenia, dlatego zastępuje, a nie pełni obowiązki. W GIS są ważniejsze problemy do rozwiązania"– mówił Niedzielski na antenie RMF FM. „Nieogłoszenie naboru na stanowisko Głównego Inspektora Sanitarnego, wbrew obowiązkowi wynikającemu z Ustawy o Państwowej Inspekcji Sanitarnej, i w konsekwencji dopuszczenie przez ministra zdrowia Adama Niedzielskiego do kierowania Państwową Inspekcją Sanitarną przez osobę bez odpowiedniego wykształcenia, kwalifikacji i doświadczenia jest działaniem na szkodę interesu publicznego i prywatnego" – czytamy w treści zawiadomienia.

Prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa. Powód: „Sprawca czynów zabronionych nie podlega orzecznictwu polskich sądów karnych".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

KRAJ KAPŁAN NA LEŻOWNIKU „WYBORCZEJ"

Co naprawdę wiadomo o księdzu Godawie?

Olivier Bault

Sprawdziłem zawartość „międzynarodowego śledztwa" dziennikarskiego, które rzekomo ma obnażać straszną prawdę o polskim księdzu niosącym pomoc dzieciom w Kamerunie

O ojcu Dariuszu Godawie OP pierwszy raz usłyszałem wiele lat temu od znajomych, a jego dzieło niesienia pomocy biednym dzieciom w Kamerunie sam śledziłem w sposób sporadyczny mniej więcej od 15 lat, jego samego miałem okazję spotkać kilka razy w towarzystwie wolontariuszy i pod-

opiecznych przy okazji akcji zbierania w Polsce pieniędzy na działalność domu dziecka w Kamerunie. Gdy 18 maja zobaczyłem w portalu „Wyborczej" jako główny tytuł dnia „Pan życia i śmierci. Koszmarny sierociniec zakonnika Dariusza Godawy" – przeżyłem szok i niedowierzanie. W miarę ukazywania się kolejnych części „międzynarodowego śledztwa", jak je opisuje „GW", szok malał, a niedowierzanie wzrastało.

Postanowiłem zatem sprawdzić ich zawartość, tym bardziej że na Twitterze sam ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski zdawał się podpierać własnym autorytetem oskarżenia „GW" wobec ks. Godawy, domagając się powołania specjalnej komisji do badania tego, co się do tej pory działo w Kamerunie. Zapytałem go, czy poza artykułami opierającymi się głównie na zeznaniach dwóch świadków dostawał niepokojące sygnały na temat

domu dziecka ks. Godawy w Jaunde. Ksiądz Isakowicz-Zaleski najpierw zgodził się na rozmowę i powiedział mi, że miał takie zgłoszenia, ale gdy drogą e-mailową dopytywałem, później, ile ich było i ile z nich pochodziło od bezpośrednich świadków wydarzeń, ks. Isakowicz-Zaleski uznał, iż przygotowuję materiał z tezą, i nie zgodził się na publikację swojej wypowiedzi.

Zarówno z rozmowy z nim, jak i z jego kolejnych wpisów na Twitterze jasno wynikało, że głównym problemem są dla niego filmiki opublikowane przez ks. Godawę, na których widać, jak dzieci jedzą, siedząc na podłodze, wykonują różne prace domowe czy śpiewają pieśni po polsku. To również wytyka ks. Godawie „Gazeta Wyborcza", oskarżając polskiego księdza o rasizm i kolonializm.

Kolejny zarzut „GW" to bezprawne posługiwanie się skrótem OP przez

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO

MONTAŻ: JAN

24

www.DORZECZY.PL

Anatomia manipulacji

Olivier Bault

„Międzynarodowe śledztwo" panów Żytnickiego i Pawlickiego dotyczące ks. Dariusza Godawy jest oparte na bardzo wątłych podstawach

Odkryliśmy w Kamerunie polskie jądro ciemności: koszmar dzieci, kolonialne fantazje i rasizm misjonarza Godawy" – pisali 20 maja na łamach „Gazety Wyborczej" dziennikarz śledczy Piotr Żytnicki i wykładowca filologii romańskiej w Poznaniu Jędrzej Pawlicki. „Zgroza, zgroza! – chce się krzyczeć po reportażu Piotra Żytnickiego i Jędrzeja Pawlickiego z sierocińca prowadzonego w Kamerunie przez – do niedawna jeszcze dominikanina – Dariusza Godawę, ulubieńca rządowych mediów, bo dzieci – ach, jakie to słodkie! – śpiewają polskie kolędy i pozują z biało-czerwonymi flagami" – zareagował pierwszy zastępca redaktora naczelnego gazety Jarosław Kurski, w komentarzu o bieżących wydarzeniach opublikowanym 21 maja. Ostatni komentarz „GW" na ten temat zdaje się pochodzić z 1 czerwca, tak jakby redakcja z Czerskiej zorientowała się w końcu, że „międzynarodowe śledztwo" panów Żytnickiego i Pawlickiego ma bardzo wątłe podstawy.

O ks. Godawie i o ataku na niego pisałem już w „Do Rzeczy". Po ukazaniu się w tygodniku mojego tekstu pt. „Co naprawdę wiadomo o księdzu Godawie?" oraz publikacji na portalu dorzeczy.pl mojej rozmowy z wychowanką domu dziecka prowadzonego przez ks. Dariusza Godawę w Kamerunie zostałem niejako sprowokowany do dalszego zainteresowania się tematem. Zarzucono mi bowiem brak rzetelności dziennikarskiej, wskazując na jeden konkretny błąd z mojej strony: napisałem w tygodniku, że jeden z dwóch głównych świadków oskarżenia sądu z ul. Czerskiej był na miejscu, w Jaunde, „parę tygodni". Tymczasem we wstępie do rozmowy z panią Sonią Anzong, opublikowanej na dorzeczy.pl w tym samym czasie, prawidłowo podałem, że pani Anna Sobków, autorka raportu przesłanego do zakonu dominikanów w 2013 r., po powrocie z Kamerunu, była tam trzy miesiące. O innych moich nieścisłościach nie słyszałem.

TAJEMNICA WSPÓŁAUTORA

Współautor „międzynarodowego śledztwa" o „koszmarnym sierocińcu" polskiego księdza w Kamerunie, dziennikarz śledczy „Gazety Wyborczej" Piotr Żytnicki, nie chciał z kolei odnieść się do moich ustaleń, że klub nocny, którego ks. Dariusz Godawa miałby być „cichym udziałowcem", w rzeczywistości nie istnieje. Dopiero drugi współautor, Jędrzej Pawlicki, w końcu przyznał mi w telefonicznej rozmowie, że był to rzeczywiście ich błąd. To, że kameruński didżej Pitol Kaigama Didier Christian nie ma żadnego lokalu, lecz jedynie posiada sprzęt muzyczny i gra na imprezach okolicznościowych, można było łatwo sprawdzić, przeszukując Internet, gdzie reklamuje swoje usługi. Następnie wystarczyło zadzwonić do niego, żeby to zweryfikować i dowiedzieć się, że choć jest zaprzyjaźniony z ks. Godawą, nie jest jego wychowankiem, co jakoby ustalono w wyniku „międzynarodowego śledztwa" obu autorów. O didżeju poinformował dziennikarzy drugi główny świadek oskarżenia sądu z ul. Czerskiej, niejaki Jacek T., który przebywał kiedyś przez parę miesięcy u ks. Godawy, okradł go, a dziś odsiaduje wyrok w polskim więzieniu za inne przestępstwa. Tymczasem w artykule „GW" napisane jest: „Na miejscu ustalamy, że Godawa ma być

eprasa.pl a60f4d831b

KAPŁAN NA CELOWNIKU „WYBORCZEJ" KRAJ

GŁÓWNI ŚWIADKOWIE MEDIALNEGO OSKARŻENIA

Autorzy artykułów „GW" w tej sprawie powołują się na Annę Sobków, którą przesłuchują przez parę tygodni w Jaunde w 2012 r. Od trzech osób, które ją pozwały (w tym dwie na miejscu w Jaunde), usłyszałem, że próbowała tam na siłę narzucać europejskie wzorce zachowania i wydawać się w swoim stabilna emocjonalnie. Nie znała języka francuskiego i miała problem z nawiązaniem kontakt z dziećmi. Zresztą jak wykazała w swoim programie Monika Białkowska, pani Sobków co innego pisała w swoim dziennku, który opublikowała na blogu „Misji Kamerun" zaraz po wyjeździe, a co innego w doniesie przesłanym krótko potem, bo w 2013 r., do zakonu dominikanów.

Drugi główny świadek „GW" to niejaki Jacek T., przebywający obecnie w polskim więzieniu. W portalu Wp.pl w artykule z 2018 r. pt. „Kamerun. Polski misjonarz okradziony. Przez rodaka" można o nim przeczytać, że był poszukiwany od 18 lat i okradł sierociniec o. Darka oraz misjonarki ze Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Duszy Chrystusa Pana, które mu również w Kamerunie pomogły.

Pozwoliłem sobie także sprawdzić jeszcze jedno z oskarżeń. Chodzi o Didiera Christiana Pitoł Kaigamę, który ma być wychowankiem sierocińca i dziedzicem prowadzącym w Jaunde lokal Sono Music Club. Według „GW" polski ksiądz miał być „cichym udziałowcem" tego klubu, czerpać z niego zyski, wyłożyć wcześniej na niego pieniądze i opłacić też ślub swojego wychowanka.

Znalazłem tego kameruńskiego didżeja. Dowiedziałem się od niego (potwierdził to też ks. Godawa), że: nie jest wychowankiem ks. Godawy, tylko zna księdza od dzieciństwa, nie posiada żadnego lokalu, tylko gra na imprezach okolicznościowych, ks. Godawa nie dał mu żadnych pieniędzy na działalność i nie opłacił jego ślubu, tylko pozwolił mu nieodpłatnie urządzić własne wesele na terenie sierocińca.

Wszelkie prawa zastrzeżone 25

cichym udziałowcem tego klubu", pod każdym z trzech artykułów widnieje bowiem podpis: „Współpraca Léa Raoule, Kamerun".

Jak ustaliłem, nazwisko Léa Raoule zostało zmyślone przez autorów. Zapytałem ich o to, jednak zasłaniają się prawem dziennikarza do nieujawniania swojej tożsamości. Żytnicki groził mi nawet „konsekwencjami", jeśli będę sugerować, że na miejscu żadnego dziennikarza nie było. Dlaczego kameruński dziennikarz miałby nie chcieć ujawnić swojej tożsamości? Z artykułów opublikowanych w „GW" można by wywnioskować, że dzieje się tak, ponieważ ów straszny Godawa ma wielkie wpływy w Kamerunie. Przecież sam prezydent kraju bywał z wizytą w sierocińcu! Skąd o tym wiadomo? Bo tak autorom powiedział ten sam Jacek T. Kto jak kto, ale jeśli do takiego wydarzenia doszło, pani Mirosława Etoga, konsul honorowy RP w Jaunde, która zna dobrze dom dziecka Orphelinat Les Enfants of Sun ks. Dariusza Godawy, powinna o tym też wiedzieć. Zapytałem ją o to bezpośrednio przez telefon: „Nigdy takiej wizyty nie było" – brzmiała jej odpowiedź.

Odnosząc się do oskarżeń o złe traktowanie dzieci w „koszmarnym sierocińcu" ks. Godawy, pani konsul dodała: „Ja jestem tam trzy–cztery razy w tygodniu, jestem matką i babcią. Gdybym coś widziała, to bym zareagowała. Uważam nawet, że ks. Darek za dużo tymi dziećmi się zajmuje. Teraz mają nawet maszynę do lodów. Co niedziela jedzą lody i ciasta. Chodzą do dobrych szkół prywatnych, katolickich. Mają korepetytorów, kiedy potrzeba. [...] Są tam też dzieci niepełnosprawne. Są trojaczki, jeden jest bez stópek i ma po dwa palce u rąk. Jest 13-letnia dziewczyna, wokół której trzeba wszystko robić. Co ci dziennikarze chcą? Niech oni przyjadą i pobędą, sami zobaczą".

„LUKSUSY" BEZ PRĄDU I WODY

Podobnie jak ks. Dariusz Godawa kapucyn Benedykt Pączka został ostatnio posądzony na łamach „Wyborczej" o kolonializm i krytykowany za to, że łączy pomaganie z ewangelizacją. Miało to miejsce po publikacji filmiku, na którym dzieci z jego szkoły śpiewały „Makumbę" Big Cyca ze zmienionym na potrzeby akcji tekstem. Brat Pączka prowadzi w sąsiedniej Republice Środkowoafrykańskiej misję połączoną ze szkołą muzyczną African Music School, którą sam założył. Zna dobrze ks. Godawę. W rozmowie ze mną odniósł się do oskarżeń „GW" o to, że ks. Dariusz Godawa miałby żyć w zbyt komfortowych warunkach w porównaniu z dziećmi będącymi pod jego opieką:

„Takie oskarżenia, które padają z Polski, gdzie wszystkiego mają pod dostatkiem w porównaniu z tym, w jakich warunkach my tutaj żyjemy, w jakich warunkach żyje ksiądz Darek, to jest straszna rzecz. Ja nie akceptuję tego. Proszę mnie zacytować i to ostro: Brat Benedykt Pączka zaprasza panów z »Wyborczej«, nie na miesiąc czy dwa tygodnie, ale na pół roku. Ostrzegam panów, że nie będzie wody gazowanej. Zapraszam ich tam, gdzie nie ma wody, gdzie nie ma prądu, gdzie musimy jeździć po wodę 5 km. Niech sami zobaczą, jak tu jest. Jest tutaj co robić, można się oddać misjom. Wszystkich tutaj zapraszam".

Współautorzy „międzynarodowego śledztwa" w sprawie ks. Godawy mieli ustalić na bazie swoich rozmów przeprowadzonych w Polsce z Jackiem T., że ten rzekomy luksus, w którym pławi się polski ksiądz, bierze się po części z handlu darami z Polski. Według Jacka T. ksiądz-biznesman dostaje co miesiąc drogą morską, przez port w Duali, co najmniej dwa kontenery przepełnione darami, których znikoma część idzie na utrzymanie dzieci, a reszta pozwala księdzu na „robienie wielkiej kasy".

Tym „ustaleniom" stanowczo zaprzecza Adam Gardynik, który kieruje fundacją im. Stefana Szolc-Rogozińskiego. To on wysyła wszystkie kontenery do ks. Godawy i odwiedził też parę razy jego ośrodek w Jaunde. Dziennikarze „Wyborczej" rozmawiali z nim, ale jego wypowiedzi bardzo mocno okroili, tak aby nie zakłóciły zanadto ich przekazu o strasznym polskim księdzu i koszmarnym sierocińcu. W rozmowie ze mną pan Gardynik odniósł się do tego wątku:

– Tylko ja wysyłam kontenery. Wysyłam ok. czterech do pięciu kontenerów w ciągu roku. Tylko że w każdym kontenerze są dary dla wszystkich misjonarzy. Dla księdza Godawy w każdym kontenerze może być np. 5 albo 10 proc. zawartości. Ja wysyłam te dary do polskich misjonarzy w Kamerunie, w Czadzie i w RPA. Kontenery docierają do sierocińca ks. Godawy w stolicy Ka-

eprasa.pl a60f4d831b

merunu, gdyż jest to idealne położenie, wszystkim misjonarzom bardzo ono odpowiada".

Brat Benedykt Pączka potwierdza, że wiele razy odbierał dary od ks. Dariusza Godawy, w tym dwa razy odbierał instrumenty przesłane dla jego szkoły muzycznej.

Odnośnie do zarzutu handlowania darami Adam Gardynik wie o jednej takiej sytuacji, kiedy firma z okolic Poznania podarowała misji parę lat temu całą partię szamponów czy żeli pod prysznic z wyraźnym pozwoleniem, aby odsprzedać część z nich, jeśli ksiądz ich nie wykorzysta, a będzie zbliżał się ich termin przydatności do użycia. To właśnie zdjęcie z ofertą sprzedaży takich produktów opublikowane na profilu w mediach społecznościowych przez pomocniczkę ks. Darka jest głównym dowodem, którym posługują się autorzy „Wyborczej" na poparcie swoich tez.

A co do traktowania dzieci w „koszmarnym sierocińcu" ks. Godawy, jak je opisują panowie Piotr Żytnicki i Jędrzej Pawlicki, którzy nigdy tam nie byli, Adam Gardynik odpowiada: „W ciągu ostatnich sześciu lat wielokrotnie tam byłem. Przez ponad 30 lat sam pracowałem z młodzieżą i dziećmi upośledzonymi. Dzieci nie potrafią tak oszukiwać. Tak jak ks. Darek Godawa pracuje tam z dziećmi, widać, że dzieci są zadowolone. Są uśmiechnięte, przychodzą przytulić się do niego po szkole, uśmiechają się uroczo, zawsze coś tam od niego dostaną. Tam panuje naprawdę bardzo dobra atmosfera, tylko pozazdrościć".

Afrykanista Dariusz Skonieczko, którego autorytetem podpierają się współautorzy „międzynarodowego śledztwa", był również zdziwiony, kiedy zobaczył, w jaki sposób pominięto w artykułach „Wyborczej" wszystkie pozytywne rzeczy o sierocińcu, które powiedział w rozmowie telefonicznej wypytującemu go romaniście Jędrzejowi Pawlickiemu. Pominięto także jego wyjaśnienia na temat różnic kulturowych między Europą i Afryką, których polscy współautorzy zdają się w ogóle nie rozumieć.

„Ja też to opowiadałem redaktorowi Pawlickiemu. Mówiłem mu: »Proszę tam pojechać, obejść naokoło tę dzielnicę, w której jest sierociniec, i porównać warunki w sierocińcu z warunkami, w jakich żyją dzieci w swoich domach w większości«. Dzieci w sierocińcu mają zdecydowanie lepiej, czyściej, są czysto ubrane, także dlatego że same piorą i sprzątają. Dałem ten przykład, mówiąc: »Niech pan tam sobie pojedzie i porówna«".

Dlaczego panowie Żytnicki i Pawlicki nie zainteresowali się tymi sprzecznościami? Czy dziennikarz śledczy nie powinien tego wyjaśnić?

Według polskich autorów „międzynarodowego śledztwa" w sprawie „koszmarnego sierocińca" w stolicy Kamerunu to, że dzieci jedzą, siedząc na podłodze, gdy ks. Godawa siedzi przy stole, jest wyraźną oznaką jego rasizmu wobec czarnych i jego kolonialnej mentalności.

Dariusz Skonieczko: „W Afryce jest tak, że generalnie używanie stołu nie jest rzeczą popularną, szczególnie w warunkach wiejskich. Teraz dopiero, w ostatnich latach, tam się rozwija coś, co moglibyśmy nazwać klasą średnią czy życiem miejskim. Natomiast w tym tradycyjnym życiu wiejskim zazwyczaj je się, siedząc w kucki. Przy okazji powiem, że je się palcami. W takim razie dziwię się temu panu redaktorowi, że nie wzbudził w nim świętego oburzenia fakt, że Darek nie rozdał dzieciom np. sztućców, ale taki jest tradycyjny sposób spożywania posiłków".

Sama autorka relacji o domu dziecka ks. Godawy, która to relacja jest drugim obok Jacka T. źródłem informacji autorów z „Gazety Wyborczej", opisując na stronie misja-kamerun.pl na blogu zatytułowanym „Poznania Ani z Poznania" święta Bożego Narodzenia w 2012 r., po około dwóch miesiącach pobytu na miejscu, pisała: „Dzieciom potrawy były nakładane na talerze i tym razem każdy miał swój talerz, ale maluchy i tak siedziały na posadzce, to ich ulubione miejsce". Natomiast w relacji przesłanej w 2013 r. do dominikanów jedzenie posiłków na podłodze skomentowała tak: „Moim zdaniem powinni siedzieć razem jak jedna rodzina, bo w końcu ją tworzą. Tylko zresztą tak można nauczyć dzieci normalnego zachowania. Mówienie, że tam tak jest, a tak było mówione, nie do końca się zgadza, ponieważ w żadnym barze, gdzie byliśmy, nikt nie siedział na podłodze, czyli trzeba uczyć normalnego zachowania przy stole".

Chciałem się dowiedzieć od pani Sobków, skąd tak odmienne spostrzeżenia w jej obu relacjach i czy z tego miałoby wynikać, że ktoś ingerował w treść jej tekstu opublikowanego na blogu, lecz nie chciała ze mną rozmawiać i nie odpowiedziała też na to pytanie przesłane pisemnie.

TEKST POD TEZĘ?

Dlaczego panowie Żytnicki i Pawlicki nie zainteresowali się tymi sprzecznościami? Rzecz jasna, teksty te powstały w różnym czasie i zmiana postrzegania rzeczywistości mogła wynikać z dalszych obserwacji wolontariuszki na miejscu, ale czy dziennikarz śledczy nie powinien tego wyjaśnić, zanim zdecyduje, że większą część swoich wniosków o sposobie traktowania dzieci oprze na jednym dokumencie powstałym osiem lat temu?

Odpowiedź na pytanie o sposób działania obu dziennikarzy podsuwa nam jeszcze sam prowincjał dominikanów, o. Paweł Kozacki. W rozmowie z red. Moniką Białkowską dla „Więzi" opisuje, w jaki sposób pewna wypowiedź jego poprzednika, o. Popławskiego, została przez autorów tekstów o „koszmarnym sierocińcu" ks. Godawy wykorzystana do tego, aby sugerować czytelnikom, że ks. Godawa ma problem z alkoholem:

„Krzysztof Popławski w rzeczywistości jednak mówił o tym, że Dariusz ma kłopoty zdrowotne z żołądkiem. Ma refluks, jego mama zmarła na raka żołądka, więc on obawia się, że genetycznie może być tu obciążony. Dlatego musi jadać częściej i uważać z alkoholem. Ale mówimy o leczeniu żołądka, a nie chorobie alkoholowej. Mam wrażenie, że ten tekst był pisany z tezą, że tam się dzieje krzywda. Widać to po doborze naszych wypowiedzi. Nie znalazła się w tekście ani jedna, która pokazywała pozytywne aspekty działalności Dariusza".

Trudno by było tu wymienić wszystkie manipulacje i przekłamania zawarte w tekstach Piotra Żytnickiego i Jędrzeja Pawlickiego. Warto jednak zasygnalizować na koniec, że autorzy uporczywie posługują się kwotami pieniężnymi wyrażonymi we frankach zachodnioafrykańskich, podczas gdy walutą używaną w Kamerunie jest frank środkowoafrykański. To dwie różne waluty, o czym niewładającym językiem francuskim dziennikarz śledczy z „Wyborczej" i jego wspólnik z poznańskiej romanistyki, potrzebny do umiędzynarodowienia tego „śledztwa", najwyraźniej nie wiedzieli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

Nowy Ład, stare problemy

Piotr Hofman

Podczas kryzysów ludzie w naturalny sposób zwracają się w kierunku instytucji publicznych w poszukiwaniu poczucia stabilności i bezpieczeństwa, więc rządzący idealnie wstrzelili się z prezentacją Polskiego Ładu. Przygasająca pandemia jest dobrym momentem na przedstawienie planów reformy gospodarczo-społecznej. Realizacja tego programu będzie jednakże trudna nie tylko z powodu sporów politycznych, lecz także dlatego, że w Polsce od dawna potrzebne są gruntowne i głębokie zmiany, a kryzys dodatkowo obnażył wiele istniejących od lat nieprawidłowości.

Niestety, od kilku lat nasz system podatkowy oraz system dystrybucji świadczeń społecznych stały się areną walki politycznej, a co najgorsze – PR-owskiej. Do systemów wkładane są kolejne wykluczenia, ulgi, zwolnienia. O kształcie zmian w za dużej mierze decydują politycy, a nie ekonomiści i eksperci. A kryterium dla ich wprowadzania nie jest szczegółowa analiza ekonomiczna, tylko wewnętrzne badania sondażowe i strategia marketingu politycznego. Dyskusja w Polsce o systemie podatkowym i dystrybucji świadczeń społecznych jest upolityczniona i staje się ideologiczna. Politycy zbyt rzadko konsultują się z ekspertami i nie przeprowadzają wystarczających konsultacji społecznych.

A w Polsce jest co przebudowywać: zbyt skomplikowany, niespójny system podatkowy, niedofinansowane i niewydolne usługi publiczne oraz niewydajny i nieefektywny system wymiaru sprawiedliwości. Poza tym nieuregulowany rynek pracy, niedający równych szans i uprawnień dla pracowników, a równocześnie generujący dla pracodawców bardzo wysokie koszty pracy.

Nowy Ład powinien przede wszystkim wskazać, jak mamy osiągnąć cele makroekonomiczne i jakie reformy są konieczne we wszystkich obszarach wpływających na rozwój gospodarczy. Filarami Nowego Ładu powinny być praca, praworządność, inwestycje i innowacje oraz solidarność społeczna. W Polskim Ładzie nie znajdujemy oczekiwanych propozycji w zakresie otoczenia prawno-instytucjonalnego dla firm, nie został również poruszony wątek niepewności regulacyjnej stanowiącej w tej chwili kluczową barierę dla inwestycji. Polska potrzebuje poważnej, kompleksowej reformy systemu działania administracji publicznej i wymiaru sprawiedliwości. Bez sprawnie działających, efektywnych i przyjaznych obywatelowi tych dwóch filarów ciężko myśleć o zbudowaniu stabilnego, praworządnego państwa. Jeżeli sprawnie działać będą administracja i wymiar sprawiedliwości, to można realnie zacząć myśleć o kompleksowej reformie i uproszczeniu systemu podatkowo-składkowego oraz ograniczeniu biurokracji.

Uważam jednak, że przesadne są stwierdzenia, iż „Polski Ład zarżnie klasę średnią". Nie ma tu bowiem tak radykalnych posunięć, które miałyby „wykończyć" naszą wciąż za mało liczącą się klasę średnią, którą budują głównie mali i średni rodzimi przedsiębiorcy. Mimo że nowe reformy nie będą wbrew słowom opozycji zabójcze dla budującej się klasy średniej, to jednak na barkach tej grupy społecznej w głównej mierze opiera się dzisiaj utrzymanie funkcjonowania państwa. I niestety to zapewne ta grupa społeczna będzie w dużej mierze sponsorem, a nie beneficjentem nowych reform. Jeżeli jednak Nowy Ład zmieni i usprawni systemowo działanie struktur państwa oraz dzięki ogromnym środkom finansowym i inwestycjom w infrastrukturę poprawi i ułatwi życie wszystkich obywateli, to opłaci się to nam wszystkim.

Jeśli Nowy Ład ma być przełomem, to czas na gruntowne reformy, a nie kolejne zmiany kosmetyczne. Waga i złożoność wielu problemów wymagają głębszego namysłu i szerszych konsultacji społecznych. Potrzebna jest dziś nie tylko korekta proponowanych zmian, lecz także poszerzenie ich o te obszary, które są najistotniejsze z perspektywy strategicznego rozwoju Polski. Polacy potrzebują przejrzystego i dobrze funkcjonującego ładu w systemie administracyjnym i prawnym. Potrzebują stabilnie działającego państwa prawa, które wspomaga i wspiera przedsiębiorczych obywateli. Nie zapominając przy tym o szeroko pojętej sprawiedliwości społecznej i wsparciu dla najsłabszych grup społecznych. Nowy Ład powinien więc być dostosowany do tego, abyśmy stawiali na stały rozwój, a nie jednorazową pomoc, której nie będziemy w stanie efektywnie wykorzystać.

To szansa na zbudowanie nowoczesnej Polski. Polski solidarnej, przedsiębiorczej i opartej gospodarczo i społecznie na stabilnej i silnej klasie średniej.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl a60f4d831b

Jaś Kapela – diaboliczny jurodiwyj

Tomasz Rowiński

Po ostatnich internetowych występach od Jasia Kapeli odcięli się nawet lewicowi publicyści

Odcinek „HejtParku" na youtube'owym „Kanale Sportowym" z udziałem Krzysztofa Stanowskiego i Jasia Kapeli osiągnął do środy zeszłego tygodnia ponad 2,8 mln odsłon. A przecież w przypadku Kapeli mamy do czynienia z osobą dobrze rozpoznawalną tylko niszowo. Słyszeli o nim dziennikarze, lewicowi czytelnicy czy ci, którzy mieli okazję natknąć się na informacje o publicznych wygłupach poety. Z pewnością część klików pochodzi od samego Krzysztofa Stanowskiego, który w swoim solowym formacie na YouTube – „Dziennikarskim Zerze" – za każdym razem przyciąga kilkaset tysięcy użytkowników. Co jednak z resztą oglądających?

WIELKIE ZAŻENOWANIE

Zdaje się, że za trafną uwagę można uznać komentarz Jakuba Tyszkowskiego z lifestyle'owego portalu Vibez.com, który napisał: „Kiedy to oglądałem, pojawiły mi się delikatne flashbacki z czasów, kiedy popularne były patostreamy. Cóż, igrzyska się ludziom podobają". Generatorem popularności rozmowy było niewątpliwie to, że Kapela przyjął na wizji 700 zł wynagrodzenia za udział w programie, co zostało powszechnie uznane za żenujące. Był to jednak tylko wierzchołek góry lodowej wzajemnych prób upokarzania się przez obu publicystów. A przypomnijmy, że dyskusja miała dotyczyć ustawy reprograficznej. Kapela ten pomysł wsparł, ale do programu przyszedł kompletnie nieprzygotowany, a na pytania Stanowskiego często reagował tylko nerwowym śmiechem. Trudno opisać to, co wydarzyło się w „HejtParku" z Kapelą. To trzeba obejrzeć. Może stąd popularność odcinka.

„Nie chcę oceniać intelektu i stanu umysłowego gościa, natomiast prowadzący, widać, bawił się dobrze, widząc, że zaproszona osoba ma tyle słabych punktów, iż atakowanie ich jest proste, łatwe i przyjemne. A gawiedź piszczy i cieszy się, bo rzeź i wyśmiewanie lubimy jeszcze bardziej niż myślenie" – napisał ironicznie Grzegorz Marczak na Antyweb.pl. Zachowania Kapeli nie da się w całej sprawie pominąć. „Być może nie była to kwestia intelektualna, tylko zdrowotna – bo w pewnym momencie chyba spadł mu cukier, skoro zlizał coś z dłoni" – napisał po programie Stanowski. To była aluzja do narkotyków. Poeta jawnie przyznaje się do używania środków odurzających, a nawet napisał na ten temat książkę pt. „Warszawa wciąga. Tu byłem, tu ćpałem, tu piłem", która ukazała się nakładem wydawnictwa Czerwone i Czarne. „Był taki pomysł, żeby oznaczyć, który rozdział na czym pisałem i co w danym miejscu zażywałem, ale to byłoby trudne do ustalenia. Nie zawsze pamiętam, co brałem. Głównie wspomagałem się amfetaminą" – mówił w jednym z wywiadów. Kapela podobnie jak u Stanowskiego zachowywał się i w kolejnym wywiadzie na YouTube, który przeprowadziła z nim Malina Błańska, kojarzona kiedyś z tygodnikiem „Nie". Zapytała poetę o narkotyki: „Może ty byś brał ich trochę mniej?".

Świadectw zażenowania występem Kapeli u Stanowskiego po liberalnej i lewicowej stronie było sporo. Jan Śpiewak napisał na Twitterze: „Wczoraj w Polsacie Ikonowicz walczył z lichwia-

eprasa.pl a60f4d831b

Najczęstszym uczuciem podczas oglądania Kapeli u Krzysztofa Stanowskiego było zażenowanie – zrzut z programu „HEJTPARK – PRZEJDŹMY NA TY" FOT. YOUTUBE/KANAŁ SPORTOWY

rzami i pomagał ludziom wyjść ze spirali długów. Wczoraj Kapela u @K_Stanowski za 700 zł przez dwie godziny gadał farmazony i kompromitował lewicę. Chcę lewicy Ikonowicza, nie Kapeli". Łukasz Rojgosz z portalu Gazeta.pl dodawał: „Jaś nie ma w sobie grama wstydu. Dla mnie to jest niekwestionowany król społeczno-politycznego cringe'u".

Czy jednak Krzysztof Stanowski zaprosił swojego gościa tylko po to, by go upokorzyć? Nie wydaje się. „Mówiono mi, że Jaś to inteligentny i pyskaty koleś. No to sobie kombinowałem, co może powiedzieć i w jaki sposób ja mogę wówczas zripostować. Poczytałem jego artykuły z »Krytyki Politycznej« i o ile z wieloma się nie zgadzałem co do treści (a z kilkoma się zgadzałem), o tyle byłem pod wrażeniem stylu – bo Jaś naprawdę umie pisać, a jak ktoś umie pisać, to od razu ma u mnie plusa. Na żywo jednak olbrzymie rozczarowanie – nawet nie było jak się poprztykać" – napisał na Facebooku Stanowski.

„CUDOWNE DZIECKO HA!ARTU"

Kapela od lat jest związany ze środowiskiem skrajnie lewicowej „Krytyki Politycznej", gdzie pracuje jako redaktor. Jest absolwentem filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, ukończył warszawskie Wielokulturowe Liceum Humanistyczne „Bednarska" znane z tego, że jest kuźnią lewicowych elit. Szkoła angażuje się w różne polityczne aktywności, jak choćby współorganizowała warszawskie feministyczne Manify. Jako poeta Kapela dał się poznać podczas pierwszego poetyckiego slamu w Starej ProchOFFni, gdzie w roku 2003 wygrał publiczny konkurs poetycki. Jego odczytania własnych tekstów można zresztą obejrzeć na YouTube, w większości pochodzą z pierwszej dekady XXI w. Styl tych tekstów jest groteskowy, prześmiewczy, wulgarny, jednocześnie często pomysłowy – zarówno jeśli chodzi o umiejętność tworzenia gier słownych, przewrotność polityczną, jak i elementy performatywne.

Aby dobrze zrozumieć nastroje, jakie panowały wokół twórczości Kapeli kilkanaście lat temu w środowiskach lewicy kulturowej, warto przytoczyć opis jednego z filmów z jego występem. „Cudowne dziecko Ha!artu" – napisał właściciel kanału. To właśnie w Ha!arcie, lewicowym wydawnictwie, które powstało przy ukazującym się od 1999 r. czasopiśmie o tym samym tytule, ukazał się debiutancki tom poezji Jasia Kapeli pt. „Reklama" (2005). Ha!art wydał także kolejne zbiory jego tekstów poetyckich – „Życie na gorąco" (2007) oraz „Modlitwy dla opornych" (2017). Z kolei trzy powieści Kapeli wydało Wydawnictwo Krytyki Politycznej. „Stosunek seksualny nie istnieje" ukazał się w roku 2008, „Janusz Hrystus" w 2010, a „Dobry Troll" w 2015 r. To samo wydawnictwo opublikowało tom felietonów Kapeli pt. „Jak odebrałem dzieci Terlikowskiemu". Na tej ostatniej książce – zgodnie z zauważalną w aktywności Kapeli metodą autokompromitacji – znajdziemy blurb samego Tomasza P. Terlikowskiego: „Żarty to na poziomie poprzedników Jasia Kapeli z KPP. Mocne, żołnierskie, bez cienia polotu".

Razem ze swoją byłą partnerką życiową Hanną Zagulską Kapela napisał też ociekającą od lewicowych stereotypów na temat polskiego społeczeństwa książkę dla dzieci „Odwaga". Zagulską można kojarzyć głównie z tego, że stała się twarzą filmu „Aborcja jest OK" na kanale Stonewall TV, gdzie przyznała się do dokonania dzieciobójstwa prenatalnego i przekonywała o bezproblemowości takich aktów.

Przewrotny charakter miał także youtube'owy performance Kapeli „Przepraszam za moje śmieszkowanie", który jest upozorowaną na autentyczną samokrytyką skruszonego lewicowca. Inny „performance" to przeróbka polskiego hymnu na „hymn uchodźców". Kapela został za nią skazany prawomocnym wyrokiem na grzywnę. Ostatecznie uniewinniono go w 2019 r., po interwencji Rzecznika Praw Obywatelskich Adama Bodnara. Pomniejszych prowokacji Kapeli jest wiele, a to rozgryza zębami model dziecka w embrionalnym okresie życia, a to fotografuje się na tle napisu na murze „Papież ch.. Polska kur..", a to maszeruje ubrany w wieczorową sukienkę w czasie Marszu Szmat.

Kapela w swoich występach często – częściej nawet, niż statystycznie robi to lewica – odnosi się w szyderczy sposób do wątków chrześcijańskich. Nie dziwi to, jego rodzinna formacja jest katolicka. Gdy jeden z widzów „HejtParku" zapytał Jasia Kapelę o jego relacje z rodzicami, ten szybko uciął temat, mówiąc, że rodzice w relacjach z nim nie kierują się walką ideologiczną, ale miłością chrześcijańską. Teresa Kapela, matka Jasia, która jest znaną działaczką katolicką, w 2013 r. w wywiadzie dla „Frondy" mówiła: „Nie wiem, co sprawiło w Jasiu tak mocne zaprzeczenie chrześcijańskich wartości. Nie umiem sobie na to pytanie odpowiedzieć". Zresztą temat lewicowego poety, performera i aktywisty pojawiał się często w rozmowach, które przeprowadzali z Teresą Kapelą różni dziennikarze. Relacja z rodzicami ewidentnie rezonuje w Jasiu Kapeli. Gdy pod koniec 2020 r. w TVP3 ukazał się poświęcony im odcinek programu „Owszem Mazowsze", napisał on w mediach społecznościowych, na swoim profilu „Nienawidzę Jasia Kapeli": „Choć w wielu rzeczach nie zgadzam się z moimi rodzicami, to jednak fakt, że ciągle ze sobą rozmawiamy, a nawet się lubimy, jest godny uwagi, więc polecam obejrzeć poświęcony im odcinek »Owszem Mazowsze« i zobaczyć, jacy są kochani".

Po wizycie w „HejtParku" Kapela osiągnął jednak coś, czego się chyba nie spodziewał – odcięli się od niego także komentatorzy o poglądach lewicowych. Jeśli jednak ktoś konsekwentnie zachowuje się jak diaboliczny jurodiwyj, to z czasem musi się spodziewać, że zajmie rzeczywiście miejsce jurodiwego – na społecznym marginesie. Ryzykowna autokreacja. Tylko czy w przypadku Jasia Kapeli nie przeszła ona już w fazę zwykłej ludzkiej degeneracji i autodestrukcji?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

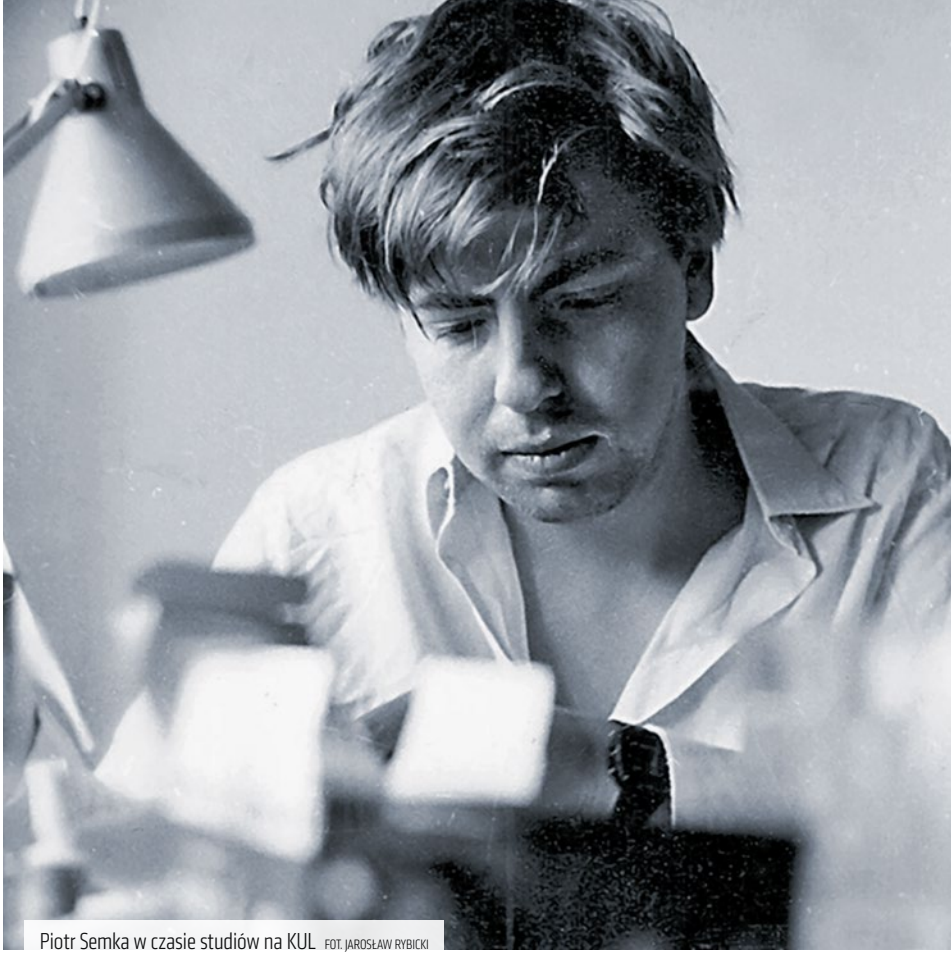

Piotr Semka w czasie studiów na KUL FOT. JAROSŁAW RYBICKI

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką
przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

Pierwsze niepokojące sygnały

JAN HLEBOWICZ: Czy przychodząc na Katolicki Uniwersytet Lubelski, byłeś człowiekiem ukształtowanym duchowo, wierzącym, związanym z Kościołem?

PIOTR SEMKA: W Gdańsku Ruch Młodej Polski traktowałem bardziej jako ruch antykomunistyczny niż religijny. Nie miałem ugruntowanej refleksji chrześcijańskiej, tak jak chociażby Aleksander Hall. Dopiero na KUL zacząłem krok po kroku układać sobie pewne rzeczy w głowie. Sięgnąłem po lektury dotyczące teologii oraz etyki katolickiej, a także uczestniczyłem w spotkaniach z przedstawicielami opozycji, którzy bardzo serio traktowali kwestię aborcji. Czymś, co z pewnością ukształtowało mnie jako chrześcijanina, były wykłady z zakresu biblistyki prof. Stanisławy Grabskiej. Po pewnym czasie, przyjeżdżając do Gdańska, poczułem, że na tle Mariusza [Wilczyńskiego – przyp. J.H.] i Jacka [Kurskiego – przyp. J.H.] przesunąłem się zdecydowanie na prawo.

To czas, kiedy Kościół stał się oparciem dla wielu ludzi – także przedstawicieli środowiska KOR.

Pozycja kościelnej hierarchii była w naszych oczach bardzo duża i raczej nikomu nie przychodziło do głowy, że po tym, co Kościół robi dla odzyskania w Polsce wolności, w niedalekiej przyszłości pojawią się głosy ze strony tych samych ludzi, którzy korzystali z plebanii w całej Polsce do głoszenia patriotycznych wykładów, że miejsce Kościoła jest w kruchcie. Chociaż uważny obserwator dostrzegał już wtedy pewne zagrożenia, które ujawniły się w pełnej krasie dopiero po 1989 roku. Pierwsze niepokojące sygnały, które wydawały się wówczas dziwactwem i niewiele znaczącym odstępstwem od normy, dostrzegałem na łamach „Tygodnika Mazowsze". W gazecie pojawiły się wówczas głosy krytykujące środowisko skupione wokół kościoła Matki Bożej Częstochowskiej przy ulicy Zagórnej 5 w Warszawie. Rzeczywiście, od czasu do czasu pojawiali się tam dziwni pojedynczy panowie sprzedający pisma endeckie z tytułami: „Rozpoznaj żyda" albo „Rozpoznaj masona". Był to jednak absolutny margines, prawdopodobnie te osoby nie miały z Kościołem wiele wspólnego, mogły być nawet agentami bezpieki. Na łamach „Tygodnika Mazowsze" ukuto jednak wówczas określenie „Kościół Zagórnej" i pytano, dlaczego hierarchia kościelna akceptuje zjawisko antysemityzmu. Zdecydowanie rozdmuchano problem. Inną inicjatywą „Mazowszanki", jak wówczas zwano ten organ Regionu Mazowsze, było dołączenie do jednego z numerów podręcznika do spraw seksu dla szkół, w którym promowana była antykoncepcja, a propagowane treści dalekie były od tego, co

eprasa.pl a60f4d831b

proponował wówczas Kościół w ramach tzw. teologii ciała zgodnie z nauczaniem Jana Pawła II. Te elementy sporu ideologicznego były jednak marginalne i nie uznałem ich za szczególnie istotne. Najważniejsze pozostawało wysadzenie z siodła Jaruzelskiego.

Różnice ideowe nie odgrywały większego znaczenia?

Dzisiejszy podział Polski na dwa zasadnicze obozy, wywodzące się z tego samego, solidarnościowego pnia, był wówczas czymś nie do pomyślenia. W latach 80. obowiązywało stuprocentowe zaufanie do wszystkich ludzi podziemia, bez specjalnego przyglądania się ich życiorysom i bez względu na różnice światopoglądowe. Główna różnica polegała na wyborze sposobu „walki", której oś przebiegała między aktywizmem a pacyfizmem.

W drugiej połowie lat 80. wybrałeś pierwszy sposób odzyskiwania niepodległości...

Będąc na KUL, oddaliłem się od RMP działającego w ramach pisma „Polityka Polska", na którego łamach snuto nudne, niemające oparcia w rzeczywistości wizje na temat przyszłości Polski. W tamtym czasie pojawił się też pomysł stworzenia chrześcijańskich związków zawodowych, którym miał patronować Kościół. Pamiętam dobrze, że z misją zakładania owych związków przyjechał na KUL Dominik Morawski, postać z kręgów katolickich, watykański korespondent sekcji polskiej BBC. Wygłosił przemówienie, które niezwykle mnie zirytowało. Morawski twierdził, że Solidarność to zamknięta karta, że zrobiła swoje, jednak w formule dobrej dla pierwszej połowy lat 80., a teraz zupełnie nie sprawdza się w rzeczywistości po 1985 roku. Jego głos nie był wówczas odosobniony. Podobny przekaz szedł z części kręgów kościelnych, spod znaku Klubu Myśli Politycznej Dziekania prof. Stanisława Stommy, ówczesnego przewodniczącego Prymasowskiej Rady Społecznej. Udzielali się tam między innymi Wiesław Chrzanowski i Aleksander Hall. Dziekania była rodzajem klubu dyskusyjnego, a płaszczyznę ideową spotkań stanowiły etyka katolicka i nauka społeczna Kościoła. Na spotkaniach propagowano ideę społeczeństwa obywatelskiego i gospodarki rynkowej. W praktyce były to wielogodzinne, regularne nasiadówki, z których nigdy nic konstruktywnego nie wynikało. Ja i moi koledzy z Gdańska wierzyliśmy w Solidarność, chcieliśmy nowej rewolty i całkowitego rozprawienia się z „czerwonymi".

Nie dostrzegałeś w opozycyjnych środowiskach związanych z Kościołem ciekawej alternatywy dla grupy skupionej między innymi wokół Adama Michnika?

Wtedy jeszcze nie bardzo. Pamiętaliśmy prowadzone na początku stanu wojennego rozmowy między kościelnymi hierarchami a władzą. Kościół zachęcał Wałęsę do maksymalnego otwarcia na dyskusję o tym, jaka ma być nowa, odradykalizowana Solidarność i jak dalece ma przyjąć żądania władz. To wszystko mogło być, jak się zdaje, dla prymasa Glempa kwestią otwartą w tak dużym stopniu, że zbulwersowało wielu aresztowanych 13 grudnia działaczy.

Pytanie, czy słusznie. Przecież 15 grudnia 1981 roku Rada Główna Episkopatu zażądała oficjalnie uwolnienia internowanych i „przywrócenia związkom zawodowym, zwłaszcza związkowi zawodowemu Solidarność, zgodnego ze statutem działania".

Oficjalnie tak. Z drugiej strony wciąż pozostaje zagadką, jaka była rola osobistego przedstawiciela prymasa, ówczesnego rzecznika prasowego Episkopatu, ks. Alojzego Orszulika. Jego szczególnie intensywne wizyty w miejscach odosobnienia Wałęsy odbyły się w czasie ostatnich dziesięciu dni grudnia 1981 roku. Według licznych przekazów i relacji osób wywodzących się z kręgów Kościoła ks. Orszulik przekonywał wtedy Wałęsę w imieniu prymasa Glempa do podjęcia rozmów z władzą. Duchowny przytaczał słowa Wałęsy, które padły podczas jednego ze spotkań: „Nie jestem samobójcą. Nie będę wchodził w głupie układy. Nie będę podburzał czy organizował strajku. Chcę pomóc generałowi. Proszę o wypuszczenie członków prezydium i umożliwienie im spotkania z członkami KK [...]. Stan wojenny musi być utrzymany, bo nie można przejść z ciepłego w zimne".

Według Pawła Zyzaka w archiwum Mitrochina znaleźć można meldunek Czesława Kiszczaka do KGB, że prymas Glemp „jest całkowicie rozczarowany Wałęsą i uważa, że przywódcy związkowi nie wyciągnęli wniosków z niedawnych wypadków i nie chcą ustąpić z dotychczasowego stanowiska". Jak interpretować te słowa?

Można zaryzykować tezę, że prymas zachęcał Wałęsę do odcięcia się od doradców z kręgów KOR-owskiej lewicy laickiej. Wałęsa jednak się nie zgodził. Pytanie, czy już podczas rozmów Wałęsa-Kościół prowadzonych w stanie wojennym nie pojawiła się późniejsza koncepcja uznania Solidarności za zamknięty rozdział i powołania związków o charakterze chadeckim. Tak czy inaczej, 1 stycznia 1982 roku – jak można się domyślać, pod wpływem rozmów z ks. Orszulikiem – Wałęsa złożył na ręce duchownego deklarację, w której zapewniał władze, że nie będzie organizował strajków.

Rozmowy prymasa z Lechem Wałęsą za pośrednictwem ks. Orszulika wynikały z troski o to, by nie doszło do rozlewu krwi.

Biorę to pod uwagę. Jednak o tym, jak bardzo udział Kościoła był w tych negocjacjach dwuznaczny moralnie i politycznie, świadczyć może fragment notatki ks. Orszulika ze spotkania komisji wspólnej rządu i Episkopatu, gdzie czytamy: „Mimo ogromnej siły, jaką ma państwo, nie można lekceważyć Solidarności. Nie przeszłoby tak łatwo wprowadzenie stanu wojennego, gdyby także nie postawa Kościoła". Oczywiście trzeba pamiętać o kontekście tych rozmów – przedstawiciele Kościoła starali się ratować nawet najmniejszą szansę na powrót Solidarności do normalnej aktywności. Ale wykastrowana, ugrzeczniona Solidarność byłaby wtedy, na początku 1982 roku, ciosem dla ludzi wiernych ideałom Sierpnia i triumfem Jaruzelskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- ***„Jak Semkowie Polskę wybrali"*** – nr 16/2021
- ***„Dziadek Jan i dziadek Józef"*** – nr 17/2021
- ***„Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową"*** – nr 18/2021
- ***„Niepokorna Topolówka"*** – nr 19/2021
- ***„Dramatyczny czas"*** – nr 20/2021
- ***„Licealna konspira"*** – nr 21/2021
- ***„Koledzy z konspiry"*** – nr 22/2021
- ***„Prywatna wojna z komunizmem"*** – nr 23/2021
- ***„Uciekaliśmy od bezruchu"*** – nr 24/2021
- ***„Pobudzający mętlik idei"*** – nr 25/2021
- ***„Podziemny Lublin, podziemny Gdańsk"*** – nr 26/2021

eprasa.pl a60f4d831b

Cenzura osiągnięć

Łukasz Zboralski

W tym roku rodzice się dowiedzieli, że to błąd chlubić się szkolnymi dokonaniami dzieci – czyli pokazywać ich świadectwa z biało-czerwonym paskiem. Akcję jednej z fundacji ochoczo podchwyciły media. Czy naprawdę powinniśmy ukrywać osiągnięcia młodych tylko dlatego, że nie wszyscy uczniowie są najlepsi?

Dla dzieci to był naprawdę trudny (kolejny zresztą) pandemiczny rok szkolny. Trzeba było dużo więcej wysiłku wkładać w edukację, która głównie sprowadzała się do siedzenia przed komputerem na zdalnych lekcjach. Tymczasem tuż przed końcem roku szkolnego rodzice dowiedzieli się, że nie powinni publicznie chwalić swoich dzieci za szkolne osiągnięcia. Fundacja ALEKlasa zaproponowała akcję „Jestem dumna/y z dziecka, nie ze świadectwa". Akcję ochoczo podchwyciły media – m.in. Onet.pl i „Gazeta Wyborcza".

– Co roku, nie tylko w mojej grupie, ale w całym Internecie, pojawiały się niezliczone posty rodziców pokazujących świadectwa dzieci. Z roku na rok takich wpisów było coraz więcej. Obserwuję, jak od jakichś trzech lat to zjawisko się wzmaga. W dniu końca roku szkolnego wylewa się masa postów ukazujących świadectwa z biało-czerwonymi paskami. Chciałam więc swoim apelem to wyprzedzić – opowiadała „GW" Izabela Hnidziuk-Machnica z Fundacji ALEKlasa, pomysłodawczyni akcji.

„»Jestem dumna/y z dziecka, nie ze świadectwa« – akcja, która ma zakończyć festiwal przechwalania się rodziców świadectwami z biało-czerwonym paskiem" – tak zatytułował tekst portal Kobieta.pl. W artykule, powołując się na zdanie fundacji, pisano o „corocznym szaleństwie", któremu mają oddawać się rodzice, czyli upublicznianiu świadectw będących dowodem na wysokie osiągnięcia edukacyjne dzieci.

„Przyłączcie się do nas i w dniu zakończenia roku szkolnego wspólnie afirmujmy potencjał, pasje i dumę z naszych dzieci – nie za ich oceny czy świadectwa, ale po prostu za to, jakie są" – apelowała z kolei sama Fundacja ALEKlasa na swoim profilu facebookowym.

DOBRA AKCJA CZY MANIPULACJA

Trudno nie zauważyć, że akcja pozornie zachęcająca do lepszego spojrzenia na dzieci w rzeczywistości wymierzona jest w cenzurowanie osiągnięć. I uzyskano to za pomocą manipulacji.

Już w samym tytule akcji przeciwstawiono sobie bycie dumnym z dziecka byciu dumnym jedynie z dokumentu. To oczywista aberracja. W systemie – a tak zwykle są skonstruowane systemy masowej edukacji – oceny, a więc i świadectwa są, jak sama nazwa wskazuje, pewnym świadectwem tego, jaką pracę wykonał uczeń. Nie można zatem być dumnym „ze świadectwa" jako jakiegoś nic nieznaczącego dokumentu. W istocie tacy rodzice dumni są z tego, jaki poziom ich dziecko wypracowało w szkole.

Oczywiście publiczny system nie jest idealny. Prawdą jest też, że czasem oceny nie odzwierciedlają wkładu pracy – czasem dziecko zasługiwało na więcej, ale z różnych przyczyn (także niewłaści-

eprasa.pl a60f4d831b

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

wego podejścia nauczycieli) otrzymało niższy stopień. Z kolei niektóre dzieci czwórki czy trójki na koniec roku osiągają tytaniczną pracą – bo takie, a nie inne są ich uzdolnienia i predyspozycje (a często także zaplecze domowe – wiadomo od lat, że największy wkład w sukces edukacyjny ma środowisko domowe, zaangażowanie rodziców, ich wykształcenie itd.). Wiadomo też, że czasem wyniki dziecka wyrażone w ocenach są poświadczaniem pewnej fikcji. Z tym w widoczny sposób zmagaliśmy się akurat podczas pandemii. Opisywałem już w „Do Rzeczy" problem rodziców, którym przede wszystkim zależy na lepszych ocenach – ci posuwali się podczas zdalnej edukacji do tego, że pisali sprawdziany za swoje pociechy czy podpowiadali z boku podczas przepytywania przez nauczycieli.

Ostatecznie jednak kwestionowanie tego, że oceny szkolne cokolwiek odzwierciedlają, byłoby nonsensem. Nie mogą one być – i przecież nie są – podstawowym celem edukacji. Jakoś jednak przyrost wiedzy i umiejętności zdecydowaliśmy się mierzyć. Możemy opisywać go słowami – tak, jak dzieje się to w klasach I–III szkoły podstawowej (wyjątkiem pozostała tam na świadectwach religia, której ocena wyrażona jest cyfrą), możemy też wyrażać go w skali stopniowej 1–6.

Nikt nie powinien się czuć zatem gorszy dlatego, że otrzymał ocenę dostateczną, ale też nikt nie powinien czuć się zawstydzony tym, że jego poziom wiedzy i umiejętności nauczyciele oceniają na piątkę czy szóstkę. Przy czym – zatrzymując się na ocenach niższych – należy też zauważyć, że czasem wynikają one nie z ograniczonego potencjału dziecka, ale z braku pracy, zaangażowania. I to już najlepiej wiedzą sami nauczyciele oraz rodzice takich dzieci.

Drugą manipulacją w akcji Fundacji ALEKlasa jest określenie „przechwalanie się" na publiczne pokazywanie świadectw szkolnych dzieci np. w sieciach społecznościowych (zauważmy przy tym, że przez migracje zarobkowe oraz samą pandemię pokazanie świadectwa dzieci babciom, dziadkom, ciociom czy znajomym rodziny jest możliwe głównie dzięki łączności w Internecie). Przechwalanie się w języku polskim oznacza bowiem przesadne chwalenie kogoś/czegoś, przesadzenie w chwaleniu. Czy pokazanie dokonań dziecka ma być samo w sobie przesadą? Takie podejście do świadectw szkolnych to jest dopiero wybitna przesada! Z małym zastrzeżeniem – szerokie publikowanie w Internecie zdjęć świadectw, poza grupą znajomych czy rodziny, może budzić kontrowersje.

MOTYWOWAĆ CZY RÓWNAĆ W DÓŁ?

Dlaczego w ogóle pojawiła się taka akcja w Internecie? Pewną wskazówką może być to, z jakich kręgów wypłynęła. Fundacja ALEKlasa jako podstawowe swoje zadanie wymienia pomoc dzieciom ze spektrum autyzmu i wymienia tu jako szczególny przypadek zespół Aspergera. „Wystarczy nieco otwartego umysłu, trochę pracy, a dzieci z zespołem Aspergera pokażą pełnię swoich możliwości. Dlatego też ALEKlasa pragnie wspierać edukację, a także rozwój takich osób" – czytamy na stronie fundacji. Sama inicjatorka akcji – Izabela Hnidziuk-Machnica – przedstawia się jako mama chłopca ze „spektrum autyzmu". Fundacja organizowała wiele konferencji poświęconych problemom szkolnym dzieci z zespołem Aspergera (znajdziemy na jej stronie takie tematy jak: „Dlaczego w szkole jest tak trudno? Moja perspektywa" – wystąpienie Filipa Skury podczas konferencji „Szkoła z zespołem Aspergera II 2019").

Jest czymś oczywistym, że dzieci z pewnymi przypadłościami radzą sobie w szkole gorzej. A to, że polski system edukacji włączającej nie działa sprawnie, jest w ogóle tematem na oddzielny duży tekst. Trudno jednak przez taki pryzmat postrzegać całą rzeczywistość szkolną i np. polecać rezygnowanie w ogóle z oceniania dokonań szkolnych czy pokazywania ich publicznie.

Oceny szkolne nie mogą być – i przecież nie są – celem edukacji. Jakoś jednak przyrost wiedzy i umiejętności zdecydowaliśmy się mierzyć

Pamiętajmy, że osiągnięcia najlepszych uczniów to nie tylko dowód ich pracy i zaangażowania. To także zawsze pewna wskazówka dla innych. I myślę tu nie o dzieciach, które mają ograniczone możliwości. Mam na myśli dzieci z potencjałem, które nie osiągają tego, co mogą, jedynie np. przez brak zaangażowania czy lenistwo. Osiągnięcia innych mogą być dla nich motywacją. Jasne, że mogą być i demotywujące. Tylko że to już nie zależy od tego, czy w szkołach stawiamy stopnie, ale od tego, jak wychowują dziecko rodzice. Czy potrafią rozpoznawać potencjał i zdolności swoich dzieci? Czy potrafią wskazywać im przykłady do naśladowania? Czy wzbudzają w nich zdrowe ambicje (tak, rywalizacja nie zawsze musi oznaczać „wyścig szczurów")? I z drugiej strony – czy wiedząc o ich ograniczonych zdolnościach, potrafią być z nich dumni za ich ciężką pracę, która prowadzi do osiągnięć wyrażanych przez publiczny system oświaty jako np. „średnie"? I czy potrafią wytłumaczyć swoim dzieciom, że na świecie są ludzie, którzy coś potrafią gorzej, i tacy, którzy robią coś lepiej, oraz potrafią nauczyć dzieci, że należy się z tym pogodzić, a nie to ukrywać?

Prawdziwa miłość do dzieci nie powinna prowadzić do ukrywania przed nimi, że świat nie jest jednakowy. Że prawie w każdej dyscyplinie można znaleźć kogoś, kto osiąga więcej od nas. To nie powinno nikogo dojrzałego frustrować, choć może skłaniać go do pracy nad sobą. Pozwólmy naszym dzieciom stawać się dojrzałymi dorosłymi. Inaczej podążymy drogą, na której końcu będzie ukrywanie wyników w sporcie – podawanie rekordów biegów może przecież sprawić przykrość tym biegaczom, którzy byli na mecie na miejscu ostatnim czy przedostatnim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

FOT. AGNIESZKA NIEWIŃSKA

Zakupy dla potrzebujących

Agnieszka Niewińska

Mąka za 1 zł, cukier za 1,5 zł – to ceny w pierwszym sklepie socjalnym w Warszawie. Takie placówki są już w Legnicy i Katowicach. W planach są kolejne, które dzięki niskim cenom dadzą szanse na zakupy potrzebującym

Dopiero dochodzi południe, a w sklepie Spichlerz otwartym przed tygodniem na warszawskim Mokotowie gwarno jak w ulu. W kolejce do kasy ustawiają się seniorzy, mamy z dziećmi. Między regałami krąży starsze małżeństwo, które starannie przegląda produkty, zanim włoży je do koszyka. Ceny są bardziej niż przystępne: kilogram cukru, paczka owocowej herbaty czy makaronu kosztuje tu 1,5 zł, mąkę dostaniemy już za złotówkę, a za puszkę pasztetu drobiowego zapłacimy 80 gr. Są też środki czystości, dział z ubraniami i tekstyliami.

Skąd tak korzystne oferty, kiedy dookoła wszystko drożeje? Spichlerz to sklep socjalny, który w sprzedaży ma produkty o krótkim terminie przydatności do spożycia. Przekazują je bezpłatnie lub za niewielką opłatą sieci handlowe, producenci czy dystrybutorzy. Produkty te nadal są pełnowartościowe, więc zamiast do utylizacji mogą trafić na półki Spichlerza, a za jego pośrednictwem do potrzebujących. Z zakupów w Spichlerzu mogą skorzystać te osoby, których niskie dochody poświadczyły Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej lub Fundacja Wolne Miejsce – to ona stoi za inicjatywą. W sobotę sklep jest otwarty dla wszystkich, bo obok pomocy potrzebującym ważne jest także to, by żywności nie zmarnować.

NA POCZĄTKU BYŁ GOŚĆ

Wszystko zaczęło się 22 lata temu od dodatkowego nakrycia przy wigilijnym stole. – Nie chciałem stawiać dodatkowego talerza i po kolacji chować go do kredensu. Zaprosiłem sąsiada, by zasiadł do wigilijnej kolacji z moją rodziną. Wtedy zobaczyliśmy, jak ważne jest dla osób samotnych to, że w święta ktoś je zauważy, zaprosi. Zaczęliśmy do mieszkania zapraszać inne samotne osoby – opowiada

eprasa.pl a60f4d831b

Mikołaj Rykowski, prezes Fundacji Wolne Miejsce. – W pewnym momencie musieliśmy „wyjść" z mieszkania, bo przychodziło do nas ok. 30 osób. Kilka razy na święta zapraszaliśmy je do restauracji, potem były już wielkie hale. Ostatnią Wielkanoc organizowaliśmy w 25 miastach, tyle że tym razem ze względu na pandemię były to mobilne święta. Dojeżdżaliśmy do osób samotnych. Tylko w Warszawie było 8 tys. takich świątecznych spotkań, w których ważne jest nie tylko jedzenie, lecz także czas spędzony z drugim człowiekiem – wylicza. Dodaje, że fundacja szukała sposobu, by pomagać nie tylko w święta, lecz także przez cały rok. Z pomysłem przyszli wiedeńczycy, którzy w austriackiej stolicy prowadzą 16 sklepów socjalnych. – Obserwowali naszą działalność na Facebooku i zaprosili nas do siebie, by pokazać nam swoje sklepy. Uznali, że moglibyśmy otworzyć coś takiego w Polsce. Od razu zakochaliśmy się w tym pomyśle – przyznaje Rykowski.

Pierwszy sklep socjalny Fundacja Wolne Miejsce otworzyła w grudniu 2020 r. we współpracy z katowickim samorządem. Drugi powstał w Warszawie, a niebawem przybędą kolejne. – Właśnie wracam z Piaseczna. Podpisałem umowę z miastem, powstanie tam kolejny Spichlerz. Po tym, jak uruchomiliśmy sklep socjalny w Katowicach, zaczęło się do nas zwracać wiele samorządów. Mamy plany otworzenia kolejnych Spichlerzy, m.in. w Krakowie, Toruniu, Bydgoszczy, Przemyślu, Wołominie, a także następny sklep w Warszawie – tym razem na Pradze – opowiada Rykowski. Chciałby, żeby potrzebujący sklepy socjalne mieli w swojej najbliższej okolicy. – Taki sklep przywraca ludziom godność. Nie dostają paczek żywnościowych z tym, co akurat jakaś organizacja ma w magazynie. Sami mogą wybrać produkty, które lubią i których potrzebują, przymierzyć ubrania, w których będą chodzić, i za to wszystko zapłacić cenę będącą w ich zasięgu. Sklep socjalny to pomoc zwłaszcza dla osób, które mają bardzo niskie dochody, brakuje im środków na podstawowe rzeczy, ale jednocześnie nie zgłoszą się po pomoc instytucjonalną, bo uważają, że są ludzie w trudniejszej od nich sytuacji.

W Legnicy sklep socjalny w marcu otworzyła Fundacja ESPA. Powstał w lokalu po dawnym osiedlowym markecie. – Od lat działamy w zakresie pomocy humanitarnej, charytatywnej, społecznej, udzielamy także pomocy rzeczowej potrzebującym. Sklep jest przedłużeniem tej działalności w naszym lokalnym środowisku – mówi Norbert Palimąka, prezes Fundacji ESPA. – Chcieliśmy zrobić coś dla mniej zamożnych mieszkańców, którzy mają problemy z tym, by przeżyć od pierwszego do pierwszego.

Pomysł socjalnych sklepów Fundacja Wolne Miejsce skopiowała od Austriaków, którzy pokazali Polakom, jak to działa w Wiedniu

Klientów nie brakuje. Fundacja współpracuje z legnickim MOPS i kilkoma innymi legnickimi organizacjami, które informują ludzi w trudnej sytuacji, że w sklepie socjalnym mogą zrobić zakupy po preferencyjnych cenach. – Kupujący otrzymują u nas kartę klienta, która upoważnia ich do zakupów zgodnie z przyjętymi przez nas kryteriami – mówi Palimąka.

COŚ, CO ŁĄCZY

W warszawskim Spichlerzu wystarczy minąć kasę, by znaleźć się w przestrzeni kawiarnianej. Są stoliki, wygodne kanapy, wiklinowe pufy, poduchy. – Chcieliśmy stworzyć miejsce, w którym potrzebujących i samotnych zawsze ktoś serdecznie przyjmie. Tu mogą codziennie przyjść, porozmawiać, wejść w relację z innymi, wypić kawę. Umeblowała nas Ikea, inny darczyńca podarował nam wysokiej klasy ekspres do kawy, będą też soki i koktajle. Chcemy organizować tu ciekawe, integrujące spotkania. Tak jak w Katowicach będą tu warcaby, szachy, karty. Pomożemy też np. w napisaniu pisma do urzędu. Do Spichlerza nie będzie się jedynie przychodzić na szybkie zakupy – zapowiada Mikołaj Rykowski.

Zainteresowanie sklepami socjalnymi nie powinno dziwić. Wciąż nie brakuje u nas potrzebujących. Z „Raportu o biedzie 2020", które przygotowuje Stowarzyszenie Wiosna, wynika, że skrajne ubóstwo dotknęło 300 tys. dzieci. W rodzinach, które Szlachetna Paczka objęła wsparciem, średni dochód na osobę po odliczeniu stałych kosztów utrzymania wyniósł 12 zł na dzień. „»Średni« oznacza, że w wielu rodzinach kwota ta jest znacznie niższa" – dodają autorzy raportu. Wskazują, że co szósta rodzina, która otrzymuje pomoc Szlachetnej Paczki, żyje bez dostępu do łazienki. 6 proc. nie ma bieżącej wody. W 84 proc. tych rodzin jest przynajmniej jeden chory lub niepełnosprawny członek rodziny. Co trzeciej z nich nie stać na pokrycie comiesięcznych kosztów leczenia, w tym na wykup leków.

NAWET RAK SIĘ NIE ZMARNUJE

Norbert Palimąka dostrzega dwa rodzaje biedy. – Jeden z nich to bieda, która jest w głowie – mówi. – Część osób biednych nauczyła się żyć z zapomóg. Bieda stała się ich sposobem na życie. Drugi rodzaj biedy to efekt nagłego znalezienia się w trudnej sytuacji. Zwykle chodzi o jakieś dramaty życiowe, chorobę dziecka czy któregoś z rodziców. To generuje niesamowite koszty i do domu wdziera się bieda. Uważam, że współczesna Polska nie jest krajem biednym, na co wskazują choćby poziom konsumpcji czy rynek deweloperski, który bez problemu znajduje klientów. Jeśli ktoś może i chce pracować, to jest się w stanie utrzymać. Jednak podobnie jak w innych krajach mamy osoby potrzebujące, do których trzeba wyjść z pomocą – tłumaczy.

Sklepy socjalne mogą funkcjonować tylko wtedy, gdy znajdą się dostawcy produktów sprzedawanych po preferencyjnych cenach. – Chciałbym zaapelować do producentów i dostawców: jeśli mają problem z nadprodukcją, jeśli u nich się te produkty marnują, to sklepy socjalne są odpowiedzią na tego typu problemy. Zachęcamy do zaangażowania w taką inicjatywę. Artykuły z krótkim terminem ważności tracą wartość rynkową, tymczasem my je chętnie sprzedajemy po preferencyjnej cenie – mówi Norbert Palimąka.

– Przyjmujemy produkty nawet o krótszym niż pięciodniowy terminie ważności – mówi z kolei Mikołaj Rykowski. I także zaprasza producentów i dystrybutorów do współpracy. – Bardzo zależy nam na zapewnieniu naszym klientom możliwie jak najszerszego asortymentu. Właśnie udało nam się nawiązać kontakt z dostawcą nabiału, w sklepie niespodziewanie mam też dzisiaj raki – uśmiecha się.

Skorupiaki też mogą być pretekstem do nawiązania znajomości. – Może trzeba było kupić tego raka i popróbować? – rzuca w kolejce jedna seniorka do drugiej. I już jest temat do konwersacji, którą kontynuują po odejściu od kasy, przy kawiarnianym stoliku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

Remigiusz Włast-Matuszak

Nasza Akademia Filmowa, nasi Członkowie, nasi Laureaci. Swój do swego po swoje

Orły i orzełki

Środowisko nie dało się podzielić – stwierdziła Agnieszka Holland w jednej ze swoich licznych deklaracji politycznych. Na gali Akademii w Teatrze Polskim 2020 r. było to widać i słychać. Znalazłem się tam nie jako wyróżniony przedstawiciel słusznego środowiska, lecz jedynie jako „Uczestnik nabożeństwa przybyły nań służbowo". W razie skandalu miałem zaświadczyć „odnośnym władzom" – czyli MKDNiS, jak było rzeczywiście. A na gali było „normalnie", przewidywalnie, kontestacyjnie i totalnie opozycyjnie. Dlatego przedstawiciele MKDNiS, prezydenta czy premiera od 2016 r. unikają udziału w uroczystym wręczaniu Polskich Nagród Filmowych – Orłów Polskiej Akademii Filmowej.

DOCENIONA PROPAGANDA

W 2020 r. nad ołtarzem-sceną Teatru Polskiego unosił się Maciej Stuhr przebrany za archanioła z olbrzymimi skrzydłami. Wyciągając ku nam ręce w geście JPII, powitał nas słowami: „NIE LĘKAJCIE SIĘ". Sala zarechotała. Publiczność z gali w Teatrze Polskim okazała się w rechocie tożsama z publiką z kina Uciecha (zniszczone w powstaniu – ul. Złota 62).

Na pierwszym balkonie królowała kandydatka na prezydentkę RP Małgorzata Kidawa-Błońska w towarzystwie kandydata na pierwszego męża RP, reżysera Jana Maurycego Kidawy-Błońskiego (właśnie PISF dofinansował jego projekt filmu pt. „Kandydatka"). Nagrody były oczywiście swojskie. Film Jana Komasy „Boże Ciało" otrzymał 11 Orłów z 15 możliwych, w tym za scenariusz Mateusza Pacewicza (drugie pokolenie „Gazety Wyborczej"), witanego owacyjnie przez salę. Oficjalna propaganda mediów totalnej opozycji określiła dzieło Jana Komasy jako „polski psychologiczny film religijny". Ja określam ten film jako „świetnie zrealizowany i zagrany finezyjny paszkwil na katolicką Polskę". Za osiągnięcia życia Orła odebrała Maja Komorowska. Nagrody pocieszenia: za najlepszą muzykę i dźwięk – „Ikar. Legenda Mietka Kosza", za charakteryzację – „Piłsudski", za kostiumy „Pan T.". Za najlepszy film dokumentalny uznano oczywiście „Tylko nie mów nikomu" Tomasza i Marka Sekielskich. W filmie jako autorytet za strony KK (?) wypowiadał się „jezuita" Stanisław Obirek. Film zamieszczono 11 maja 2019 r. na YouTube. W ciągu pierwszych trzech dni miał ponad 10 mln wyświetleń.

Oczywiste jest, że film Sekielskich był propagandą przedwyborczą. Przypomnę, że wybory do Sejmu i Senatu odbyły się 13 października 2019 r., a film „Boże Ciało" Komasy „rzucono" do kin dokładnie 11 października (początek weekendu) i do 13 października obraz ten osiągnął rekordowe „otwarcie" w wysokości 164 545 widzów (dane SFP)! Łączna frekwencja na „Bożym Ciele" to 1,4 mln widzów. Proszę pokornie wszystkich mogących bez trudu „odwołać zaćmienie Słońca" (cytat z klasyka), by nie wmawiali mi więcej, że zaprezentowanie tych filmów młodej polskiej widowni nie wpłynęło na wynik wyborów parlamentarnych. Według mnie (a liznąłem trochę propagandy politycznej i psychologii społecznej) Zjednoczona Prawica straciła sporo głosów, co przełożyło się m.in. na utratę dwóch miejsc w Senacie! (Co totalna opozycja wprowadzi na ekrany w 2023 r.?!).

NAGRODZENI W 2021

Może po tym wstępie zabiorę teraz „rozgrzanego czytelnika" na galę polskich Orłów 2021. Pandemia spowodowała, że fetę po raz pierwszy przeniesiono z Teatru Polskiego na Tor Wyścigów Konnych na Służewcu. Przed gorącą jak piec

eprasa.pl a60f4d831b

Orła 2021 za najlepszy serial przyznano serialowi „Król" na podstawie prozy Szczepana Twardocha

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Mariusz Wilczyński i Agnieszka Ścibor – laureaci Orła za najlepszy film („Zabij to i wyjedź z tego miasta")

FOT. PRZEMEK PACZKOWSKI PHOTOGRAPHY

salą bukmacherską rozesłano czerwony dywan, w środku, w stylu kalifornijskim, rozstawiono ponumerowane stoliki dla gości. Limuzyny marki Mercedes (z wielkimi oznaczeniami) dowoziły gwiazdy w kreacjach od Zienia i grube ryby w smokingach. U wejścia czatował Błażej Hrapkowicz z podręczną, realizując making off dla Canal+ (cała transmisja była dostępna na Canal+) i przesłuchiwał wybranych gości – oczywiście pierwszą celebrytką była Maja Ostaszewska w różowych tiulach, która stwierdziła, że film „Jak najdalej stąd" „rozjechał jej duszę" (czyżby jednak była osobą wierzącą?), potem Maciej Stuhr oświadczył, iż „w naszej kinematografii nie ma jednego słabego punktu" (???!) itd. Bardzo sobie ceniłem Błażeja Hrapkowicza jako wyjątkowo inteligentnego i subtelnego krytyka filmowego z TVP Kultura i ze stacji komercyjnych, a tu taka skrzecząca pospolitość – kulturalny i wykształcony znawca filmu w dziwnej roli, w dodatku w cyrkowym smokingu. Smuteczek.

Dyrektor Orłów (od 2012 r.), Dariusz Jabłoński, powitał wybrańców oświadczeniem: „Wspólnota przetrwała". Powitał też dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej Radosława Śmigulskiego jako donatora – „PISF zmienił się w Polski Instytut Pomocy Filmowcom". Rzeczywiście, filmowcy (głównie z opozycji totalnej) otrzymali od resortu kultury zawrotną kwotę wsparcia. Filmowcy nagrodzili dyrektora PISF jedynie zdawkowymi brawkami. A jak podała „Gazeta Wyborcza" (26 maja 2021 r.), PISF dotował Polskie Nagrody Filmowe „Orły" na rok 2021 sumą 350 tys. zł. Resztę kosztów w dużej mierze pokryło SFP z dotacji.

Galę prowadziła „nasza" Grażyna Torbicka zaszyta w historyczną suknię po Marilyn Monroe (na cześć JFK). Nagrody przyznano: siedem Orłów dla filmu „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy" – za reżyserię, role pierwszoplanowe i jedną drugoplanową, scenariusz, montaż oraz dla Jana Holoubka w kategorii odkrycie roku. Nagroda w pełni słuszna – byłem zachwycony filmem na jego pierwszej kolaudacji w kinie Świat przy ul. Belwederskiej. Decydentka musiała mnie mitygować. Film mimo pandemii miał 718 541 widzów. Za najlepszy film (Orzeł) roku 2021 uznano zasłużenie pełnometrażową animację (88 min) Mariusza Wilczyńskiego pt. „Zabij to i wyjedź z tego miasta", w której artysta wspomina wszystkich ukochanych zmarłych z rodzinnej Łodzi. Film uniwersalny – dotyka każdego z nas. Po Złotych Lwach z FPFF w Gdyni 2020 i Wielkim Jantarze z Koszalina to trzecia zasłużona nagroda. Ale pamiętajmy o nieformalnych rozmowach między MKDNiS a szczodrze dotowanym „Środowiskiem". Animacja „Zabij to i wyjedź z tego miasta" to rozsądny kompromis. Gdyby nie „Zabij to…", „najlepszym" filmem roku zostałby pewnie „Szarlatan" Agnieszki Holland – (zaledwie 45 188 widzów) lub „Śniegu już nigdy nie będzie" Małgośki Szumowskiej – śmieszne 22 672 widzów (oba filmy to „nasi" byli kandydaci do Oscarów).

Orły wręczały Orły z lat ubiegłych, i tak Bartosz Bielenia, wręczając nagrodę za rolę kobiecą, nagle stwierdził, że role męskie i kobiece przechodzą do historii kina, i zaproponował przyznanie Orła aktorowi „niebinarnemu". Przeczuwam, że we wrześniu, na 45. FPFF w Gdyni, dyrekcja i jury festiwalu wręczą (klęcząc) pierwszego oficjalnego Lwa Niebinarnego.

W dziedzinie filmów dokumentalnych nagrodzono Orłem dokument pt. „Wieloryb z Lorino" – film poprawny, ale nie wybitny. Uważam, że Orła powinien otrzymać „Zwyczajny kraj" Tomasza Wolskiego – pierwsze tak ostre oskarżenie MSW, SB i PRL o totalną inwigilację współobywateli. I pewnie właśnie dlatego Orła nie dostał.

Za najlepszy serial uznano oczywiście „Króla" Jana P. Matuszyńskiego, zrealizowanego według powieści pt. „Król" Szymona Twardocha (byłego Polaka). Powieść Twardocha to nieudane „zapożyczenie" z genialnej literatury faktu – dokumentalnej historii Jerzego Rawicza pt. „Doktor Łokietek i Tata Tasiemka" z 1968 r. (drugie wydanie WAB 2014 r. z podaniem spadkobierców praw autorskich Jerzego Rawicza). Na podstawie dzieła Rawicza można by było nakręcić dobre 20 odcinków pasjonującego serialu o II RP i PPS, a nie wysoce nieprawdziwy paszkwil antysanacyjny i antypolski. Ale za to właśnie „Król" dostał Orła – za pedagogikę wstydu i zafałszowanie historii Polski.

Za skandal uważam nagrodzenie kina moralnej patologii – filmu pt. „Jak najdalej stąd" Piotra Domalewskiego, który dostał dwa Orły (6177 widzów przy 145 kopiach – ile dopłacono do jednego widza na sali?). Nie mogę tu wymienić dobrych filmów, które powinny otrzymać Orły – dintojra „środowiska" wobec twórców byłaby straszliwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

Lee Child chce już odpocząć

FOT. WPA POOL/GETTY IMAGES

Mroczne skrzyżowanie

Piotr Gociek

Lee Child abdykuje – nowe powieści o Jacku Reacherze pisać będzie jego młodszy brat, Andrew

Jack Reacher od ćwierćwiecza przemierza świat niczym znany z westernów jeździec znikąd: pojawia się w miasteczku, przypadkowo wplątany zostaje w kryminalną intrygę, rozsupłując ją, odkrywa inną – jeszcze groźniejszą – po czym własnoręcznie wymierza sprawiedliwość sprawcom. A następnie rusza w dalszą drogę: niespokojny duch bez domu, stałej pracy, zbędnych rzeczy na grzbiecie.

Ten schemat bywał oczywiście rozciągany, rozszerzany, modyfikowany, wzbogacany o postacie, które zostawały na czas krótszy lub dłuższy sojusznikami milkliwego drągala. Lee Child, człowiek który tę postać wymyślił i w 25 powieściach przedstawiał jej przygody, dokonał rzeczy bardzo rzadkiej. Stworzył współczesnego archetypicznego bohatera, który wdarł się przebojem do panteonu takich gwiazd jak James Bond Iana Fleminga, Philip Marlowe Raymonda Chandlera czy – schodząc pięterko niżej – detektyw Spenser z powieści Roberta B., Parkera albo Travis McGee z serii książek Johna D. MacDonalda.

Jack Reacher to były oficer amerykańskiej żandarmerii wojskowej, ma za sobą nie tylko służbę, lecz także karierę śledczą. Część książek Childa opowiada zresztą albo o sprawach z jego przeszłości, albo o takich, których korzeni szukać należy właśnie tam. Dziecko z rodziny wojskowego, wychowywane w wojskowych bazach rozrzuconych po świecie, jest Reacher współczesnym nomadem całkiem innego rodzaju niż wędrujący za pracą migranci albo peregrynujący po egzotycznych rynkach finansowych specjaliści w białych kołnierzykach. Jego wybór ma inny charakter. Nie szuka ani stałej pracy, ani możliwości zbicia fortuny. Wolność ceni sobie ponad wszystko. A dom, hipoteka, etat, rodzina – wszystko to mogłoby mu ową wolność ograniczyć lub odebrać.

Tym, co sprawia, że nie uważamy go za bezużytecznego dla społeczeństwa egoistę żyjącego w lęku przed zobowiązaniami i odpowiedzialnością, jest niezachwiany moralny pion Jacka Reachera. Głębokie przekonanie, że ludzie nie powinni się krzywdzić nawzajem, że słabszymi należy się opiekować, a przed łobuzami trzeba stawać okoniem. Boksuje się więc nasz wędrowiec z niesprawiedliwym światem, ale boksuje się na własnych warunkach.

LOS PRZEKAZANY W INNE RĘCE

Każda historia ma jednak swój kres i dla Reachera ta chwila właśnie nastąpiła. Nie dlatego, że go na kartach powieści uśmiercono, lecz dlatego że jego los przekazany został w inne ręce. Powieść „Strażnik" (czyli 25. tom cyklu) to dzieło wspólne, jako autorzy widnieją Lee Child i Andrew Child. Andrew to młodszy brat Lee (tak

eprasa.pl a60f4d831b

naprawdę obaj nazywają się Grant), który karierę literacką rozpoczął w roku 2009 i ma w dorobku dziewięć powieści.

„Jako pisarz zdaję sobie sprawę, że świat coraz częściej mnie omija, dlatego chciałem, żeby cykl książek o Reacherze dostał zastrzyk bardziej współczesnej energii" – mówi Lee Child, tłumacząc powody literackiej abdykacji. „Strażnika" napisali razem, ale serię dalej tworzyć ma przede wszystkim Andrew, bo Lee udaje się na zasłużoną emeryturę. Co do narzekań na uciekający współczesny świat, pod tym względem twórca Reachera jest nieco podobny do swej kreacji – nie cierpi mediów społecznościowych i nie rozumie ich fenomenu (przede wszystkim nie rozumie, jak mogliśmy oddać im swoją wolność i prywatność). Jack Reacher idzie jednak dużo dalej: nie posiada telefonu komórkowego, nie zagląda do Internetu, pozostał w świecie, w którym pisze się listy, dzwoni z budek telefonicznych i płaci za wszystko gotówką.

W „Strażniku" to się zaczyna zmieniać, bo taka jest akurat natura zagadki, którą rozwiązywać będzie eksmajor żandarmerii wojskowej. Los zetknie go z utalentowanym, ale mocno zastraszonym informatykiem, którego z jakichś powodów na cel wzięli porywacze. Jednocześnie pan Rusty Rutheford staje się obiektem głębokiej niechęci miejscowych, bo mają go za winnego zaniedbań w dziedzinie cyberbezpieczeństwa. Miasteczku tymczasem przydarzył się atak ransomware'owy, po którym nic nie działa, jak należy, a większość miejscowych systemów nie działa w ogóle. Rutheford był miejskim informatykiem – skoro nie działa, to znaczy, że on zawalił.

Reacher bierze pod opiekę Rutheforda, a atmosfera zaczyna się zagęszczać. Wrogo nastawiona jest miejscowa policja, po okolicy kręcą się agenci FBI, ludzie, którzy zastawili sidła na informatyka, okazują się ekipą dobrze wyszkolonych profesjonalistów – zbyt dobrze wyszkolonych, by tłumaczyło to zainteresowanie byłym urzędnikiem miejskim, zbyt słabo, by stawić czoła tak potężnej broni jak pięści Reachera. Jak to zwykle bywa w powieściach cyklu, mnóstwo musi się więc dziać za kulisami sennego miasteczka – i rzeczywiście tak jest: puszczono tu w ruch siły potężne i bezwzględne.

Zdaniem recenzenta ABC News seria o Reacherze mimo zmian pozostaje na dobrym kursie. Według autora magazynu „The Spectator" nie mamy do czynienia z powieścią o Reacherze, tylko z jej parodią. Kto ma rację? Przychylę się ze smutkiem ku tej drugiej opinii. Rozumiejąc w pełni intencje Lee Childa, nie mogę, na razie, oklaskiwać efektów.

W „Strażniku" spora część akcji zamienia się w wypełnianie kolejnych misji w grze komputerowej

Książki o Jacku Reacherze najlepsze były wtedy, gdy zamieniały się w rodzaj współczesnej posępnej ballady. Lee Child szybko znalazł właściwy ton: pisał krótkimi zdaniami, tworzył męską, acz liryczną prozę, w której pobrzmiewała tęsknota za światem uczciwszym i prostszym. Jednocześnie – i to była miara talentu pisarskiego starszego z Childów – potrafił sprawić, że nawet najbardziej nieprawdopodobna intryga zdawała się czytelnikowi wiarygodna. Nie bez powodu wymieniałem na początku tego artykułu nazwiska innych twórców kryminałów: Robert B. Parker do podobnej perfekcji doprowadził swą prozę, gdy zabrał się do serii, której bohaterem byt Jessie Stone, z kolei John MacDonald, choć pisał innym stylem, uderzał w podobne tony w pierwszych powieściach o Travisie McGee.

SEKRET TKWI W PROPORCJACH

Jack Reacher w „Strażniku" jest niepotrzebnie rozgadany. Z tajemniczego przybysza zamienił się w komentatora i objaśniacza. Jest zbytnio sentymentalny. Jest niepotrzebnie wszechmocny: żaden z niebezpiecznych przeciwników nie stanowi dla niego wyzwania, radzi sobie z nimi sprawnie, niczym farmer bez trudu rozgarniający kukurydzę podczas przechadzki po polu. Bez trudu domyśla się, jaki będzie następny krok doskonale zorganizowanego i niebezpiecznego przeciwnika. Nie zrozumcie mnie źle: wszystko to były przymioty Reachera w poprzednich powieściach, ale sekret tkwi zawsze w proporcjach – tu równowaga zdaje się mocno zakłócona.

Wielkim osiągnięciem Lee Childa było także takie konstruowanie fabuł, by pozornie odległe od siebie elementy w zaskakujący sposób zaczynały do siebie pasować, tworząc wiarygodną całość (powtórzę: nie chodzi o to, czy były to fabuły naprawdę wiarygodne, ale czy autor był na tyle zręczny, by skłonić czytelnika, by je za takowe uznał). W „Strażniku" spora część akcji zamienia się w wypełnianie kolejnych misji w grze komputerowej: dotarłeś do punktu A, brawo, teraz musisz pokonać nieco inne trudności w drodze do punktu B, a kiedy już ci się uda, odkryjesz, że wchodzisz na kolejny etap wiodący do punktu C. Nie wiem, czy o taki rodzaj uwspółcześnienia książek o Reacherze chodziło.

„Ludzie, którzy nie są pisarzami, często uważają, że trudno jest znaleźć dobry pomysł. Jest odwrotnie. Mam dziesięć pomysłów dziennie, sztuka polega na tym, żeby znaleźć taki pomysł, który będzie współgrał z innymi tak, by powstała dobra książka" – mówił Lee Child w wywiadzie, który przeprowadziłem z nim kilka lat temu dla „Do Rzeczy" (nr 19/2018) przy okazji polskiej premiery powieści „Nocna runda". Pokazywała ona, że pomysły leżą na ulicy, bo Child zajął się już wtedy wielką tragedią, jaką okazało się nadużywanie przez Amerykanów leków przeciwbólowych (opioidów).

Tym razem widać, że bracia wczytywali się w medialne doniesienia o rosyjskim zagrożeniu w cyberprzestrzeni. Ten wątek akurat rozegrany został w „Strażniku" ciekawie – bez taniej publicystyki. Celem rosyjskich cybernetycznych ataków nie jest promowanie tego czy innego polityka, ale chaos, podważenie zaufania obywateli do państwa i do procesu wyborczego. Co przecież – sądząc po liczbie oskarżeń rozmaitych publicznych figur w USA o spiskowanie z Rosjanami – doskonale się służbom Putina udaje.

Pierwsza powieść braterskiego duetu to dowód na to, że seria o Jacku Reacherze znalazła się na rozdrożu, z którego wiodą same niebezpieczne szlaki. Jeśli Andrew Child będzie próbował zachować formułę wypracowaną przez starszego i bardziej utalentowanego brata, to nowe książki będą tylko słabymi podróbkami starych. Jeśli zacznie tę formułę mocno przerabiać, to zniknie to, co decydowało o jej wyjątkowości. Z niepokojem czekam na kolejne tomy, bo obawiam się, że niezależnie od tego, jaką przyniosą odpowiedź, będę rozczarowany. Do Lee Childa jednak żalu nie mam – chce teraz odpocząć, a ja i tak jestem mu wdzięczny za jedną z najlepszych serii thrillerów, jakie publikowano w minionych dekadach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Przeciw diabłu

Każdego dnia w amerykańskich sądach przysięga się na Boga. Czy nie oznacza to zatem, że obecność jego nieprzyjaciela należy potraktować równie poważnie? Cztery dekady temu po raz pierwszy w dziejach amerykańskiego sądownictwa adwokaci człowieka oskarżonego o morderstwo przyjęli linię obrony, wedle której był niewinny, bo w chwili przestępstwa był opętany.

Sprawa Arne Johnsona, a także wcześniejszych egzorcyzmów odprawionych nad jego młodszym bratem była inspiracją dla scenariusza filmu „Obecność 3: Na rozkaz diabła". I jedną z bardzo wielu spraw, które badało małżeństwo tropicieli zjawisk nadnaturalnych, Ed i Lorraine Warren. W ich role, podobnie jak w poprzednich częściach, z powodzeniem wcielają się Patrick Wilson i Vera Farmiga. Obsada była jednym z kluczy do sukcesu serii, która obejmuje nie tylko filmy z cyklu „Obecność", lecz także kilka spin-offów (dwa kolejne obrazy są w planach). Łącznie ta franczyza zarobiła w kinach całego świata ponad 2 mld dol. – ponad dziesięciokrotnie więcej, niż wynoszą zliczone razem budżety wszystkich tych produkcji.

Tym, co wyróżnia cykl „Obecność" (także film najnowszy) wśród innych horrorów, jest przekaz, który sprawił, że w USA seria zwana jest często „horrorami katolickimi". Kościół pozwolił małżeństwu Warrenów na obserwację odprawianych egzorcyzmów, oni sami nie mieli nigdy wątpliwości co do realnego wpływu sił zła na nasze życie. Wypadałoby nawet powiedzieć, że określanie ich mianem badaczy zjawisk paranormalnych jest mylącym niedopowiedzeniem. Słowo „paranormalny" sprawia, że myślimy o Urim Gellerze zginającym (rzekomo) łyżeczki siłą woli, tymczasem Warrenowie tropili szatańską obecność.

„Obecność 3" to bardzo solidny produkt, choć nie aż tak ciekawy jak pierwsze dwie części. Polskim fanom to nie przeszkadza, już w weekend otwarcia film zgromadził w naszych kinach niemal 150 tys. widzów, wynik w czasach pandemicznych wręcz rewelacyjny. Wcale mnie to nie dziwi. W natłoku horrorów oferujących chorą przemoc eskalowaną do granic absurdu, wśród opowieści czysto nihilistycznych „Obecność" prezentuje konserwatywny punkt widzenia. W tych opowieściach diabeł manifestuje swe działanie w sposób namacalny, można ujrzeć jego wpływ na ofiary, można też – co najważniejsze – mu się przeciwstawić. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. MICHAEL CHAVES
„OBECNOŚĆ 3: NA ROZKAZ DIABŁA" („CONJURING 3: DEVIL MADE ME DO IT") USA 2021

wyst. Vera Farmiga, Patrick Wilson

NOWE SERIALE: „RICK I MORTY"

Piąty sezon szalonej kreskówki debiutuje tym razem w HBO GO (dotąd w Polsce miał ją w zasobach tylko Netflix). Pierwszy odcinek nowej odsłony przygód genialnego, cynicznego oraz aspołecznego naukowca (oraz jego dobroduszne wnuczka i dysfunkcyjnej rodziny) przynosi nową postać. Mr Nimbus to władca oceanów, erotoman i śmiertelny wróg/przyjaciel Ricka. Serial trzyma poziom, choć nie jest to propozycja dla każdego – kogo nie bawił „South Park", ten pewnie poczuje się urażony „Rickiem i Mortym". ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 5 „Rick i Morty" („Rick and Morty"), USA 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 2 ***„Miszmasz" („Mixed-ish")***, USA 2021, FOX Comedy

• sezon 2 ***„Psy" („Dogs")***, USA 2021

• sezon 2 ***„Kruk. Czorny woron nie śpi"***, Polska 2021

eprasa.pl a60f4d831b

Możliwość wyspy

KINO

Znamy te psychodramy, gdy druh odwieczny, chwiejąc się lekko na nogach, przybiera pozę prokuratora i pyta: „Kim ty właściwie jesteś?", a przyjaciółka od serca znienacka ujawnia naturę dwulicowej egoistki. Sprokurować takie sytuacje jest łatwo. Wystarczy zgromadzić w domu na wyspie grupę trzydziestoparolatków, trochę już sponiewieranych przez życie, po czym odebrać im telefony komórkowe. Karczemne kłótnie tudzież łzawe pojednania gwarantowane aż do końca długiego weekendu. Toivoniemi, jak to debiutantka, nie uznaje kompromisów i dąży do wiwisekcji totalnej. Bojąc się jak ognia braku powagi, serwuje poczucie humoru dyskretne aż do przesady. Wyspiarze jedzą, piją, lulki palą, zażywają sauny i próbują trzymać fason, co jednak kiepsko im wychodzi. Na szczęście wśród imprezowiczów jest jeden Szwed, na którego tle Finowie wydają się całkiem sympatyczni oraz rozgarnięci. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. JENNI TOIVONIEMI
„W CO GRAJĄ LUDZIE" („SEURAPELI")
FINLANDIA 2020

wyst. Laura Birn, Emi Parviainen, Eero Milonoff

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZAPOMNIJ O PARYŻU

KINO

Bond drugi rok leży w zamrażarce. To kara boska za zdymisjonowanie reżysera Danny'ego Boyle'a, który w roli wroga agenta 007 chciał obsadzić Tomasza Kota. Na razie wypada więc kontentować się występem polskiego aktora w ekranizacji powieści Amélie Nothomb. „Wróg doskonały" to duszny thriller z przepisem na zbrodnię doskonałą. Powstał, jak się zdaje, z niechęci do Paryża, odpychającego metropolis, nad którym ciągle wiszą ołowiane chmury. Kot gra Jeremiasza Angusta – próżnego architekta z pretensjami do perfekcjonizmu. Nosi obrączkę, choć żony od 20 lat nie widział na oczy. W drodze na lotnisko zawiera znajomość z irytującą pannicą, która raczy go dziwnymi opowieściami. Atmosfera gęstnieje, pojawiają się błędne tropy, ale i sygnały, pozwalające rozwiązać zagadkę jeszcze przed zaskakującym – w założeniu – finałem. Talenty Kota i dzielnie mu sekundującej Strates uprawdopodobniają zwroty akcji (choć ciężko uwierzyć, że w PRL istniały szkolne drużyny bejsbolowe).

★★★★☆☆

RREŻ. KIKE MAILLO
„WRÓG DOSKONAŁY" („A PERFECT ENEMY")
FRANCJA/HISZPANIA/NIEMCY 2020

wyst. Tomasz Kot, Athena Strates, Marta Nieto

PAN WIDZI ZŁO

vod.pl

Irlandia kojarzy się wam z emigracją, kryzysem Kościoła oraz alkoholem? Wszystko się zgadza. Tytułowa bohaterka żłopie tequilę i marzy o transferze do Kalifornii. A księża, wspierani przez zakonnice, parają się przemytem narkotyków. Jednak laikat też ma swoje za uszami. Szmaragdowa Wyspa z filmu Thompsona to kraina zaludniona przez ludzi amoralnych. Pixie i jej ciut przypadkowi wspólnicy wchodzą w posiadanie towaru wartego okrągły milion euro. Dybią nań bandyci w koloratkach, a także używający zwierzęcych masek gangsterzy z prowincji. Trup ściele się gęsto, przy całkowitym désintéressement organów ścigania. Fani rozrywki w stylu Tarantino i Guya Ritchiego tudzież amatorzy obleśnych dowcipów może będą usatysfakcjonowani. Widzom, którym taka poetyka do cna obrzydła, polecam irlandzkie masło. Ponoć bardzo dobrze się smaruje. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. PRESTON THOMPSON
„PIXIE"
WIELKA BRYTANIA 2020

wyst. Olivia Cooke, Daryl McCormack, Ben Hardy

GRA TYGODNIA: „MARIO GOLF: SUPER RUSH"

★★★★★☆

Mario, zajęty ciągłym ratowaniem Peach, na siedem długich lat odstawił kije golfowe. Teraz zdmuchnął z nich kurz, by mierzyć się w różnych wariacjach golfa z Luigim, Yoshim, Browserem, Donkeyem Kongiem, Peach i innymi postaciami ze świata Nintendo. Świeżutka produkcja z serii „Mario Golf" ma całkiem duży potencjał imprezowy, przyciągnie całą rodzinę przed jeden ekran, a także przyniesie sporo satysfakcji w singlu (jest nawet tryb fabularny, który sprawdza się do treningu trudniejszych zagrań). Są i minusy, jak choćby nie najlepiej zbalansowany poziom trudności, ale bujny wąs hydraulika niezmiennie pozostaje znakiem jakości. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *Sportowa*
- ***Platforma:*** *NS*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Nintendo, ConQuest Entertainment a.s.*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a60f4d831b

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Bajeczna lektura

Przypadek wydanej przez oficynę Zysk i S-ka książki Jana Łady można by określić nadużywanym zwrotem: „Ocalić od zapomnienia", nie oddałby on jednak istoty sprawy, pod wieloma względami bardzo interesującej. Otóż wydawca – w osobach edytora Tadeusza Zyska oraz redaktora i pisarza Jana Grzegorczyka – dokonał na mającej pierwodruk 107 lat temu powieści zabiegu nie tyle odświeżającego, ile wręcz ożywczego. Poczynając od zmiany tytułowego „zamczyska" z „zaklętego" na „nawiedzone", co zdecydowanie lepiej przystaje do treści utworu, podczas którego lektury czytelnik obcuje z duchami, upiorami i czarownicami, choć najgroźniejsze okazują się najprawdziwsze wilki i, jak to zwykle bywa, ludzie.

Rzecz dzieje się na Kresach w latach 30. XVII w., a jej główny wątek dotyczy zażartego sporu między majętnymi rodami Miśniakowskich i Turobojskich. Od zajazdów, potyczek, pojedynków, porwań aż się roi, a klamrą spajającą to wszystko jest, jakżeby inaczej, wielka miłość. Romeo i Julia? Między innymi. Współczesna autorowi krytyka stawiała mu zarzut naśladownictwa Sienkiewicza i jego „Ogniem i mieczem". Jeśli już, to jest on słuszny jedynie w charakterystykach niektórych postaci w czasie akcji, którą można od biedy uznać za prequel pierwszej części „Trylogii". U Łady wielkie wydarzenia historyczne dzieją się w tle, opowiada się o nich między wierszami, bo najważniejsza jest historia lokalna, starania głównego bohatera Kazimierza Miśniakowskiego mające na celu odbudowę zrujnowanego majątku i zdobycie ręki ukochanej kobiety.

Porównanie postaci obu powieści wypada zresztą wcale nie na niekorzyść Jana Łady. Już na początku poznajemy na przykład piękną Motrę, wiedźmę, której Horpyna mogłaby co najwyżej usługiwać. Razem z nią przeżywamy noc kupały – „święto młodych wiedźm. Stare na Łysej Górze z Nieczystym hulają, a młode wabią parobków i dziewki na grzeszną zabawę przy ogniu i wodzie. Wtedy i paproć kwitnie, i skarby w ziemi skryte pokazują się, i lubczyk moc swoją ma. Los swój poznasz i szczęście znajdziesz, ale i biesa wtedy obaczysz, i wszystkie strachy i dziwy, jakie tylko nieczystej sile służą, i piekło całe czeluść swoją otworzy przed tobą. Masz odwagę, to idź! Nie boisz się, nie stanie ci się nic. Co chcesz, zdobędziesz. Przestraszysz się – zginąłeś. Kosteczki nie zostaną po tobie do rana!".

FOT. ARCHIWUM RODZINY GNATOWSKICH UP. HELENY GNATOWSKIEJ W ŚWIEBODZINIE

Hej Łado, kupało – chciałoby się zakrzyknąć. À propos Łady… Był to pseudonim księdza prałata Jana Gnatowskiego, w życiu swoim m.in. kanonika żytomierskiego, sekretarza nuncjatury apostolskiej, papieskiego szambelana, ale i gospodarza salonu artystycznego we Lwowie, redaktora „Niwy", na którym to stanowisku zastąpił Sienkiewicza, i współpracownika wielu innych pism, wziętego autora powieści, nowel i szkiców, nie tylko literackich. Choroba oczu, która w końcu spowodowała ślepotę, zmusiła go do wcześniejszej emerytury, ale nie do zaprzestania pisania. Swoje ostatnie utwory, w tym „W zaklętym zamczysku", dyktował, co niestety obniżało ich jakość. Ale nie dlatego krytyka, która wcześniej chwaliła m.in. takie jego książki jak „Mag", „Oman" czy „Antychryst", kresową powieść Łady o zwaśnionych rodach i wielkiej miłości mającej położyć kres wieloletniej zwadzie przyjęła z rezerwą. Otóż przed wiekiem nie podobało się to, co dziś stanowi esencję tej w sumie dość banalnej historii, czyli fantastyka.

W przedstawionym świecie „nawiedzonego zamczyska" na równych prawach funkcjonują postaci i wydarzenia realne z tym, co niematerialne, ulotne, duchowe. Niepowtarzalne tło dla tej niejako podwójnej fabuły stanowi sceneria kresowa, wspaniale oddana przez pochodzącego z Podola autora. Jeśli ktoś zaś będzie utyskiwał, że dla młodego czytelnika Kresy Rzeczypospolitej Obojga Narodów są nadto egzotyczne (i archaiczne), to niech wspomni sukcesy „Władcy Pierścieni" Tolkiena i „Walki o tron" Martina. A nie tak dawne sukcesy książek Elżbiety Cherezińskiej, także śmiało wprowadzającej do historycznej fabuły elementy fantasy, dowodzą trafności wydawniczej decyzji, by „W zaklętym zamczysku" przetłumaczyć na „W nawiedzonym zamczysku". Bo tu nie chodzi o żaden lifting, ale o zupełnie inne, nowe potraktowanie dawnej literatury. Z szacunkiem, z czułością nawet, ale bez językowego puryzmu, jakże często utrudniającego czy wręcz uniemożliwiającego dziełu sprzed lat dotarcie do czytelnika.

W 1951 r. komuniści wycofali z bibliotek wszystkie książki Jana Łady. Teraz znajdzie on nowych odbiorców. Jestem przekonany, że się nie zawiodą. ©℗

JAN ŁADA „W NAWIEDZONYM ZAMCZYSKU" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2021

eprasa.pl a60f4d831b

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Drobiazgi z lamusa

Było, minęło: aluzje polityczne są dziś nieczytelne, w wymierzonych w sanację tekstach zainteresować może współczesnego czytelnika najwyżej ich złośliwy humor (uśmiałem się przy opowieści objaśniającej, ile wagonów potrzebnych jest, by rozwieźć po Polsce wojewodów i starostów). Zamykająca książkę obszerna rymowana szopka nie nadaje się do czytania (być może ucieszy polonistów), jednak dokonania Tuwima i Hemara na tej niwie były dużo lepsze.

Pozostałe drobiazgi zebrane w tomie przypominającym gazetową twórczość późniejszego autora „Znachora" są bardzo nierówne. Widać, że pisane w pośpiechu, na termin. Zdarzają się więc często dobry pomysł i średnie wykonanie albo wyśmienite pierwsze akapity plus dopisana na kolanie reszta. Niektóre są wzruszające, jak grupa tekstów okazjonalnych, pisanych z okazji Wielkanocy albo Bożego Narodzenia. Im bliższe literatury, tym lepsze – taką postawiłbym tezę, bo wśród tych ostatnich zdecydowanie wyróżnia się antysowiecka nowela wigilijna „Taki już zwyczaj".

Zapomniany dorobek Tadeusza Dołęgi-Mostowicza przejrzał, przebrał i do druku przygotował Jarosław Górski, nie zapominając o dodaniu mocno ułatwiających lekturę ponad 200 przypisów. Kto zna pisarza jedynie z jego najsłynniejszych powieści, ten z jednej strony może być zaskoczony humorem, z drugiej nieco rozczarowany, bo proza w powieściach „Kariera Nikodema Dyzmy" czy „Prokurator Alicja Horn" jest bardziej efektywna, dopracowana po prostu. Można by nawet rzec o Dołędze-Mostowiczu to, co mówił kiedyś Orwell o Jacku Londonie: że nie potrafił pisać, ale potrafił opowiadać. W nowelkach i felietonach widać ten talent rzadziej.

Ale są i perełki: choćby zabawna historia o młodym poecie, który ujrzawszy na warszawskiej ulicy piękną niewiastę, postanawia wkraść się w jej łaski, udając obwoźnego sprzedawcę pończoch. Proszę spojrzeć na początek innego opowiadania: „Maskotą drugiego szwadronu był Kuc. Kuc nie był kucem. Był baranem. Nazwano go Kucem niesłusznie. Był to krępy, wyrośnięty baran o pięknie zawiniętych rogach, gęstej czarnej wełnie, spasiony tak, że nawet gniady wałach wachmistrza furażowego Pawła Ziemby wyglądał przy nim niczym wysmukła sarna". To po takich kawałkach widać, że mamy do czynienia z tęgim pisarzem. Jest ich jednak w tym zbiorze za mało. ©℗

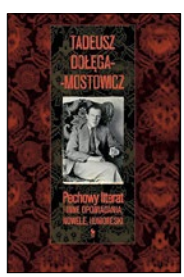

★★★☆☆☆
TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ „PECHOWY LITERAT" ISKRY 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Tworzyła ledwie przez dekadę, zapisała się w historii chińskiej literatury jako jedna z najważniejszych autorek XX w. Ten niezwykły poemat prozą był jej ostatnią książką, dziś jest jej przywitaniem z polskim czytelnikiem.

XIAO HONG „OPOWIEŚCI ZNAD RZEKI HULAN" PIW

Wznowienie barwnie napisanej opowieści o powstaniu imperium brytyjskiego i jego rozkwicie. Niepoprawna politycznie, bo odnotowuje nie tylko powody do wstydu, lecz także zalety – jak niesienie w świat edukacji czy bezstronnych sądów.

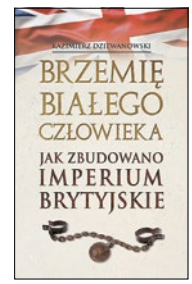

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI „BRZEMIĘ BIAŁEGO CZŁOWIEKA" ZYSK I S-KA

Siudmak to niemal od półwiecza jeden z najpopularniejszych w świecie polskich grafików. Tym razem prezentuje ok. 200 ilustracji do dzieł z uniwersum „Diuny" Franka Herberta. Obszerny album zachwyci fanów.

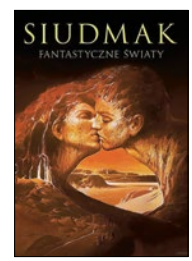

WOJTEK SIUDMAK „FANTASTYCZNE ŚWIATY" REBIS

Nowa powieść autorki młodzieżowej serii „Niezgodna". Żonglerka kliszami popkultury: w świecie, do którego wkroczyła magia, grupa wybrańców ocala ludzkość, lecz odkrywa, że prawdziwe wyzwanie dopiero przed nimi. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

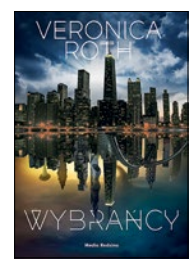

VERONICA ROTH „WYBRAŃCY" MEDIA RODZINA

KOMIKS TYGODNIA: „ŚWIATŁA PÓŁNOCY"

W noc po dniu konfirmacji nastoletnia Sonja trafia w magiczny sposób do krainy Jotundale, gdzie żyją trolle, niksy, węże morskie i mówiące zwierzęta, a brzegi pustoszą wyprawy wikingów. Zaopiekują się nią Espen i jego gromada leśnych oberwańców, mocno przypominających gromadkę skupioną wokół Piotrusia Pana w klasycznej powieści Barriego. Pierwszy tom („W dolinie trolli") uroczej powieści graficznej łączącej lekkość i humor dawnych produkcji Disneya ze światem legend i mitów skandynawskich. ©℗

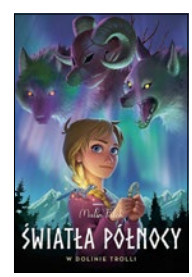

MALIN FALCH „ŚWIATŁA PÓŁNOCY" EGMONT 2021

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl a60f4d831b

„Dostone żytko”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Najnowsza płyta Chwili Nieuwagi jest inna niż dotychczasowe albumy śląskiej grupy, która debiutowała w 2008 r. na niezwykle udanej, ale niestety przedostatniej edycji festiwalu Bieszczadzkie Anioły. W planach był album w klimatach rodem z Krainy Łagodności, które z Chwilą Nieuwagi kojarzone są od początku jej działalności, ale muzycy uznali, że pandemia nie jest najlepszym momentem na wypuszczanie takiego materiału. – Od roku mamy już gotowy materiał na kolejną autorską płytę, ale wydawanie jej w trakcie lockdownu, gdzie nie było koncertów, uznaliśmy za zbyt trudne finansowo. Udało nam się jednak zdobyć grant z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego na obchody stulecia powstań śląskich i dzięki temu nagraliśmy i właśnie wydaliśmy inną płytę – mówi w rozmowie z Folk24.pl Andrzej Czech z Chwili Nieuwagi.

Jak pisze zespół, płyta „Dostone żytko” „to nasza (bardzo nasza!) muzyczna ilustracja pieśni odnoszących się do wydarzeń toczących się w latach 1919–1921 na ziemi śląskiej podczas zamętu, który ogarnął nasz rodzinny obszar w okresie plebiscytów. Dokonaliśmy bardzo subiektywnego wyboru utworów. [...] Mamy bowiem świadomość, że pieśń i kultura ludowa nigdy nie służyły przedstawianiu prawdy historycznej, że pieśń może być szczera, ale może także kłamać jak z nut”. W rozmowie z Folk24.pl Andrzej Czech precyzował: – Wybraliśmy pieśni, które są ludzkie, dotyczą tragizmu osób pozostawionych bez ojców, synów, mężów. Nie usłyszycie tu marszowych piosenek zagrzewających do boju. Usłyszycie za to sporo kobiecej narracji.

Inna niż dotychczas jest aranżacja muzyczna – bardziej nowoczesna, mniej folkowa, choć od folku zespół zupełnie tu nie ucieka.

Chwilę Nieuwagi zakładało w 2008 r. małżeństwo, Martyna i Andrzej Czechowie. Debiut płytowy to zawierająca kompozycje do wierszy różnych poetów, ale i tekstów własnych „Niepoprawna muzyka” z 2011 r. Dwa lata później ukazał się „Miszung” (także z kompozycjami do wierszy i własnych tekstów), dalej „Anieli śpiewają” ze śląskimi przyśpiewkami i pastorałkami oraz kolędami, a czwartym albumem była koncertowa „Morawska brama”. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Bardzo go brakuje

Koncert z tej płyty zapoczątkował, 1 lipca 1991 r., doroczny francuski festiwal Jazz à Vienne. Niespełna trzy miesiące później Miles Davis zmarł w Kalifornii.

Ostatni okres twórczości trębacza (nagrania dla wytwórni Warner Bros.) nie jest oceniany szczególnie wysoko przez krytyków. Ten, po raz pierwszy publikowany, występ umieszcza dokonania Milesa z przełomu lat 80. i 90. we właściwym kontekście. Jego doświadczony zespół (m.in. dwóch gitarzystów basowych) wykonuje z lekkością ekscytującą mieszankę jazzu, funku i R&B.

Otwierający set „Hannibal” rozkręca się, leniwie ozdabiany zmysłowym frazowaniem trąbki Davisa. Dynamika wzrasta, kiedy lider nawiązuje dialog najpierw z saksofonem tenorowym Kennym Garrettem, a następnie z basistami Richardem Pattersonem i Josephem „Foleyem” McCrearym jr. 18-minutowy „Human Nature” posiada afrokaraibski czar. Po lirycznym wstępie utwór przeradza się w finale w rozbuchaną fiestę. Równie wciągające jest sześć kolejnych nagrań.

Nie jest to muzyka odkrywcza, ale za to zagrana bardzo emocjonalnie i energetycznie. Nawet przy słabnącym stanie zdrowia Davis prowadzi zespół z wyobraźnią, humorem i ze skupieniem. W przeciwieństwie do wielu pośmiertnie wydanych płyt „Merci Miles! Live at Vienne” rzeczywiście wnosi coś nowego do muzycznej spuścizny jednego z największych muzyków XX w. ©℗

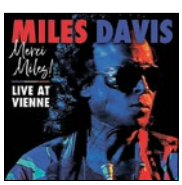

★★★★☆☆

MILES DAVIS
„MERCI MILES! LIVE AT VIENNE”
WARNER

★★★★☆☆

PIOTR FIGIEL
„PRZEPRASZAM, CZY TU BIJĄ?”
GAD

Pierwszy raz na płycie muzyka do drugiego filmu Marka Piwowskiego. Niezły kryminał o napadzie na kasę domu towarowego (sic!) wzbogaciła funkowa muzyka, która i dziś się broni. W sesjach wziął udział zespół Novi Singers. Tanecznie, lirycznie, a nawet metalowo.

★★★☆☆☆

BLK JKS
„ABANTU/BEFORE HUMANS”
GLITTERBEAT

Kwartet rockowy z Johannesburga spektakularnie przekształcił muzyczną tradycję Soweto w manifest generacji nieznającej czasów apartheidu. Wykorzystując współczesną technologię, grupa stworzyła album, który zachwyca różnorodnością brzmień, rytmiki i klimatów. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

Zapraszają:

Adrian Stankowski
Marcin Bąk
Tomasz Sakiewicz

od **poniedziałku**
do **środy**
19:05

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

Paweł Chmielewski

Msza trydencka jest solą w oku tych środowisk, które chciałyby zamienić Kościół katolicki w rozwodniony twór. Dzisiaj znowu znalazła się na ich celowniku

FOT. VATICAN POOL/CORBIS/GETTY IMAGES

Msza wszech czasów przetrwa

Słyszy się niekiedy opinie, jakoby różnica między starą a nową liturgią Kościoła rzymskiego dotyczyła przede wszystkim języka. Łacina, choć ważna, nie jest jednak kluczowa. Przedsoborowy ryt mszy świętej przechowuje w sobie niesłychany duchowy ładunek, którego ryt nowy jest w pewnym stopniu nieodwracalnie pozbawiony. – Stary ryt wyraża naszą wiarę w najbardziej jasnej, bogatej formie. W centrum wyraźnie stawia Boga, podczas gdy nowy ryt w pewien sposób daje prymat człowiekowi. Czy w centrum będzie Bóg, czy my sami? To najlepiej opisuje tę bitwę – powiedział mi wielki admirator liturgii klasycznej, kazachski biskup Athanasius Schneider.

Stara msza święta nie na darmo zwana jest mszą wszech czasów. Chociaż popularnie określa się ją jako „trydencką", to w rzeczywistości narodziła się na długo przed tym wielkim soborem, czerpiąc w procesie powolnego i szlachetnego dojrzewania z całej historii chrześcijaństwa. Niestety, w XX stuleciu doszło do zerwania ciągłości liturgicznej. Po II Soborze Watykańskim do Kościoła miało zostać wpuszczone świeże powietrze; w istocie „ożywczy" podmuch przerodził się szybko w burzę, która w jednym z pierwszych swoich uderzeń – w roku 1970 – zmiotła tradycyjną mszę. Paweł VI pozwolił radykalnym ideologom na wielki liturgiczny eksperyment. Pod wodzą lazarysty abp. Annibale Bugniniego, kilkoma pociągnięciami pióra, wymazano wieki uświęconej i uświęcającej tradycji.

Starą mszę przed niemal całkowitym zapomnieniem ustrzegł francuski duchowny, abp Marcel Lefebvre. Zapłacił za to wysoką cenę. Jego dzieło w pewnej mierze docenił dopiero Benedykt XVI. Uznając, że Kościołowi rzeczywiście trzeba przywrócić skarb mszy wszech czasów, w roku 2007 ogłosił słynne motu proprio „Summorum Pontificum", zaprowadzając swobodę celebrowania starej liturgii. Ryt trydencki miał stać się odtąd prawem kapłanów i świeckich, a nie, jak po 1970 r., tylko z rzadka tolerowaną ekstrawagancją. Reforma Benedykta XVI nie wszędzie została dobrze przyjęta; w wielu krajach stary ryt do dziś jest lekceważony. Rażącym tego przykładem jest wiele diecezji w Ameryce Łacińskiej, gdzie katolicy tradycjonalistyczni są przez biskupów otwarcie dyskryminowani. W Polsce sytuacja jest bardziej zróżnicowana, ale o pełnym otwarciu na mszę wszech czasów nie można mówić. Pociesza, że biskupi w jednym z niedawnych komunikatów po posiedzeniu Episkopatu wypowiedzieli się o dawnym rycie w ciepłych słowach; trzeba jeszcze, by znalazło to odzwierciedlenie w praktyce.

WALKA O NOWY RYT

Papież Franciszek wielokrotnie dawał wyraz swojej dezaprobacie wobec kapłanów celebrujących w nadzwyczajnym rycie rzymskim. Uważa je za osoby „rygorystyczne", „skostniałe", „z problemami". Już w 2017 r. Ojciec Święty zapowiedział wzmożenie wysiłków na rzecz walki o całkowitą dominację nowego rytu. W przemówieniu skierowanym do uczestników 68. Narodowego Tygodnia

eprasa.pl a60f4d831b

Liturgicznego we Włoszech mówił, że „reforma liturgiczna jest nieodwracalna", a dziś stoimy przed koniecznością „przezwyciężenia… jej częściowej recepcji i praktyk, które ją zniekształcają". Według wpływowego włoskiego liturgisty, prof. Andrei Grilla z Papieskiego Instytutu Liturgicznego św. Anzelma w Rzymie, Franciszek chciałby odwołać „Summorum Pontificum"; czeka z tym tylko na śmierć Benedykta XVI. Utrzymującą się niechęć Franciszka do starej mszy świętej potwierdził niedawno kard. João Braz de Aviz, prefekt Kongregacji ds. Instytutów Życia Konsekrowanego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego. W rozmowie z „Vida Nueva Spain" powiedział, że Ojciec Święty ma dostrzegać wkradające się do formacji kapłańskiej „tendencje", które odsuwają przyszłych księży od II Soboru Watykańskiego. Papieskie utyskiwania na stary ryt czy agresywne pomruki profesora z Anselmianum można było do niedawna zbywać wzruszeniem ramion. Jednak w ostatnim czasie zaczęło dziać się coś więcej.

Do niepokojących zmian doszło w Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. W styczniu tego roku papież przyjął rezygnację kard. Roberta Saraha, wielkiego admiratora mszy wszech czasów i zwolennika linii Benedykta XVI. Jego następcą został dotychczasowy sekretarz Kongregacji, Brytyjczyk abp Arthur Roche. Hierarcha ten w ostatnich latach pełnił funkcję pośrednika między Franciszkiem a kard. Sarahem, firmując wiele zrywających z tradycją zmian, które Gwinejczyk odrzucał.

Interesujące przemówienie abp Roche wygłosił w lutym 2020 r. na Papieskim Uniwersytecie Krzyża Świętego w Rzymie z okazji 50-lecia nowego mszału rzymskiego. Krytykował w nim liturgię przedsoborową jako zbyt zamkniętą na uczestnictwo wiernych i skupiającą się tylko na kapłanach. Przedstawił też zaskakujący pogląd, zgodnie z którym reforma Pawła VI i abp. Bugniniego byłaby… zwieńczeniem procesu, który rozpoczął się na Soborze Trydenckim. „To, co zaczęło się w 1570 r., znalazło swoją kulminację w roku 1970" – stwierdził, przekonując, że posoborowa reforma jest konsekwencją rewizji mszału dokonywanych przez papieży od Klemensa VIII przez św. Piusa X aż do Jana XXIII.

Jeszcze ciekawszą od abp. Roche'a postacią jest nowy sekretarz Kongregacji Kultu Bożego. Został nim bp Vittorio Viola z włoskiej Tortony, 55-letni franciszkanin, który za kilka lat może zastąpić 71-letniego Roche'a. Biskup Viola jest szczerze oddany posoborowej reformie. Wyraża to wymowny symbol. Hierarcha na palcu nosi pierścień biskupi, który należał do samego abp. Bugniniego. Otrzymał go od swojego protektora, bp. Luca Brandoliniego, ucznia i współpracownika słynnego lazarysty. Gdy w 2008 r. włoska prasa prosiła bp. Brandoliniego o komentarz w sprawie „Summorum Pontificum", ten nie chciał wiele mówić. Tłumaczył, że w tym najczarniejszym dniu jego życia, który przekreśla cały wysiłek reformy liturgicznej, gardło ściska mu płacz.

Zmiany personalne w Kongregacji ds. Kultu Bożego są o tyle ważne, że wkrótce urząd ten może zyskać nowe kompetencje odnośnie do liturgii. Do niedawna nadzór nad starą liturgią sprawowała specjalna komisja Ecclesia Dei powołana do życia przez św. Jana Pawła II w 1988 r. Jednak Franciszek w 2019 r. zlikwidował jej samodzielność, włączając ją w skład Kongregacji Nauki Wiary. Watykaniści alarmują, że wkrótce tematyka mszy wszech czasów ma zostać poddana Kongregacji ds. Kultu Bożego. To oznaczałoby, że nadzór nad starą liturgią sprawować będą abp Roche i bp Viola.

PRZYGOTOWANIA DO ZMIAN

Przygotowania do jakiegoś rodzaju negatywnych ruchów względem starej liturgii trwają zresztą od dawna. W ubiegłym roku Franciszek listem apostolskim „Authenticum charismatis" zmienił sposób powoływania nowych instytutów życia konsekrowanego. Od teraz biskup diecezjalny musi uzyskać zgodę Watykanu na powołanie nowego instytutu. To może oznaczać, że nie powstanie już żadna wspólnota ogniskująca się wokół starej liturgii – bo Watykan po prostu na to nie pozwoli.

Również rok temu Kongregacja Nauki Wiary rozesłała do wszystkich biskupów na świecie ankietę z prośbą o ocenę implementacji „Summorum Pontificum". Do mediów wyciekła opinia biskupów francuskich, którzy odpowiedzieli niezwykle krytycznie. Twierdzili, że stara liturgia „wprowadza podziały" wśród wiernych i jest zbyt „rygorystyczna". Co jednak w istocie kryje się za taką niechęcią do mszy wszech czasów? – Są ludzie, którzy nie lubią jasności wiary – powiedział mi bp Schneider. – Dla wielu z nich tradycyjny ryt jest kłopotliwy. Boją się go. „Nie nam, Panie, nie nam, lecz Twemu imieniu daj chwałę" – mówi psalm. Jak sądzę, dobrze charakteryzuje to tradycyjną mszę. Są jednak w Kościele tacy, którzy pragną liturgii mówiącej: „Nam, to nam daj chwałę" – dodał.

Niezwykle symbolicznego gestu dokonano w marcu tego roku. Dotąd w bazylice św. Piotra w Rzymie przy bocznych ołtarzach można było celebrować mszę wszech czasów. Zakazał tego jednak nieoczekiwanym dokumentem watykański Sekretariat Stanu. Od 22 marca tradycyjna liturgia może być sprawowana jedynie w kaplicy Klementyńskiej w bazylice, a zatem – w podziemiach, i to tylko w kilku wyznaczonych porach. Co więcej, w pełnym niejasności dokumencie obwieszczającym zmiany napisano, że celebrować będą mogli jedynie „uprawnieni kapłani" – choć zgodnie z powszechnym prawem Kościoła każdy ksiądz jest uprawniony do sprawowania mszy świętej w rycie przedsoborowym.

Wreszcie 24 maja jak grom z jasnego nieba gruchnęła pogłoska: papież Franciszek podczas spotkania z włoskimi biskupami zapowiedział, że „Summorum Pontificum" zostanie „zrewidowane". Watykaniści potwierdzili, że na biurku papieża znajduje się obecnie trzeci szkic stosownego dokumentu. Szczegóły nie są znane: prawdopodobnie chodzi jednak o odebranie księżom swobody celebrowania starej liturgii i nałożenie na nich obowiązku uzyskiwania aprobaty biskupa miejsca. Dokument ma przygotowywać Kongregacja ds. Kultu Bożego.

Czym skończą się te wszystkie ruchy? Czy msza wszech czasów zostanie zepchnięta do podziemi, tak jak stało się już w bazylice św. Piotra? Biskup Athananasius Schneider nie ma wątpliwości, że niezależnie od tego, co się wydarzy, tradycja i tak przetrwa. – Jeżeli Franciszek to zrobi, tradycyjna msza stanie się mszą katakumbową. To da Kościołowi prawdziwą duchową siłę – powiedział. – Tradycyjna msza jest jak lew. Wypuśćcie lwa z klatki, a sam się obroni. Tradycyjna msza święta jest dziełem Ducha Świętego i dawnych wieków. Jest niezwyciężona – stwierdził. Rzeczywiście, stara msza to przestrzeń, w której chrześcijański Zachód istnieje dalej: wbrew i przeciwko rewolucji, opowiadając się, tak jak przez wieki, całym sercem, za królowaniem Jezusa Chrystusa. Msza wszech czasów przetrwa – tego możemy być pewni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl a60f4d831b

Car zły, bojarzy jeszcze gorsi

Jan Fiedorczuk

Borys Budka nie jest przyczyną kryzysu w Platformie Obywatelskiej, tylko jego rezultatem. Plany dotyczące zmiany lidera PO bez próby zreformowania samej partii przypominają pudrowanie politycznego trupa

Wystarczy prześledzić ostatnie sondaże, by zauważyć, że PO już nawet nie tyle nie może marzyć o odrobieniu strat do Szymona Hołowni, ile powinna się zacząć martwić, by nie przegoniła jej Lewica albo Konfederacja. Jeszcze gorzej wyglądają jednak notowania samego Borysa Budki. W niedawnym badaniu CBOS dotyczącym poziomu zaufania Polaków do konkretnych polityków tylko Janusz Korwin-Mikke miał gorszy wynik od lidera PO. Z kolei w sondażu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu" jedynie 4 proc. ankietowanych stwierdziło, że to on powinien stać dalej na czele partii. Budkę zdeklasowali nie tylko Trzaskowski i Tusk, lecz także Schetyna czy nawet Kidawa-Błońska.

Słabnąca pozycja Budki nie może dziwić, biorąc pod uwagę to, w jakim stylu przez miniony rok prowadził partię. Mimo że w ostatnich miesiącach nie brakowało sytuacji do uderzenia w rządzących, PO nie potrafiła zdyskontować żadnej z nich. Dość powiedzieć, że najsurowszym krytykiem rządzących pod względem głośnej sprawy organizacji wyborów prezydenckich okazał się nie Budka, nie Czarzasty, nie Kosiniak-Kamysz, tylko… prezes NIK Marian Banaś. A przecież same wybory to jedynie wierzchołek góry lodowej. Innym zmarnowanym przez PO momentem była tzw. piątka dla zwierząt – najbardziej dogodna okazja do przeprowadzenia ofensywy i przynajmniej podjęcia próby osłabienia PiS na wsi. PO jednak radośnie wsparła Kaczyńskiego w jego prozwierzęcej krucjacie. Kolejnym potknięciem, którego oczywiście nie sposób pominąć, była niedawna sprawa Funduszu Odbudowy, która nie dość, że została rozegrana w sposób zupełnie absurdalny i niezrozumiały dla liberalnych wyborców, to na sam koniec zakończyła się jeszcze bolesną kompromitacją w postaci przegranego głosowania w Senacie w sprawie preambuły. Istotą problemu już nawet nie jest to, że Platforma Obywatelska od sześciu lat znajduje się w defensywie, tylko że w ostatnim czasie na każdym kroku udowadniała swoim najbardziej oddanym wyborcom, że nie zasługuje na ich poparcie. Nic dziwnego, że nawet najwierniejszy elektorat zaczął w końcu spoglądać w kierunku Szymona Hołowni.

POSZUKUJĄC ZBAWICIELA

W kręgach wspierających opozycję od dłuższego czasu powracał pomysł wymiany lidera PO. – Borys Budka miał olbrzymi potencjał, wygrał mocno, miał gigantyczny mandat, ale jeśli ktoś w ciągu roku traci 50 proc. poparcia, to pokazuje, że musi otworzyć mechanizmy dla innych. Budka musi odejść – stwierdził w rozmowie z „Super Expressem" Paweł Zalewski. Dwa dni później polityk musiał pożegnać się z członkostwem w partii. Niewątpliwie jednak ten punkt widzenia nie jest odosobniony, o czym świadczy niedawny list 51 parlamentarzystów, w którym apelowano do posłów Koalicji Obywatelskiej o podjęcie „poważnej debaty", prowadzącej do „wieloaspektowej przemiany wewnętrznej".

W dyskusjach na temat ewentualnego następcy Budki przewijało się zazwyczaj wiele nazwisk – od Radosława Sikorskiego przez Tomasza Siemoniaka aż do Grzegorza Schetyny. Tęskny wzrok posłowie PO kierowali głównie w kierunku dwóch postaci – Rafała Trzaskowskiego oraz Donalda Tuska. Wybory prezydenckie dowiodły, że włodarz Warszawy niewątpliwie ma potencjał, jednak mimo że przejęcie przez niego sterów partii sugerowały niedawno choćby Aleksandra Dulkiewicz oraz Barbara Nowacka, to on sam wydawał się być bardziej zainteresowany brylowaniem w mediach. Prezydent stolicy doskonale zdawał sobie sprawę, że przejmowanie kierownictwa nad tonącym okrętem, jakim jest obecnie PO, po prostu mu się nie opłaca. Dlatego też od tak dawna stoi w rozkroku – z jednej strony pozostaje wiceprzewodniczącym Platformy, z drugiej jednak wyraźnie się od niej dystansuje i za pomocą takich inicjatyw jak Ruch Wspólna Polska czy Campus Polska Przyszłości buduje fundamenty pod własne ugrupowanie.

eprasa.pl a60f4d831b

Słabnąca pozycja Budki nie może dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę, w jakim stylu przez miniony rok prowadził partię

FOT. GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/FOTONEWS/FORUM

Jego plany pokrzyżował jednak swoim powrotem Donald Tusk, którego politycy Platformy wyglądają od kilku lat, a który sprawia, że szyld PO ponownie staje się atrakcyjny. Postać byłego premiera kojarzy się zwolennikom PO z jej najlepszymi latami, gdy partia wygrywała jedne wybory za drugimi, a Michał Kamiński wieszczył „koniec PiS-u". Problemem jest jednak, że w polityce nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Szef EPL jest zaledwie cieniem dawnego siebie. Opuszczając kraj w 2014 r., sam pozbawił się realnego wpływu na polską scenę polityczną oraz stracił kontakt z samym społeczeństwem. Jego powrót oznacza żmudną walkę najpierw o wpływy w samej PO, a później szarpaninę z pozostałymi partiami opozycyjnymi.

Gdy oddawaliśmy ten numer „Do Rzeczy" do drukarni, wiadomo było, że 3 lipca Tusk weźmie udział w posiedzeniu Rady Krajowej PO, partia jednak skrzętnie kryła, w jakim stopniu były premier zamierza zaangażować się w politykę krajową. Portal wpolityce.pl, powołując się na swoich informatorów, zapewniał, że w Platformie ma powstać triumwirat – Tusk ma pełnić rolę mentora, Budka zajmie się zarządzaniem partią, a Trzaskowski zostanie oficjalnym kandydatem na premiera. Z kolei Onet przekonywał, że Tusk chce zastąpić Budkę na fotelu szefa partii, przeciwko czemu buntuje się jednak prezydent Warszawy. Trzaskowski kilka dni temu jawnie rzucił byłemu premierowi rękawicę, deklarując chęć startu w wyborach na szefa Platformy. Ten obrót spraw nie dziwi – dla Tuska polska polityka zatrzymała się de facto w 2014 r., ale realny świat poszedł naprzód.

Bez względu na to, który scenariusz ostatecznie przeważy, cały chaos wokół funkcji lidera świadczy o tym, że w PO przeważył pogląd, iż problemy sondażowe partii wynikają wyłącznie z kwestii wizerunkowych i personalnych, a nie z faktu, że polskie społeczeństwo ma dość Platformy w odsłonie spod znaku „totalnej opozycji". W dodatku nikt nie zadaje sobie podstawowego pytania: „Co po Budce?". Bojarzy dobrzy, car zły – tak można określić obecną postawę środowisk sprzyjających PO, które dywagują o wymianie lidera, jakby sama podmianka mogła wywindować Platformę na szczyty sondaży. A przecież rzeczywistość jest o wiele bardziej złożona.

CZEKAJĄC NA GODOTA

Oczywiście nie sposób bronić Borysa Budki, gdyż funkcja szefa partii ewidentnie go przerosła. Faktem jest jednak, że obecnie robi się z niego kozła ofiarnego. Problemem nie jest przecież wyłącznie lider, który stanowi jedynie pewną emanację tego środowiska, ale sama partia. Problemem jest to, że Platforma oraz wspierające ją kręgi medialne jedyne, co od lat potrafią zaoferować Polakom, to nienawiść do Kaczyńskiego i pogarda dla milionów wyborców PiS. Politycy PO wierzyli przez lata, że nic nie muszą robić, gdyż władza w końcu sama wpadnie im w ręce. Kiedyś była to wiara, że PiS uda się pokonać rękoma KOD, Mateusza Kijowskiego i części środowisk sędziowskich, następnie tę batalię miały wygrać Komisja Wenecka i Unia Europejska, a w końcu uznano w desperacji, że do Polaków najlepiej przemówi magia kina oraz autorytety moralne, i zbawienia zaczęto wyglądać w „Klerze" Smarzowskiego, dokumentach braci Sekielskich, a w ostateczności nawet w produkcji Patryka Vegi. Za każdym razem pracę należącą do największej partii opozycyjnej miał wykonać ktoś inny – sędziowie, Kijowski, Bruksela, Lempart… Platforma, będąc w opozycji, stała się partią tłustych kotów. Zarówno na poziomie ideowym, jak i programowym politycy PO przez lata nie potrafili z siebie nic wykrzesać.

Biorąc pod uwagę intelektualną zapaść obozu liberalnego, postulat wymiany lidera musiał się w końcu pojawić. To po prostu kolejny temat zastępczy. Partia ewidentnie potrzebuje głębokiej reformy, ale to nie wymiana kierownictwa jest jej najbardziej palącym problemem. Budka jest dokładnym zobrazowaniem obecnego stanu, w jakim znajduje się sama PO – partia Nitrasa i Jachiry, partia uzależniona od tego, co powie salon, zdana na wytyczne z Brukseli i niezdolna do autonomicznego myślenia oraz działania. Kuriozalny skręt PO w lewo (swoją drogą też niekonsekwentny) dowodzi jej całkowitej wasalizacji względem radykalnych środowisk ideologicznych, które na zachodzie Europy mają potężne wpływy, ale w Polsce nadal pozostają marginesem. Jeżeli partia nie upora się z tymi problemami, jeżeli nie udowodni Polakom, że ma dla nich atrakcyjną alternatywę programową, to nawet powrót Tuska na białym koniu nic nie zdziała.

Platforma poszukuje zbawcy i tęskniąc za czasami, gdy była u władzy, wypatruje prawdziwego lidera, który przywróci jej dawną formę i niemal z rozpędu wygra wybory. Tak naprawdę jednak jest to czekanie na Godota. Tak jak w 2019 r. to nie Grzegorz Schetyna był głównym obciążeniem PO, tak teraz nie jest nim Borys Budka. Tym razem to nie car jest zły, tylko właśnie partyjni bojarzy. Problem tkwi w samej Platformie, która działa według zasady rzuconej onegdaj przez Agnieszkę Holland – żeby było tak, jak było. Otóż „tak, jak było" już nie powróci. W ostatnich latach doszło do zbyt poważnych przemian na poziomie politycznym i społecznym, by prosty powrót do status quo ante był możliwy. Platforma chciałaby dokonać antypisowskiej rewolucji, ale bez przesadnego wysiłku, bez podwijania rękawów i bez pobrudzenia swoich eleganckich garniturów. Gwiazda współczesnego marksizmu, celebryta filozof Slavoj Žižek, określiłaby zapewne taką postawę jako „rewolucję bez rewolucji" – przewrót, w czasie którego nikt się nie napracuje i nikt nie ucierpi. Niestety – jak słusznie zauważa słoweński filozof – każda prawdziwa zmiana boli. Dopóki w PO do głosu nie dojdzie stronnictwo postulujące gruntowną reformę, dopóty kolejne zmiany na stanowisku lidera będą przypominały pudrowanie politycznego trupa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

Prace przygotowawcze do ekshumacji ofiar pogromu w Jedwabnem, maj 2001 r.
FOT. STANISŁAW SAS/FORUM

Nieznany raport z Jedwabnego

Piotr Litka

W 2001 r. naukowcy z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu mieli przebadać miejsce pochówku Żydów zamordowanych w Jedwabnem 10 lipca 1941 r. Prace nie zostały ukończone, a wnioski z badań przez 20 lat nie były znane opinii publicznej

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa zleciła prace archeologiczne w 2001 r. w Jedwabnem. Miały być wykonane – według szefa zespołu badawczego, prof. Andrzeja Koli – na potrzeby kolejnego już dochodzenia w tej sprawie prowadzonego przez pion śledczy IPN. Pierwsze prowadziła prokuratura powszechna jeszcze w latach 40. XX w.

Wiosną 2001 r. zamierzano przebadać „wnętrza reliktów stodoły, w której zgodnie z dotychczasowymi relacjami, […] spalono bliżej nieokreśloną liczbę Żydów – mieszkańców Jedwabnego". Planowano w ten sposób zweryfikować obiegową liczbę ofiar zbrodni sprzed lat, określaną – chociażby przez Jana Tomasza Grossa w jego wydanej w 2000 r. książce „Sąsiedzi" – na 1600 osób, zaś w jednym z przypisów nawet na 1640 osób. Gross wielokrotnie powtarzał i powtarza tę pierwszą liczbę.

Poza archeologami w Jedwabnem mieli też pracować antropolodzy, których zadaniem po wykonaniu ekshumacji „miało być określenie liczby i składu osobowego pogrzebanych ofiar". Później „badania z zakresu medycyny sądowej miał wykonać zespół pracowników naukowych Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Białymstoku pod kierunkiem prof. dr. hab. med. Jerzego Jana Janicy".

Planowano więc realizację kompleksowych badań miejsca masowej zbrodni popełnionej w Jedwabnem 10 lipca 1941 r. Zamierzano użyć do tego metod naukowych, używanych powszechnie w kryminalistyce. W efekcie planowano uzyskać m.in. odpowiedzi na pytania: ile osób w tym miejscu zamordowano,

eprasa.pl a60f4d831b

w jaki sposób ofiary zostały pozbawione życia, czy ich ciała po śmierci grabiono i kto (jeśli znaleziono by takie dowody) za tę zbrodnię odpowiada?

POCZĄTEK PRAC

W obszernym sprawozdaniu z badań archeologów w Jedwabnem znajduje się interesujący „Dziennik badań – Jedwabne 21.05.01–04.06.01", zawierający opis wszystkich prac wykonanych na tym terenie w ciągu niespełna dwóch tygodni.

Ekipa naukowców z Instytutu Archeologii i Etnologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu przyjechała do Jedwabnego niedługo po krótkim marcowym rekonesansie, podczas którego wstępnie wybrano miejsca, gdzie na przełomie maja i czerwca 2001 r. zamierzano wykonać już szczegółowe badania. Przed przystąpieniem do nich przeanalizowano również zdjęcia lotnicze tego terenu z lat 1950 i 1952 oraz wykonano badania georadarowe i elektromagnetyczne.

Już drugiego dnia pobytu w Jedwabnem (22 maja 2001 r.) archeolodzy wykonali tzw. 32 odwierty sondażowe, co pozwoliło im na wyznaczenie przybliżonej – jak to ujęto w „Dzienniku badań" – „granicy mogiły pod planowaną ekshumację".

Kolejne odwierty umożliwiły z kolei uchwycenie „zarysu jamy grobowej" (wykop I), z czego „sporządzono dokumentację rysunkową oraz fotograficzną odsłoniętej powierzchni". Wytyczono także granicę eksploracji tzw. wykopu II. Tam też „uchwycono północno-zachodnią część ławy fundamentowej stodoły (luźno ułożone kamienie)". Prowadzący badania archeolodzy znaleźli w tym miejscu także dwa skupiska z fragmentami ludzkich kości i sporą ilość metalowych przedmiotów. Wśród nich m.in. gwoździe, monety oraz w „obrębie stodoły 46 szt. łusek od niemieckiej broni typu mauser".

Jak wynika z zapisów w „Dzienniku badań":

„Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami między stroną polską i przedstawicielami gminy żydowskiej w piątek 25 maja 2011 r. wstrzymano wszelkie prace w wykopie I do czasu zakończenia święta Szawout" [określanego też Świętem Zbiorów lub Świętem Żniw – przyp. P.L.].

TO BYŁ WSTRZĄS

– Okres kierowania przeze mnie komisją [chodzi o Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – przyp. P.L.], a zwłaszcza śledztwo w sprawie zbrodni w Jedwabnem to najbardziej dramatyczne doświadczenie w moim zawodowym życiorysie – mówi prof. Witold Kulesza. – Pytał pan o to, dlaczego ekspertyza prof. Andrzeja Koli nie została upubliczniona wraz z umorzeniem śledztwa w sprawie zbrodni w Jedwabnem. Nie jestem w stanie na to pytanie odpowiedzieć. Jednak sam przebieg badań przeprowadzonych przez prof. Andrzeja Kolę w 2001 r. w Jedwabnem wynikał z jednego istotnego ograniczenia.

Było ono – jak wspomina prof. Kulesza – pokłosiem ustaleń między stroną polską (konkretnie: Ministerstwem Sprawiedliwości) a stroną żydowską (m.in. rabinem Michaelem Schudrichem). Podczas wspomnianych rozmów zapadła decyzja, że prace ekshumacyjne nie będą prowadzone w sposób, który pozwoliłby na wydobycie wszystkich szczątków ludzkich z owego masowego grobu.

ODPOWIEDŹ RABINA

Michael Schudrich – dziś naczelny rabin Polski, zaś w 2001 r. rabin Warszawy oraz rabin Łodzi – w korespondencji e-mailowej na pytanie: „Z jakich powodów archeolodzy pracujący w Jedwabnem na przełomie maja i czerwca 2001 r. nie mogli wykonać ekshumacji ofiar pogromu z 10 lipca 1941 r.?", odpowiedział krótko: „Należy zapytać archeologa".

Rzeczywiście, w raporcie prof. Andrzeja Koli znajduje się dosyć obszerna odpowiedź na to pytanie.

Okazuje się, że założenia, które przyświecały zarówno zleceniodawcy (czyli Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie), jak i naukowcom, którzy mieli wykonać kompleksowe badania szczątków ofiar zbrodni w Jedwabnem, zostały zmienione tuż po rozpoczęciu badań.

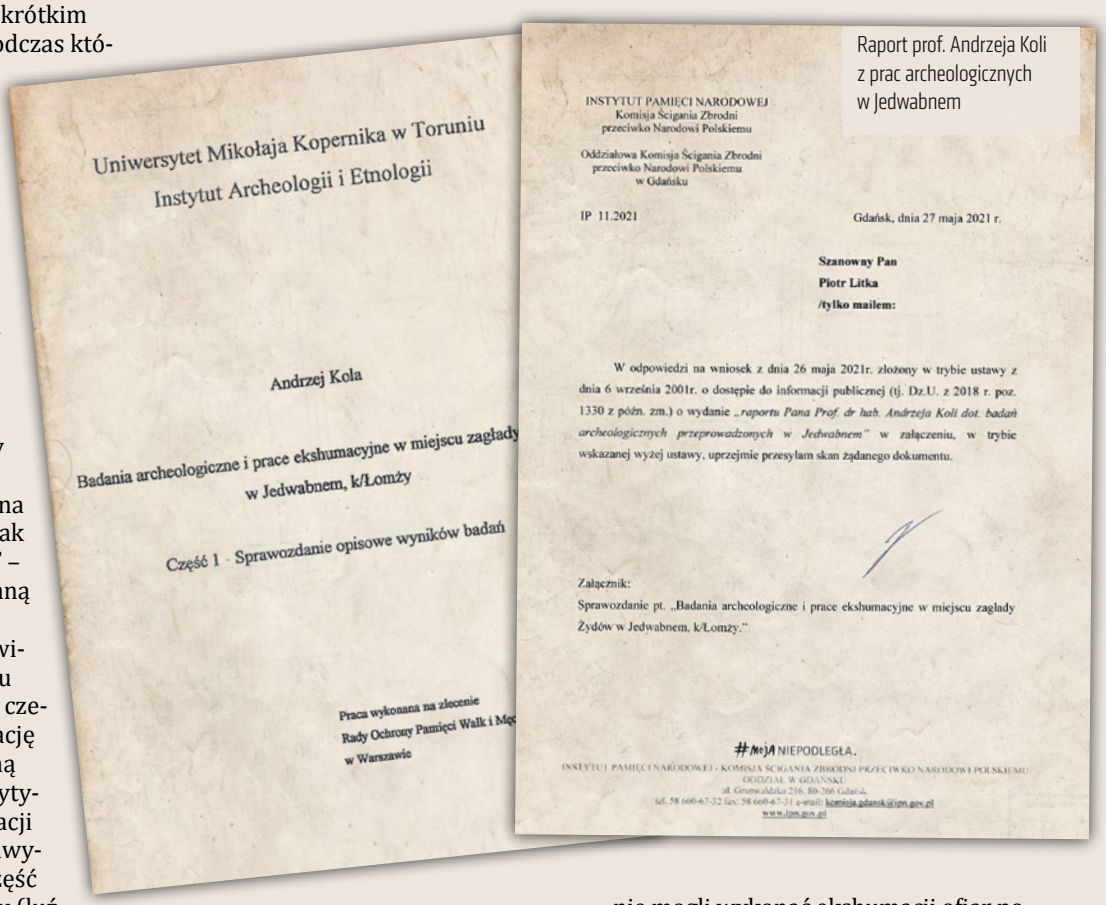

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu
Instytut Archeologii i Etnologii

Andrzej Kola

Badania archeologiczne i prace ekshumacyjne w miejscu zagłady w Jedwabnem, k/Łomży

Część 1 - Sprawozdanie opisowe wyników badań

Praca wykonana na zlecenie
Rady Ochrony Pamięci Walk i Męc
w Warszawie

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu
w Gdańsku

IP 11.2021

Gdańsk, dnia 27 maja 2021 r.

Szanowny Pan
Piotr Litka
/tylko mailem:

W odpowiedzi na wniosek z dnia 26 maja 2021r. złożony w trybie ustawy z dnia 6 września 2001r. o dostępie do informacji publicznej (tj. Dz.U. z 2018 r. poz. 1330 z późn. zm.) o wydanie *„raportu Pana Prof. dr hab. Andrzeja Koli dot. badań archeologicznych przeprowadzonych w Jedwabnem"* w załączeniu, w trybie wskazanej wyżej ustawy, uprzejmie przesyłam skan żądanego dokumentu.

Załącznik:
Sprawozdanie pt. „Badania archeologiczne i prace ekshumacyjne w miejscu zagłady Żydów w Jedwabnem, k/Łomży."

#MojaNIEPODLEGŁA.
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ - KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU
ODDZIAŁ W GDAŃSKU
al. Grunwaldzka 216, 80-266 Gdańsk
tel. 58 660-67-32 fax: 58 660-67-31 e-mail: komisja.gdansk@ipn.gov.pl
www.ipn.gov.pl

Raport prof. Andrzeja Koli z prac archeologicznych w Jedwabnem

eprasa.pl a60f4d831b

Do Jedwabnego 30 maja 2001 r. – poza prof. Kuleszą – przyjechali dwaj rabini: wspomniany już Michael Schudrich oraz Menachem Ekstein z Izraela, który pokazał archeologom sposób, w jaki mają oni pracować.

Polegało to – jak pisał w swoim raporcie prof. Andrzej Kola – „na precyzyjnym zdejmowaniu w obrębie grobów (przy pomocy szpachelki i pędzli) wierzchniej warstwy gruntu. Jednocześnie rabin Ekstein oświadczył, że tylko przy zastosowaniu takiej metody jest możliwa eksploracja wnętrza grobów, ten przesiewać przez sita dla wydobycia i zachowania drobnych szczątków kostnych, spalonych i sprażonych".

Nie wiadomo, jakie argumenty na rzecz takiego, a nie innego sposobu badań przedstawiła podczas rozmów ze stroną polską strona żydowska. Z korespondencji e-mailowej z naczelnym rabinem Polski Michaelem Schudrichem wynika, że oprócz niego w debatach tych brał udział także Stanisław Krajewski – polski filozof żydowskiego pochodzenia i profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

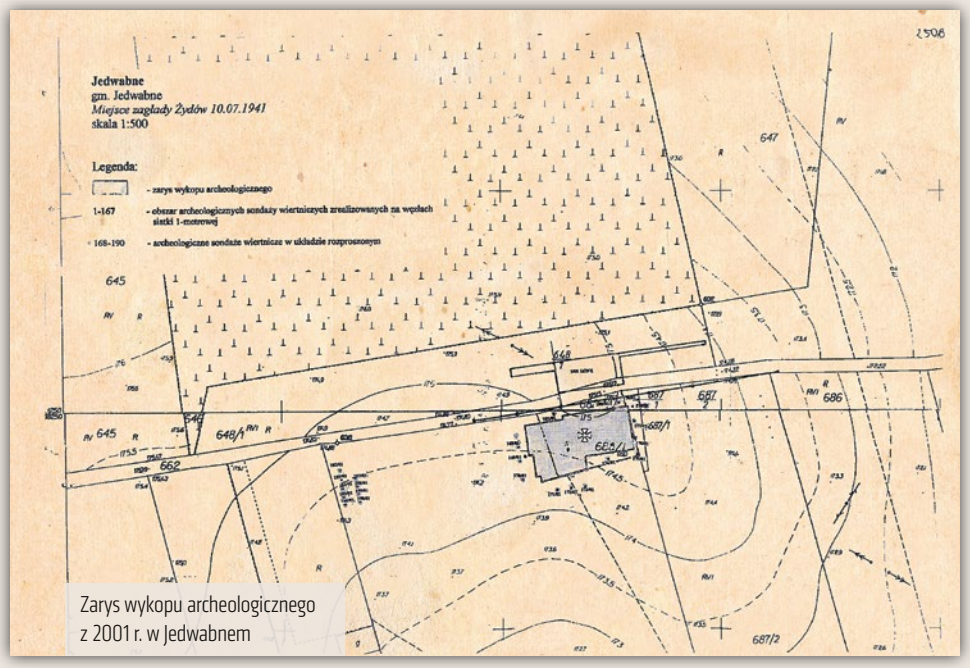

Zarys wykopu archeologicznego z 2001 r. w Jedwabnem

i to tylko do momentu ukazania się szczątków kostnych w układzie anatomicznym".

BEZSENS PSEUDOEKSHUMACJI

Jak stwierdza w swoim raporcie prof. Andrzej Kola: „Mimo obiekcji co do postulowanej metody pracy rozpoczęto eksplorację obu mogił. Zdawano sobie przy tym sprawę z tego, że zarówno metoda eksploracji, jak i ograniczony do zaledwie półtora dnia (ostatecznie prace prowadzono dwa i pół dnia) czas przeznaczony dla tej czynności czynią te prace bezsensownymi. Zdał sobie również z tego sprawę rabin Ekstein, który po pewnym czasie zmodyfikował metodę eksploracji, pozwalając wypaleniska [obydwu] mogił, aż do momentu ukazania się szczątków kostnych, eksplorować przy pomocy łopat, a urobek

Przesłałem prof. Krajewskiemu pięć pytań. Chciałem się m.in. dowiedzieć, w jaki sposób przekonywał on przedstawicieli strony polskiej do takich, a nie innych warunków prowadzenia ekshumacji w Jedwabnem oraz czy w celu wyjaśnienia zbrodni jest możliwa – wedle żydowskiego prawa – ekshumacja ciał zamordowanych. Jeśli tak, to jaki warunek musi być w takim przypadku spełniony? Czy może być nim pochówek na cmentarzu? Odpowiedzi nie otrzymałem.

WYNIKI BADAŃ

Mimo trudnych warunków i niemożności wykonania jakichkolwiek badań przez medyków sądowych archeolodzy i antropolodzy biorący udział w ekshumacji w Jedwabnem sporządzili z wykonanych tam częściowych prac raport oraz sprawozdanie.

Wśród najważniejszych ustaleń archeologów należy wymienić m.in. to, że szacunkowa liczba ofiar znajdujących się w dwóch odkrytych mogiłach wynosiła między 300 a 400 osób, „przy czym – konkludował prof. Kola – bardziej realna jest chyba pierwsza z podanych tu liczb". Z kolei mogiły ofiar (wbrew zeznaniom wielu świadków) nie znajdowały się w obrębie cmentarza żydowskiego, tylko w stodole oraz tuż obok niej, co – według prof. Koli – podważa „wiarygodność innych relacji [świadków] jako podstawy źródłowej dla odtwarzania wydarzeń w Jedwabnem w początku lipca 1941 r.". Ciała ofiar nie były ograbione. Podczas prac archeologicznych znaleziono bowiem przy szczątkach pieniądze oraz biżuterię (w tym wykonane ze złota mosty i korony zębowe).

Antropolog – dr Andrzej Florkowski z UMK – dodawał w podpisanym przez siebie sprawozdaniu, że ofiarami zbrodni w Jedwabnem byli ludzie w różnym wieku. Jednak ze względu na ograniczenia w przeprowadzeniu ekshumacji spowodowane żądaniami strony żydowskiej niemożliwe było udzielenie bardziej precyzyjnych odpowiedzi na pytania zadane przez zleceniodawcę badań.

„Na zakończenie – stwierdzał w swoim raporcie prof. Andrzej Kola – należy podkreślić doskonałe warunki, jakie dla prac w Jedwabnem stworzyła Komenda Wojewódzka Policji w Białymstoku. Należy tylko żałować, że nie zostały one spożytkowane dla osiągnięcia zasadniczego celu podjętych w Jedwabnem badań archeologiczno-ekshumacyjnych".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z raportu prof. dr. hab. Andrzeja Koli z Instytutu Archeologii i Etnologii UMK w Toruniu zatytułowanego „Badania archeologiczne i prace ekshumacyjne w miejscu zagłady Żydów w Jedwabnem, k/Łomży" oraz „Sprawozdania antropologicznego z oceny materiałów kostnych wydobytych podczas badań w Jedwabnie [winno być: Jedwabnem] w okresie 21 maja–4 czerwca 2001 r." autorstwa dr. Andrzeja Florkowskiego z Instytutu Ekologii i Ochrony Środowiska UMK w Toruniu, znajdujących się w aktach umorzonego 30 czerwca 2003 r. przez pion śledczy IPN śledztwa o sygnaturze S 1/00/Zn. Wspomniane materiały znajdują się na kartach: od 2492 do 2647. Materiały otrzymałem 27 maja 2021 r.

eprasa.pl a60f4d831b

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Piekło Sowietów

Komunistyczna propaganda twierdziła, że Związek Sowiecki jest rajem na ziemi. „Nie ma drugiej takiej ziemi, gdzie tak swobodnie oddychałby człowiek". Kolektywizacja i industrializacja lat 30. miały podnieść poziom życia ludzi sowieckich, wydźwignąć ich z ubóstwa i ciemnoty epoki caratu.

W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. Kolosalny sowiecki eksperyment inżynierii społecznej zepchnął obywateli w otchłań nędzy, jaka za czasów carskich nikomu się nie śniła. Kolektywizacja zniszczyła sowieckie rolnictwo i zamieniła chłopów w niewolników. Z kolei życie mieszkańców miast stało się jedną wielką udręką.

O tym ostatnim pisze prof. Sheila Fitzpatrick w kapitalnej książce „Życie codzienne pod rządami Stalina". Słowo „życie" wypadałoby zresztą dać w cudzysłów. Bo co to było za życie? Raczej wegetacja. Zacznijmy od warunków mieszkaniowych. Sowieci budowali fabryki, co powodowało napływ nowych mieszkańców do miast. Niewydolna gospodarka centralnie planowana nie była jednak w stanie wybudować dla nich mieszkań.

Zastosowano więc politykę „zagęszczania". Polegała ona na dokwaterowywaniu do mieszkań nowych lokatorów. Wieloosobowe rodziny musiały się gnieździć w niewielkich pokoikach, na korytarzach, strychach, pod schodami. Były to tzw. komunałki, w których nikt nie miał prywatności, ludzie musieli dzielić mieszkania z całkowicie obcymi lokatorami. Było to źródłem nieustających udręk i konfliktów.

Wielu obywateli sowieckich zresztą nie załapało się nawet na „komunałki". Na przykład robotnicy wielkich „stalinowskich fabryk" na ogół mieszkali w rozpadających się barakach lub glinianych ziemiankach. Tak właśnie wyglądał sowiecki „skok ku nowoczesności".

Kolejną zmorą ludzi sowieckich był brak żywności i podstawowych produktów przemysłowych. Ubrań, butów, garnków. Kilometrowe kolejki po chleb, puste sklepowe półki. Aby utrzymać naród w ryzach i stłumić wszelkie oznaki niezadowolenia społecznego, partia komunistyczna stosowała bezwzględny terror i totalną kontrolę. Pleniło się donosicielstwo, ściany w Sowietach naprawdę miały uszy.

Wszystko to sprawiało, że życie w Sowietach nie było rajem. Było piekłem. ©℗

★★★★★★

SHEILA FITZPATRICK „ŻYCIE CODZIENNE POD RZĄDAMI STALINA" WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Unia lubelska

Zygmunt August zdawał sobie sprawę, że wraz z jego śmiercią wygasną Jagiellonowie i dalszy związek Polski z Litwą stanie pod znakiem zapytania. Wiedział też, że Wielkie Księstwo bez pomocy Korony nie ma szans w rywalizacji z Moskwą, a tamtejsza szlachta marzy o swobodach, którymi cieszyli się herbowi w Koronie. Polscy ziemianie byli natomiast zainteresowani słabo zagospodarowanymi terenami Wielkiego Księstwa.

Król postępował jednak z wielką rozwagą. Na początek, w 1563 r., zrzekł się swoich dziedzicznych praw do tronu wielkoksiążęcego, co wprawiło możnowładców litewskich w konsternację, gdyż władca przekazał uprawnienia Koronie Królestwa Polskiego. Oznaczało to, że monarcha wybrany przez polski Sejm stałby się automatycznie wielkim księciem.

Dwa lata później król powołał sejmiki ziemskie na Litwie. Zorganizowano je na wzór polski, a posłowie mieli reprezentować szlachtę przed wielkim księciem. Do tego władca zrzekł się na rzecz Sejmu litewskiego części swoich uprawnień.

W styczniu 1569 r. rozpoczęły się obrady Sejmu koronnego w Lublinie, a równolegle obradowali posłowie litewscy. Zygmunt August zachowywał się jak wielki monarcha i wybitny polityk. Chociaż dążył do zacieśnienia unii, podkreślał, że nie można tego zrobić siłą. Wymuszenie tzw. zgody narodów mijało się z celem, gdyż sprawy, których konsekwencje miały być odczuwane przez całe pokolenia, musiały zostać uchwalone z dobrej woli i pełnym przekonaniem.

Magnaci litewscy stawiali jednak opór i podburzyli część posłów. Na początku marca przeciwnicy unii demonstracyjnie opuścili Lublin, a król uznał, że nadszedł czas na fakty dokonane. Pięć dni później wcielił Podlasie i Wołyń do Polski, gwarantując tamtejszej szlachcie dotychczasowe swobody. Jednocześnie zarządził nowe wybory na Litwie, nie ukrywając, że zadba, by posłami zostali ludzie popierający jego plany.

Zaskoczeni możnowładcy litewscy ze swoimi klientami powrócili do Lublina, ale Jagiellon nie dowierzał ich intencjom. Dlatego na początku czerwca ogłosił inkorporację województwa kijowskiego i bracławskiego, co oznaczało przyłączenie większości Ukrainy do Polski. Szlachta koronna była usatysfakcjonowana, a Litwini zrozumieli, że muszą się zgodzić na królewskie warunki.

Nie obyło się wprawdzie bez dalszych sporów i dyskusji, ale ostateczny tekst unii zaprzysiężono 1 lipca. Zygmunt August osiągnął cel i podobno pierwszy raz w życiu z radością udał się do kościoła, gdzie na znak triumfu odśpiewano „Te Deum laudamus". Rzeczpospolita Obojga Narodów stała się faktem. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

Z Moniką Luft, dziennikarką, autorką powieści
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Czysta krew i brudne czyny

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Sowieci uznawali konie arabskie za wrogów ludu?

MONIKA LUFT: Zagłada stadnin kresowych była tematem tabu w czasach PRL. Cenzura wycinała wszelkie wzmianki o pożodze, a traktujące o tym dzieła literackie były zakazane. Opisywane niegdyś przez Zofię Kossak-Szczucką, a współcześnie przez Wiesława Helaka sceny napaści na dwory i pałace robią potworne wrażenie. Pod wodzą bolszewickich prowodyrów dokonywano dekapitacji ogierów, palono żywcem klacze ze źrebiętami – ten koszmar trudno sobie dzisiaj wyobrazić. Wkrótce jednak Sowieci zorientowali się, że konie czystej krwi arabskiej to prestiż i zarobek, zapragnęli zatem je hodować. W 1939 r. zrabowali całe janowskie stado – prócz jednej klaczy i młodych koni, które zagubiły się podczas wcześniejszej ewakuacji. Gdy Janów zajęli Niemcy, doszło do zgodnej współpracy obu okupantów. Do Tierska, dokąd trafiły janowskie araby, Niemcy wysłali polskiego pracownika stadniny, by zidentyfikował ukradzione konie. Chodziło o odtworzenie ich rodowodów. Słynna potem w świecie tierska stadnina stworzyła swą hodowlę w dużej mierze dzięki arabom uprowadzonym z Janowa.

Burzy pani legendę o dobrych Niemcach zarządzających janowską stadniną podczas okupacji.

Ten mit jest wyjątkowo silnie zakorzeniony. Stale przewija się w książkach i artykułach o Janowie. Do jego utrwalenia przyczynił się m.in. długoletni dyrektor stadniny w czasach PRL, Andrzej Krzyształowicz, który podczas wojny był koniuszym i prawą ręką ppłk. Hansa Fellgiebla, okupacyjnego zarządcy stadniny. Według niego Janów Podlaski był terenem neutralnym niczym Szwajcaria. Prezes stadniny z późniejszego okresu, Marek Trela, także podkreślał, że koniom i ludziom niczego podczas okupacji nie brakowało. Niestety, prawda wygląda mniej sielankowo.

Po pierwsze, Niemcy wymordowali wszystkich Żydów, którzy odbudowywali stadninę po zniszczeniach wojennych roku 1939. Po drugie, rozstrzelali sześciu masztalerzy zaangażowanych w konspirację. Po trzecie, zarząd stadniny odtwarzał jej zasoby poprzez konfiskatę koni prywatnych hodowców. Po czwarte, realizowano zgodne z narodowosocjalistycznymi teoriami pomysły hodowlane Gustava Raua, do dziś zresztą uważanego za znakomitego znawcę koni. Po piąte, pod koniec wojny wywieziono wszystkie konie. Dużą część z nich udało się odzyskać, ale powrót stada do Polski nie był bynajmniej zasługą okupantów. Hans Fellgiebel na pewno kochał konie, ale raczej dość daleko mu było do filmowego Oskara Schindlera. A tak właśnie bywa najczęściej przedstawiany – jako dobroczyńca Polaków i koni arabskich.

Jak hodowców arabów potraktowała Polska Ludowa?

Wszystko zależało od tego, jaką przyjęli postawę. Tych, którzy nie wykazywali należytego entuzjazmu dla nowych porządków, represjonowano. Zasłużony znawca koni arabskich Bogdan Ziętarski – w czasach II Rzeczypospolitej pracujący dla księcia Sanguszki – musiał zadowolić się posadą kierownika źrebięciarni koni roboczych w jednym z PGR-ów. Hodowczyni Anna Bąkowska, której męża zamordowano w Katyniu, nie mogła znaleźć pracy. Ostatnie konie odebrano jej za symboliczną zapłatą. Wielu koniarzy uwięziono, np. Zygmunta Braura. Potem, dzięki niezwykłemu uporowi, jako jeden z kilku zaledwie prywatnych właścicieli, hodował w PRL araby. Hipologowi Edwardowi Skorkowskiemu, autorowi przedmowy do I tomu „Polskiej księgi stadnej koni arabskich", gdzie opisał unicestwienie stadnin kresowych, utrudniano kontynuowanie pracy naukowej i uprzykrzano życie na wiele sposobów. Prezes Towarzystwa Hodowli Konia Arabskiego, Aleksander Paweł hr. Dzieduszycki, pełniący w dwudziestoleciu międzywojennym wiele ważnych funkcji państwowych, nękany przesłuchaniami przez UB, popełnił w 1947 r. samobójstwo.

„Konny decydent" komunistów, Stanisław Arkuszewski, jawi się wyjątkowo złowrogo.

O dziwo, to postać w kręgach „arabiarzy" odbierana nader pozytywnie. Niedawno były prezes stadniny michałowskiej Jerzy Białobok udzielił wywiadu, w którym stwierdził, że ten stalinowski dygnitarz na koniach się co prawda nie znał, ale za to na ludziach tak. Był m.in. protektorem Ignacego Jaworowskiego, długoletniego szefa stadniny w Michałowie. Z pistoletem w ręku wymuszał posłuch wśród urzędników i podwładnych. Jaworowski, wielki autorytet tego środowiska, nazwał go „opatrznościowym na owe czasy człowiekiem". Arkuszewski sam chwalił się we wspo-

eprasa.pl a60f4d831b

Wysocy oficerowie i urzędnicy Generalnej Guberni oglądają pokaz ogierów w stadninie w Białce FOT. NAC

mnieniach, że bronił „aktywu hodowlanego". „Aktyw hodowlany" zachował więc o nim wdzięczną pamięć i złego słowa nie da o nim powiedzieć. Tymczasem Arkuszewski, komunista o krystalicznym z punktu widzenia ideologicznego życiorysie, członek PZPR i ORMO, a wcześniej kandydat i prawdopodobnie członek partii bolszewickiej, kościuszkowiec dwukrotnie udekorowany Orderem Czerwonej Gwiazdy, przyznawanym przez Prezydium Rady Najwyższej ZSRS, jednych wybronił, innych zaś, o nie mniejszych zawodowych kwalifikacjach, nie. Jego szczególne, nawet jak na czasy stalinowskie, metody obrony „aktywu hodowlanego" do dziś znajdują wiernych zwolenników. W ubiegłym roku, podczas aukcji w Janowie Podlaskim, bloger, a niegdyś redaktor naczelny periodyku „Koń Polski", zaatakował jednego z gości, wymierzając mu kilka ciosów pięścią w głowę. Dziennikarce, która zainteresowała się tym mocno bulwersującym wydarzeniem, oświadczył, że zaatakowany stoi „po złej stronie barykady". Sądząc po komentarzach „wielbicieli arabów" w mediach społecznościowych, grupa ta ochoczo przyklaskuje stosowaniu rozwiązań siłowych wobec osób o innych poglądach. Dziedzictwo płk. Arkuszewskiego jest więc nadal żywe.

Długoletnich zarządców Janowa Podlaskiego i Michałowa cechował konformizm?

W przywoływanym wywiadzie Białobok przekonywał, że „komuniści mieli swoją racjonalność". Dowodem na ich pragmatyzm miało być to, że zatrudniali ludzi o ziemiańskich rodowodach jako dyrektorów stadnin, np. Ignacego Jaworowskiego. Ta teza nie wytrzymuje zderzenia z rzeczywistością. Ziemiańskie pochodzenie czy też – częściej – uprzednia praca dla ziemian nie stanowiły wystarczającej rekomendacji. Liczyła się przede wszystkim uległość wobec władzy bądź czynne jej poparcie. Jeden z protegowanych Arkuszewskiego – Andrzej Krzyształowicz, syn byłego zarządcy folwarków należących do rodzin Dzieduszyckich, Potockich i Czartoryskich, był gorliwym działaczem lokalnej komórki PZPR. Wkrótce zresztą powstała nowa warstwa „ziemian" na państwowych etatach. Kazimierz Guziuk, obejmując stanowisko dyrektora stada ogierów w Białce w 1950 r., nie miał ukończonych siedmiu klas szkoły podstawowej, za to był członkiem PZPR i ORMO. Gdy w 1981 r. odchodził na emeryturę, kierowanie stadem przekazał swojemu synowi, który po pewnym czasie został prezesem, a niebawem także wstąpił w szeregi ORMO. Dziedziczność dyrektorskich posad w państwowych przedsiębiorstwach to osobliwe zjawisko wtedy i dzisiaj.

Najwyższą cenę za araba w PRL zapłacił sowiecki agent wpływu i oszust?

El Paso, którego sprzedaż opisuję w jednym z rozdziałów książki, to najdroższy polski ogier arabski – milion dolarów zaoferował za niego przed aukcją janowską w roku 1981 amerykański kupiec, Armand Hammer. Więcej uzyskano w późniejszych latach tylko za trzy klacze. Rolę Hammera jako sowieckiego agenta wpływu opisał amerykański dziennikarz śledczy Edward Jay Epstein. W polskiej prasie hipologicznej Hammera przedstawiano jako szlachetnego filantropa, wielbiciela koni arabskich i biznesmena, który odniósł oszałamiający sukces. Tymczasem zakup El Paso miał mu pomóc w bardzo konkretnych sprawach, w tym w zdobyciu poparcia administracji Ronalda Reagana.

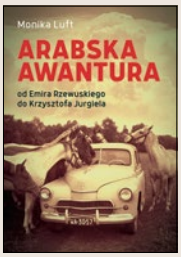

MONIKA LUFT „ARABSKA AWANTURA" LTW 2021

Amerykański prezydent, czemu trudno się dziwić, był niechętnie nastawiony do kontaktów z ludźmi kojarzonymi z sowieckimi operacjami szpiegowskimi. Hammer podjął więc piętrową grę. Wszedł w spółkę z innym milionerem, Davidem H. Murdockiem, zaangażowanym w zbieranie funduszy dla Partii Republikańskiej, a przy tym kolekcjonerem koni arabskich. Przez jakiś czas oddawali się tej pasji razem, goszcząc też na janowskiej aukcji. W końcu jednak Murdock zerwał współpracę. Po śmierci Hammera w 1990 r. bańka prysła. Okazało się, że jego biznesowe imperium przynosi gigantyczne straty. Dziś nikt – może poza Polską – nie wierzy już w jego gwiazdę.

„Arabska awantura" rysuje niewesoły obraz sytuacji w państwowych stadninach koni arabskich. Czy znajdzie się jakiś Herakles, by oczyścić te stajnie Augiasza?

Nie. Polityczna arabska awantura, która od 2016 r. osiąga nieznane wcześniej rozmiary, znajduje wsparcie we wpływowych mediach. Każdy, kto próbuje pokusić się o jakieś twórcze działania w stadninach państwowych, zostaje poddany ogromnej medialnej presji, musi też liczyć się z odwetem w postaci np. doniesień do prokuratury za mocno nagłaśniane rzekome przewinienia. Na żadne „oczyszczenie" się nie zanosi także dlatego, że legendy i przeinaczenia „jedynie słusznej narracji" przysłoniły w tej dziedzinie rzeczywistość. Jak ujął to Kawafis w jednym z wierszy: „Wszyscy byli prześwietni – potężni i miłościwi. Działali przemyślnie i mądrze, a wszelkie ich dokonania były szczególne lub wielkie". Tylko w takim duchu opowiadano tę historię. Czekałam na książkę, która przywróciłaby właściwe proporcje. W końcu musiałam sama podjąć się tego zadania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Monika Luft – autorka powieści, wywiadów, słuchowisk radiowych. Absolwentka iberystyki i podyplomowych studiów Historia Służb Specjalnych. W przeszłości dziennikarka Programu I TVP i rzeczniczka prasowa MSZ. Przez kilkanaście lat prowadziła portal poświęcony koniom arabskim.

eprasa.pl a60f4d831b

Niemcy 2021

Armin Laschet ma dziś teoretycznie największe szanse na objęcie szefostwa rządu po wyborach FOT. AFP POOL/EAST NEWS

Łukasz Warzecha

Może się okazać, że po wyborach w Niemczech powstanie „jamajska" koalicja – CDU-CSU, FDP i Zielonych. Rozgrywającym za Odrą jest teraz Armin Laschet. Czy Polska się na to przygotowuje?

W Niemczech wybory do Bundestagu już we wrześniu. CDU pod wodzą nowego przewodniczącego Armina Lascheta odrabia straty, zwyciężając w niedawnych wyborach landowych. Era Angeli Merkel się kończy, bo w razie wygranej chadeków to Laschet jako przewodniczący partii zostanie szefem rządu. Zajęci naszymi sprawami niespecjalnie zwracamy uwagę na sytuację u zachodnich sąsiadów, a przecież to oni dyktują kurs Europie, czy nam się to podoba czy nie.

Po poważnym zachwianiu, którego impulsem był kryzys imigracyjny, pozycja sojuszu CDU-CSU wzrasta. Paradoksalnie, dzieje się tak mimo – a może dzięki – epidemii. Może także dlatego, że chadecy po okresie smuty i krótkiego przewodnictwa Annegret Kramp-Karrenbauer jednak trafili z wyborem nowego przewodniczącego.

Komentatorzy przyglądają się szczególnie uważnie losom trzech ugrupowań: CDU-CSU (CSU działa wyłącznie w Bawarii), Zielonych i Alternatywy dla Niemiec (AfD). Pozostali gracze to SPD, FDP (liberałowie) i Die Linke (Lewica).

PRZEGRANA AFD

AfD, która miała zrewolucjonizować politykę Niemiec, jest w najgorszej sytuacji, jeśli chodzi o jej perspektywę ze względu na szczelny kordon sanitarny, otaczający ją nie tylko w Bundestagu, lecz także w parlamentach landowych. Oto w październiku 2019 r. odbyły się wybory w Turyngii. Była to porażka CDU-CSU, które zdobyło tam wówczas zaledwie trzecie miejsce i 21,8 proc. głosów, o 11,7 pkt mniej niż w poprzednich wyborach. Wygrała Die Linke (31 proc.), zaś AfD była druga (23,4 proc.). Trzy miesiące trwały próby powołania rządu i w końcu udało się to w lutym ubiegłego roku. Premierem został Thomas Kemmerich z FDP – dzięki poparciu deputowanych z AfD. Funkcją cieszył się jednak jedynie dobę. W niemieckim świecie politycznym wybuchł nieprawdopodobny skandal, niemal cała niemiecka prasa oskarżała FDP o zdradę demokratycznych ideałów. „Co przyszli historycy powiedzą o tym dniu?" – pytał dramatycznie lewicowy „Frankfurter Rundschau". „To wydarzenie będzie miało ogromne konsekwencje dla wielu spraw w Republice Federalnej w nadchodzących miesiącach i latach – to przerwanie tamy" – wtórował „Die Zeit". Kemmerich został zmuszony do rezygnacji. W marcu zastąpił go Bodo Ramelow z Lewicy. „Tama" – jak to elegancko określały niemieckie media – została zreperowana. AfD pozostała zmarginalizowana.

Dla AfD taka sytuacja oznacza, że może liczyć wyłącznie na głosy czystego protestu. Wyborcy tego ugrupowania – niebezpodstawnie zresztą oskarżanego o sprzyjanie Rosji, choć to akurat w Niemczech brzmi pociesznie – nie mogą mieć nadziei, przynajmniej na razie, że ich wybór wpłynie na realną politykę. Zwłaszcza że w niemieckiej polityce niczym nadzwyczajnym nie są sojusze od prawa do lewa, a te ułatwiają omijanie Alternatywy dla Niemiec.

AfD, jak większość podobnie pozycjonujących się partii w Europie, mogła mieć nadzieję na wzmocnienie swojej pozycji za sprawą sprzeciwu wobec polityki epidemicznej rządu w Berlinie oraz rządów landowych (landy miały tutaj bardzo dużą swobodę) – to się jednak nie udało.

Prawdziwym rywalem dla CDU-CSU okazali się natomiast Zieloni, którzy mogli mieć realne nadzieje na wygraną we wrześniu. Kanclerzem zostałaby wówczas 41-letnia Annalena Baerbock, przewodząca Zielonym od 2018 r.

eprasa.pl a60f4d831b

Pierwszym powodem do zadowolenia były wybory we wrześniu 2019 r. w Brandenburgii i Saksonii. Wprawdzie w obu landach wygrały wtedy dotychczas rządzące tam SPD i CDU, ale Zieloni dostali najwięcej głosów w historii elekcji w tych regionach. Nieźle wypadła też AfD.

Nadzieje Zielonych wzmocniły tegoroczne marcowe wybory w Badenii-Wirtembergii i Nadrenii-Palatynacie, gdzie CDU poniosła druzgocącą porażkę, otrzymując najgorszy wynik w historii w obu tych landach – w pierwszym z nich 23 proc. (drugie miejsce), w drugim – 26 proc. W pierwszym z nich wygrali Zieloni (32,6 proc.), w drugim SPD (35,7 proc.) – obie partie w obu regionach dotąd rządziły. W ogólnokrajowym sondażu wykonanym w tym samym czasie CDU-CSU dostało jedynie 31 proc. poparcia.

Powszechnie uznano, że jedną z przyczyn był skandal maseczkowy, w który zamieszani byli dwaj deputowani CDU i CSU. I – w odróżnieniu od podobnych sytuacji w Polsce – obaj złożyli legitymacje partyjne. Partii to najwyraźniej nie pomogło.

Tymczasem czerwcowe wybory w Górnej Saksonii przyniosły zmianę na korzyść CDU-CSU, które nie tylko wygrało, lecz także poprawiło swój poprzedni wynik o ponad 7 pkt. Druga była AfD z ponad 20 proc., ale prawicowa partia odnotowała spadek poparcia w stosunku do poprzedniego wyniku o 3,5 pkt. To znaczące, bo Górna Saksonia jest landem dawnej NRD, a w tej części Niemiec sentymenty polityczne układają się wciąż inaczej niż na zachodzie. AfD zawsze osiągała tu lepsze rezultaty, a niechęć wobec polityki imigracyjnej rządu w Berlinie była intensywniejsza.

Zieloni zajęli miejsce drugie od końca (6,6 proc.), przed FDP, która załapie się do parlamentu landowego. Dla Zielonych, mimo rezultatu minimalnie lepszego niż w poprzednich wyborach, to jednak porażka i przyznała to sama Baerbock.

ROSNĄCE SZANSE CDU-CSU

Think tank Eurasia Group, specjalizujący się w tworzeniu politycznych analiz oraz prognoz, odnotowuje spadające szanse na wygraną Zielonych we wrześniu i rosnące notowania CDU-CSU. Instytut obniżył swoje przewidywania na objęcie szefostwa rządu po wyborach przez liderkę Zielonych do 35 proc. z poprzednich 40 proc., zarazem zwiększając szanse Lascheta z 60 do 65 proc. W tej samej analizie zaznaczono jednak, że sytuacja jest bardzo niepewna, bo sondaże pokazują dość wyrównaną sytuację najważniejszych rywali, przy czym żadna z partii nie przekracza trwale 30 proc. poparcia.

Z polskiego punktu widzenia ważne może być, że CDU stwierdziła, iż o regularnym wspólnym zadłużaniu się UE nie może być mowy

Może się zatem okazać, że po wyborach w Niemczech powstanie „jamajska" koalicja – ten wariant wydaje się dzisiaj najprawdopodobniejszy. Określenie wzięło się z kolorów flagi Jamajki (zielony, czarny i żółty) odpowiadających barwom CDU-CSU, FDP i Zielonych. Inne możliwe warianty to koalicja „semafora" (zielony – żółty – czerwony), czyli Zieloni z SPD i FDP, ale bez CDU – byłaby to rewolucja, bo partia Lacheta i Merkel znalazłaby się poza rządem po raz pierwszy od 16 lat – oraz wielka koalicja z CDU-CSU oraz SPD i ewentualnie FDP. Wówczas odpadliby Zieloni.

Przede wszystkim ważne jest teraz, że głównym rozgrywającym jest Armin Laschet i to najpewniej on zajmie miejsce Merkel. Nie było to wcale oczywiste. Gdy z kierowania partią niespodziewanie zrezygnowała na początku 2020 r. Annegret Kramp-Karrenbauer, rozpoczął się długi, roczny marsz ku wyborowi nowego lidera, utrudniany sytuacją epidemiczną. Ostatecznie na placu boju pozostało dwóch kandydatów: właśnie Laschet oraz Markus Söder, premier Bawarii i szef CSU. Rozstrzygnięcie nie było wcale oczywiste: Söder był dużo popularniejszy od Lascheta wśród wyborców. W sondażu jako odpowiedniego kandydata na kanclerza wskazywało go aż 63 proc., podczas gdy Lascheta jedynie 29 proc. W samym elektoracie CDU-CSU było podobnie: 83 do 43 proc. Jednak to Laschet zjednał sobie więcej działaczy partyjnych i to ostatecznie zdecydowało o jego sukcesie w wewnętrznym głosowaniu.

CDU podjęła już grę z wyborcami z uwzględnieniem sprawy być może dla nich najważniejszej: sytuacji gospodarczej w perspektywie bardzo ambitnych celów klimatycznych, jakie Niemcy sobie stawiają. Rozłożenie akcentów będzie bardzo ważne także w kontekście ewentualnej szerszej koalicji. Gdyby mieli się w niej znaleźć Zieloni oraz FDP, to ci pierwsi będą się musieli ze swoimi postulatami najbardziej posunąć, bo CDU i liberałowie będą prezentować bardziej konserwatywny fiskalnie pogląd.

CDU kilkanaście dni temu przedstawiła swój wyborczy program (CSU zamierza jeszcze zaprezentować odrębny Plan dla Bawarii w lipcu). Jest w nim mowa o dążeniu do neutralności klimatycznej z zachowaniem umiaru i zdrowego rozsądku – to prawdopodobnie zamierzony kontrast z daleko idącymi postulatami Zielonych, mający uspokoić wyborców, że ich dobrobyt nie zostanie poświęcony na ołtarzu ekologii (przynajmniej nie całkowicie). Mowa jest również o jak najszybszym powrocie do zrównoważonego budżetu, lecz zarazem jest odżegnanie się od jakichkolwiek podwyżek podatków. To z kolei próba podebrania wyborców FDP.

Z polskiego punktu widzenia ważne może być to, że CDU uznała decyzję o powołaniu Funduszu Odbudowy za jednorazowe działanie w nadzwyczajnej sytuacji i stwierdziła, że o regularnym wspólnym zadłużaniu się na poziomie UE nie ma mowy. Tu trzeba przypomnieć, że niektóre elementy tego rozwiązania były przedmiotem badania przez niemiecki Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe.

Dwie rzeczy wydają się dzisiaj pewne. Po pierwsze – ani kryzys imigracyjny, ani epidemia nie doprowadziły do jakiegoś znaczącego przewrotu w niemieckiej polityce, który przecież przez jakiś czas wydawał się prawdopodobny. Można mówić najwyżej o przetasowaniach. Po drugie – za kilka miesięcy pożegnamy Angelę Merkel, który była, jaka była, ale była z naszego, polskiego punktu widzenia jakoś tam oswojona. Jej miejsce zajmie nowy lider. Pytanie brzmi, czy polski rząd będzie tym równie zaskoczony i równie słabo do tego przygotowany jak do zwycięstwa Joe Bidena.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

Teresa Stylińska

Szariat
na poletku doświadczalnym

Wieprzowina wykluczona, zwłaszcza w stołówkach szkolnych. Boże Narodzenie bez szopek, jasełek i kolęd. Kobiety, które wzbraniają się przed podaniem ręki mężczyźnie. Coraz więcej meczetów. No i szariat – prawo koraniczne

Wszystko to dzieje się w Europie, choć ciągle jeszcze nie wszędzie i nie powszechnie. Czy zatem jest się czym niepokoić? Tym bardziej że tego rodzaju żądania czy oczekiwania niekoniecznie są formułowane przez społeczność muzułmańską. Niejeden bzdurny pomysł jest autorskim dziełem europejskich apologetów postępu i poprawności, którzy pod płaszczykiem gestów dobrej woli wobec muzułmanów przemycają rozwiązania wymierzone w tradycję czy religię. Sami muzułmanie wcale nierzadko nie tylko nie domagają się zerwania ze zwyczajami bożonarodzeniowymi, lecz także zapewniają, że lubią je i cenią.

NIEUZNANY, LECZ TOLEROWANY

Pojawienie się w Europie szariatu należy zatem traktować bez popadania w panikę, ale z dystansem i ostrożnie. Mowa oczywiście o jej zachodniej części, która w przeciwieństwie do Wschodu z szariatem nigdy nie miała do czynienia. Na Zachodzie jest to sytuacja nowa, a teren nieznany. Za prawdziwe poletko doświadczalne wypada uznać Wielką Brytanię, gdzie pierwsze rady szariatu, nazywane również sądami szariackimi, zaczęły powstawać na początku lat 80. Dzisiaj istnieje tam kilkadziesiąt rad (od 30 do 85 – ile dokładnie, nikt nie potrafi powiedzieć), nad którymi w charakterze parasola funkcjonują Islamska Rada Szariatu i kilka pomniejszych organizacji. Szariat, choć nie jest formalnie uznany, jest więc tolerowany.

Niemniej jego obecność rodzi problemy, oznacza bowiem istnienie równoległego systemu prawnego. Wszelkie jednak sugestie, by ująć go w jakieś ramy i poddać regulacjom, rodzą niebezpodstawne obawy, że oznaczałoby to pośrednie jego uznanie. Dlatego władze brytyjskie stanowczo odrzuciły propozycję zawartą w raporcie zespołu prof. Mony

eprasa.pl a60f4d831b

W Wielkiej Brytanii pierwsze rady szariatu, nazywane sądami szariackimi, zaczęły powstawać na początku lat 80. FOT. LIZZIE SADIN/POLARIS/EAST NEWS

Siddiqui z uniwersytetu w Edynburgu. Autorzy raportu uważają, że radom potrzebny jest kodeks postępowania, który mogliby wspólnie opracować ich przedstawiciele i brytyjscy specjaliści od prawa rodzinnego.

„W porządku prawnym Wielkiej Brytanii nie ma miejsca dla szariatu. Nie będziemy więc wprowadzać w życie zaleceń, w których rady jawią się jako alternatywa dla prawa brytyjskiego" – oświadczyło jednak ministerstwo spraw wewnętrznych, które samo wcześniej ów raport zamówiło.

Zakres działania rad szariatu jest ograniczony. W ich gestii leżą przede wszystkim kwestie rodzinne i majątkowe, a także rozsądzanie sporów. Rady orzekają więc o rozwiązaniu małżeństwa, opiece nad dziećmi rozwiedzionych małżonków i o podziale majątku, a także prowadzą mediacje i rozstrzygają konflikty, również na tle materialnym.

Wątpliwości wobec działania rad miewają jednak rozmaite podłoże. Jeśli autorzy raportów (sporządzono ich już kilka), a także niektóre organizacje oceniają rady krytycznie, to niekoniecznie dlatego, że obawiają się poszerzenia obecności islamu w życiu Wielkiej Brytanii. Powód jest inny: orzeczenia rad zbyt często są dla kobiet niekorzystne. Przykład? Nawet jeśli muzułmanka otrzymuje rozwód, zdarza się, że dostaje go za cenę rezygnacji z wniesionego posagu. Mężczyznom warunków nikt nie stawia. A to, zdaniem działaczek feministycznych, oznacza nierówne traktowanie, czyli dyskryminację.

NIE DO UNIKNIĘCIA

Rowan Williams, eksarcybiskup Canterbury, a więc zwierzchnik duchowy Kościoła Anglii, już dawno temu wyrażał opinię, że nie da się uniknąć wprowadzenia w Wielkiej Brytanii „pewnych elementów szariatu". Dla, jak to określił, spójnego funkcjonowania społeczeństwa byłoby to wręcz z pożytkiem. „Musimy zmierzyć się z faktem, że część obywateli brytyjskich nie mieści się w naszym systemie prawnym" – mówił w Radiu BBC, wyjaśniając, że muzułmanie wolą, by pewne sprawy, np. rodzinne czy finansowe, były rozstrzygane przez sąd szariacki. Trzeba się z tym pogodzić, bo – dodał arcybiskup – „muzułmanie nie powinni być zmuszeni do dokonywania wyboru między lojalnością wobec państwa a przywiązaniem do własnej kultury".

Było to w 2008 r., Wielka Brytania od dawna była celem imigrantów, również ze świata islamu, choć prawdziwy kryzys imigracyjny dopiero miał nadejść. Ale poglądy arcybiskupa były zbyt szokujące, by mogły znaleźć zrozumienie. Przeciwnie – wywołały burzę. Również wśród duchownych anglikańskich Rowan Williams był odosobniony. Michael Nazir-Ali, ówczesny biskup Rochester (dziś kieruje w Oksfordzie centrum badań nad dialogiem), otwarcie przestrzegał przed pochopnym wprowadzaniem zmian. Jego opinia była o tyle znacząca, że biskup Nazir-Ali pochodzi z Pakistanu i ma w rodzinie muzułmanów, choć sam wychował się jako chrześcijanin, bo konwersji dokonał jego ojciec.

Rowan Williams przypomniał przy tym, że jest precedens, na który zresztą chętnie powołują się muzułmanie. Osobne sądy funkcjonują bowiem w społeczności żydowskiej, a poniekąd także wśród chrześcijan, skoro do sądów kościelnych należy orzekanie o nieważności małżeństwa. Prawo krajowe – zauważył arcybiskup – bierze też pod uwagę antyaborcyjne nastawienie części chrześcijan, a to „pokazuje, że są sposoby, by szanowało ono obyczaje i potrzeby tej czy innej społeczności".

POD OSŁONĄ TRAKTATÓW

Decyzje sądów kościelnych i sądów rabinicznych nie pociągają za sobą skutków

eprasa.pl a60f4d831b

prawnych, ale z sądami szariackimi jest tak samo. Chociaż w tym właśnie punkcie pojawiają się problemy i znaki zapytania – co ciekawie ilustrują meandry drogi sądowej, którą przebyły dwie muzułmanki z dwóch krańców Europy.

Ich sprawy, stanowiące splot spraw rodzinnych, spadkowych i materialnych, z pozoru mogą wydawać się dość podobne. Hatice Molla Sali z Grecji sądziła się o spadek z siostrami swego zmarłego męża, powołując się na jego testament, sporządzony formalnie, a zatem na przepisy prawa cywilnego. Natomiast Nasreen Akhter z Wielkiej Brytanii zabiegała o to, by jej małżeństwo, choć zostało zawarte na zasadach muzułmańskich, zostało rozwiązane zgodnie z prawem cywilnym. Był to zabieg dobrze przemyślany, bo rozwód cywilny dawał jej prawo do podziału majątku na obowiązujących w Anglii zasadach.

Co jednak najciekawsze, mimo wszelkich różnic, odmiennego punktu wyjścia i odmiennych wyroków decyzje sądów szły w tym samym kierunku – i było to uznanie prymatu prawa cywilnego nad zasadami szariatu. W Wielkiej Brytanii Sąd Apelacyjny dla Anglii i Walii odrzucił wniosek Nasreen Akhter. Natomiast Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu przyznał Hatice Sali rację.

Sąd w Londynie orzekł, że w myśl prawa angielskiego małżeństwo pani Akhter i jej męża Mohammeda Shabaza Khana „jest nieważne". Nie zostały bowiem spełnione warunki, które pozwalałyby uznać jego ważność: ceremonia nie odbyła się w urzędzie stanu cywilnego, ślubu nie udzielił urzędnik, małżonkowie nie otrzymali świadectwa. Decyzja sądu niższej instancji, dla którego fakt, że para uważała się za małżeństwo, był zupełnie wystarczający, została uchylona.

Z kolei trybunał w Strasburgu, do którego po 12 latach zmagań przed greckimi sądami trafiła sprawa Hatice Sali, orzekł, że żadne przeszłe traktaty nie zobowiązują władz Grecji do respektowania prawa koranicznego. Chodzi o traktaty z Sèvres i z Lozanny z lat 1920 i 1923, gwarantujące specjalne traktowanie muzułmanom z Tracji, którzy nie zostali objęci wymianą ludności z Turcją. Zanim jednak trybunał wydał werdykt, grecki parlament z własnej inicjatywy znowelizował przepisy. Prawo islamskie może być teraz stosowane tylko wówczas, gdy godzą się na to obie strony sporu. W przeciwnym wypadku obowiązują zasady prawa cywilnego.

Rada Europy uważa, że Wielka Brytania też powinna przeprowadzić zmiany. W rezolucji ze stycznia 2019 r. apeluje, by ślub muzułmański musiał być obowiązkowo powiązany z cywilnym. Takie same sugestie zawiera raport Mony Siddiqui.

DZIELNICE WYSOKIEGO RYZYKA

Amerykańska firma kurierska UPS przed dwoma laty postanowiła wstrzymać dostarczanie przesyłek do Rosengårdu, dzielnicy Malmö. Według szwedzkiej Wikipedii 86 proc. jej mieszkańców stanowią imigranci, wśród których w dodatku ponad dwie trzecie urodziło się za granicą – co daje pewnie Rosengårdowi pod tym względem jedno z pierwszych miejsc w Europie. „Nasi kierowcy byli celem ataków, dlatego w Rosengårdzie paczek nie dostarczamy" – przedstawiciel firmy wyjaśnił tę decyzję miejscowemu dziennikowi „Sydsvenskan".

Rosengård to jedna z owianych złą sławą dzielnic, które szwedzka policja określa jako „strefy zagrożone" lub „ryzykowne" – mniej lub bardziej, w zależności od kryteriów. Łączy je niski poziom życia, za to wysoki poziom przestępczości, wysokie bezrobocie i wysoki odsetek imigrantów. A także rozpowszechniona opinia, że lepiej jest trzymać się od nich z daleka.

W 2015 r., gdy po raz pierwszy sporządzono rejestr niebezpiecznych dzielnic, było ich w sumie 53. W 2019 r. ich liczba wynosiła 60. Tak wyraźny wzrost, według szwedzkich władz, nie wynika jednak z pogarszania się sytuacji, tylko z tego, że policja dysponuje doskonalszymi metodami trafnego oceniania, co się tu dzieje. Czyli choć trudnych dzielnic jest więcej, to w sumie jest coraz lepiej – bo mieszkańcy nabierają zaufania do policjantów, rzadziej ich atakują i w ogóle przejawiają mniej agresji.

A jednak to o tych dzielnicach mówi się, że władza państwa jest tu ograniczona, bo więcej do powiedzenia mają imamowie miejscowych meczetów, a od prawa krajowego ważniejszy jest szariat. Na porządku dziennym są zamieszki, strzelaniny i ataki, również – a może zwłaszcza – na służby, które uosabiają państwo. Strażacy i służby medyczne muszą mieć się na baczności, być wyczuleni na akty wrogości i mieć dobre rozeznanie w terenie, by w razie potrzeby móc szybko wyjechać.

Policja to potwierdza, ale upiera się, że zagrożenia nie ma. Czy rzeczywiście? Pauline Neuding, redaktor naczelna szwedzkiego internetowego pisma „Kvartal", na łamach portalu Politico przytacza opinie ratowników medycznych, według których są miejsca, do których karetki nie wjadą bez ochrony policyjnej. „A ponieważ wzrost przestępczości – dodaje – ściśle wiąże się z nieudaną integracją imigrantów, nasilenie aktów przemocy stało się delikatnym tematem". Zapewnienia władz, że wszystko jest w porządku, mają wybielić obraz Szwecji w świecie.

GDZIE PAŃSTWO NIE DZIAŁA

Rosengård to strefa zakazana – „no-go zone", jak zwana jest z angielska. Tego określenia pierwszy użył szwedzki dziennikarz Per Gudmundsson, opisując parę lat temu w dzienniku „Svenska Dagbladet" miejskie dzielnice bezprawia, gdzie „rządzą przestępcy, a policja nie jest w stanie wykonywać swych zadań".

Podobnie brukselska dzielnica Molenbeek (odsetek imigrantów jest tam znacznie niższy, ok. 40 proc., za to sama dzielnica kilkakrotnie większa od Rosengårdu). Świat o niej usłyszał, gdy okazało się, że tam szykowali się do akcji, a po ich dokonaniu chronili islamscy sprawcy zamachów w Paryżu z listopada 2015 r. i w Brukseli z marca 2016 r. Molenbeek stał się wówczas symbolem miejsca, do którego władza państwa sięga w ograniczonym stopniu.

Takie miejsca rozsiane są po całej Europie. Władze mówią o tym niechętnie – i nic dziwnego, bo nie ma się czym chwalić – ale policja francuska czy belgijska nie są tak wstrzemięźliwe w słowach jak szwedzka. Otwarcie przyznają, że na co dzień mają do czynienia ze strefami, w których bardzo trudno jest poruszać się i działać. „Rząd zaś nigdy nie przyzna, że takie strefy istnieją, bo to dowód, że państwo nie działa" – mówił francuski policjant gazecie „The Local".

W jakim stopniu mieszkańcy niebezpiecznych dzielnic kierują się zasadami szariatu? Trudno to ocenić. Prawo koraniczne za ważniejsze od krajowego uważa jednak 47 proc. wyznawców islamu w Niemczech i aż 52 proc. w Szwecji. We Francji myśli tak 46 proc. muzułmanów urodzonych za granicą i aż 18 proc. wśród tych, którzy przyszli na świat już we Francji. Dlatego Mona Siddiqui i jej zespół nie zalecają zniesienia rad szariatu. Ich istnienie, podkreślają, to odpowiedź na potrzeby muzułmanów – a skoro tak, zlikwidować ich się nie da.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

FOT. ADOBE STOCK

DANIA BEZ DZIKÓW

Wszyscy boją się afrykańskiego pomoru świń. Dania dużo bardziej niż inni, ponieważ jest potężnym producentem świńskiego mięsa – liczba hodowanych świń sięga tam obecnie 1,3 mln sztuk. Ponieważ ASF odkryto u dzików, Duńczycy podjęli wiele „działań zapobiegawczych", czyli wybijali dziki od 2018 r. Ponieważ od dawna mieli ich mało (najpierw bowiem wycięli sobie lasy), właśnie odstrzelili dzika numer 157. I według rządu był to prawdopodobnie ostatni dzik w tym państwie.

NOWE PRZESTĘPSTWO: EKOBÓJSTWO

Międzynarodowy zespół prawników (m.in. z Norwegii, USA, Senegalu i Bangladeszu) przez pół roku pracował nad definicją nowego przestępstwa – „ekobójstwa". Ustalono, że to czyny bezprawne, popełnione ze świadomością, że istnieje prawdopodobieństwo, iż doprowadzą do długotrwałych szkód w środowisku. Jeśli taki termin zostałby przyjęty, to zrównałby definicję „ekobójstwa" ze zbrodniami wojennymi. Karę wymierzałby Międzynarodowy Trybunał Karny.

PAPIER TOALETOWY I CHLEB

My to już znamy, my przeżyliśmy. Teraz powtórzyli to Australijczycy. W Sydney i okolicach zaczął obowiązywać ścisły dwutygodniowy lockdown. Mimo zapewnień władz mieszkańcy ruszyli do supermarketów. Kupowali w panice. Towarami pierwszej potrzeby okazały się chleb i papier toaletowy. Supermarkety zaczęły nawet wprowadzać limity – dwa opakowania papieru toaletowego na jednego klienta.

WIELKA KRAKSA PRZEZ KARTON

Policja szuka kobiety, przez którą doszło do wielkiej kraksy kolarzy jadących w Tour de France. Pani stanęła na trasie pierwszego etapu wyścigu – tyłem do nadjeżdżających kolarzy – i prezentowała do telewizyjnych kamer karton z napisem pozdrawiającym swoich dziadków. Zaczepił o nią niemiecki kolarz. Upadł. A potem na niego wjechało kilkudziesięciu innych zawodników. Regulamin wyścigu zabrania kibicom wchodzenia na jezdnię.

WAKACJE PO ALBAŃSKU

W sporze o rozstawienie leżaków na plaży w Albanii doszło do strzelaniny, w której zginęło czterech mężczyzn. Pokłóciły się dwie hotelarskie rodziny prowadzące interes przy plaży w miejscowości Velipoja. Nie mogli dogadać się w sprawie rozstawienia parasoli i leżaków do tego stopnia, że użyli broni. Strzały obudziły turystów. Miejsce strzelaniny zabezpieczyła policja, która prowadzi dochodzenie w tej sprawie. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Prawo do uczciwego procesu

JACEK PRZYBYLSKI

Amerykański gwiazdor Bill Cosby, który dwa lata temu trafił za kratki, gdy sąd uznał go za winnego trzech przestępstw na tle seksualnym, niespodziewanie odzyskał wolność. Sąd Najwyższy Pensylwanii unieważnił wyrok skazujący 83-letniego komika ze względu na „uchybienia procesowe". Prokurator stanowy powiedział bowiem Cosby'emu w 2005 r., że ponieważ brak jest fizycznych dowodów przestępstwa, to nie ma szans na postawienie aktorowi zarzutów karnych. Oskarżyciel obiecał wówczas komikowi, że w zamian za zeznania w procesie cywilnym będzie zwolniony z odpowiedzialności karnej. Aktor się zgodził i wypłacił swej ofierze gigantyczne odszkodowanie. Gdy jednak trochę ponad dekadę później lewicowy ruch #MeToo wydał medialny wyrok na Cosby'ego, następca prokuratora odtajnił wcześniejsze zeznania i postawił Cosby'emu zarzuty karne. Na ich podstawie aktor został skazany na 10 lat więzienia i trafił za kraty.

W procesie karnym zawsze trzeba jednak odpowiedzieć na dwa pytania: czy oskarżony jest winny i czy miał uczciwy proces. W krajach demokratycznych, aby osadzić kogoś w więzieniu, twierdząca odpowiedź musi paść na oba. I chociaż wykorzystywanie seksualne bezsprzecznie zasługuje na potępienie, to skoro Cosby nie miał uczciwego procesu, słusznie odzyskał wolność.

Nie każdy ma tyle szczęścia. Derek Chauvin, policjant z Minneapolis, został skazany za zabójstwo kryminalisty George'a Floyda na ponad 20 lat więzienia. To kara o około 10 lat surowsza niż zazwyczaj w tego typu sprawach w przypadku osób nigdy wcześniej niekaranych. Chauvin przez lewicę w USA został jednak skazany na długo przed pierwszą rozprawą. Mimo prób obrońców nie dano mu szans na sprawiedliwy proces. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

FOT. MIROSŁAW STELMACH/REPORTER

Z Andrzejem Sadowskim, prezydentem Centrum im. Adama Smitha
rozmawia Jakub Wozinski

Czas to pieniądz, którego nie mamy

JAKUB WOZINSKI: Prezes Jarosław Kaczyński twierdzi, że dzięki Polskiemu Ładowi nadgonimy najbogatsze państwa być może jeszcze przed końcem tej dekady, a „Polska będzie zupełnie inna niż obecnie". Czy rzeczywiście w nowym programie Zjednoczonej Prawicy widać potencjał, aby tak się stało?

ANDRZEJ SADOWSKI: Gdyby polscy sportowcy mieli podobnie wyznaczane limity, jakie dla polskiego dobrobytu i przedsiębiorczości wyznaczono w kolejnej odsłonie „Strategii na rzecz zrównoważonego rozwoju", to nie mogliby bić kolejnych rekordów i biec szybciej do mety. Nie można szybciej biec i doganiać innych, jeżeli na starcie wprowadzone są ograniczenia prędkości. Jeżeli mamy doganiać Zachód, to nie może być żadnych limitów dla polskiej pracy, przedsiębiorczości i w ich rezultacie – narodowego dobrobytu.

Gdzie pana zdaniem te limity zarysowują się najostrzej?

Polska ciągle jest państwem o niższym poziomie dobrobytu niż w przywoływanych państwach tzw. Zachodu. Jakim więc sposobem przy tak rażąco niskim limicie bogactwa wyznaczonym polskiemu społeczeństwu w stosunku to rzeczonego Zachodu mamy szybciej doganiać znacznie zamożniejsze społeczeństwa?

Premier Mateusz Morawiecki twierdzi z kolei, że dzięki Polskiemu Ładowi uda się znacząco podnieść poziom produktywności polskiej gospodarki. Czy to możliwe?

Oczywiście, ale pod jednym fundamentalnym warunkiem, który dotyczy wszystkich rządowych propozycji i dzisiejszych, i późniejszych. Będzie to możliwe, jeśli Polakom pozwoli się odzyskać czas, który w innych państwach to też pieniądz. Dzisiaj Polacy mitrężą swój czas na niepotrzebne biurokratyczne procedury. Pan premier wskazywał podówczas jako wicepremier w 2017 r. w prezentacji „Strategii na rzecz odpowiedzialnego rozwoju", że polski przedsiębiorca traci rocznie 260 godzin na rozliczanie podatków, a jego estoński konkurent 150. Co zatem robił jego rząd, aby zaoszczędzić te tracone godziny polskiemu przedsiębiorcy? Mógłby je przecież wykorzystać na rozwój firmy czy dla własnej rodziny lub na rozwijanie życiowych pasji. Jak to jest możliwe, że po tej konstatacji ciężary podatkowe i ich obsługa się zwiększyły, a nie zmniejszyły? Produktywność najprościej można poprawić, zwracając obywatelom czas, który dzisiaj mitrężą w nieefektywnych procedurach, grzęznących w niesprawnej biurokracji, która powinna zostać zamieniona w serwis usług publicznych dla obywateli w celu oszczędzania im czasu. Potrzebna jest druga transformacja, już nie gospodarki, ale polskiego państwa i jego instytucji.

W założeniach Polskiego Ładu dostrzec można jednak pewne kroki zmierzające ku temu, aby ten czas obywatelom nieco zwrócić.

Polacy i Polska potrzebują dziś tak daleko idących zmian systemowych jak te, które miały miejsce na przełomie lat 80. i 90. minionego wieku, kiedy dokonywała się zmiana systemu gospodarczego i politycznego. Proponowanie dziś korekt – i to nie najfortunniejszych – przy niezdanych przez administrację stress i crash testach jest głęboko nieasymetryczne do koniecznych działań przy wychodzeniu z zapaści. Podstawą jest zmiana administracji. Zamiast przeprowadzać przeszczep tzw. estońskiego CIT, który w chorym i patologicznym systemie podatkowym w Polsce się nie przyjął, można skorzystać z doświadczeń tego państwa w transformacji administracji. Dzięki technologii blockchain nie tylko obroniono kraj przed cyberatakami, lecz także przede wszystkim usprawniono administrację i uproszczono procedury. Dzięki temu, że stały się jednoznaczne i transparentne, znacząco obniżono koszty funkcjonowania państwa oraz zmieniła się jakość obsługi przedsiębiorców. Polska ma taki sam dostęp do technologii jak Estonia i nic nie stoi na przeszkodzie, aby zamiast zlikwidowanego już Ministerstwa Cyfryzacji obywatele naszego kraju doświadczyli realnych korzyści z cyfryzacji.

eprasa.pl a60f4d831b

Z naśladowaniem Estonii może być niestety problem, co pokazał choćby wspomniany przez pana los polskiej wersji „estońskiego CIT", na który zdecydowało się raptem kilkaset firm.

W dokumencie, który polski rząd przedłożył Komisji Europejskiej jako Krajowy Plan Odbudowy, znajduje się część analityczna, poświęcona dotychczasowym działaniom rządu. Analiza wskazuje na nieefektywność dotychczasowej polityki. Należy wyciągnąć z niej wnioski. Nie można ani zrealizować Krajowego Planu Odbudowy, ani składać jakiejkolwiek innej propozycji bez uwzględnienia rzeczonej własnej analizy. Jeżeli rząd namawia przedsiębiorców od lat do tego, aby gospodarka była oparta na wiedzy, to dlaczego rząd uprawiający politykę z niej nie korzysta?

Czego najbardziej brakuje w Polskim Ładzie?

Nie możemy konkurować z tzw. Zachodem pieniędzmi i dostępem do kapitału, którego mają więcej. To, czym możemy skutecznie konkurować oprócz naszej pracy i przedsiębiorczości, jest lepsze wykorzystanie czasu. Możemy wykonać ten sam produkt czy usługę nie tylko w konkurencyjnej cenie, lecz także szybciej w tej samej jednostce czasu, którą oni i my mamy. Czasu jako pieniędzy i największego zasobu, jakim możemy dysponować, nie wykorzystujemy.

Czego jeszcze w nim nie ma?

Kilka lat temu pan premier zapowiedział realizację naszego postulatu, że Polska będzie jedną strefą ekonomiczną. W Polsce wówczas – co do zasady – obowiązywałyby takie same rozwiązania i dla międzynarodowych koncernów, i polskich przedsiębiorców, którzy przestaliby być wreszcie dyskryminowani. Jedna Polska oznacza również, że jeżeli rząd likwiduje PIT dla osób do 26. roku życia, a teraz proponuje dla części emerytów i nie pobiera go również od wypłacanych pieniędzy z „500+", to co do zasady należy go zlikwidować i zaoszczędzone setki milionów godzin wykorzystać na pracę tworzącą dobrobyt. Jeżeli celem rządu jest dogonienie w bogactwie Zachodu, to przede wszystkim powinien zwrócić nam czas, tak jak zwrócono nam go w 1988 r., przywracając wolność gospodarczą.

Jak pan ocenia zwrot Polskiego Ładu w kierunku jeszcze wyższych transferów socjalnych? W naszej coraz gorszej sytuacji demograficznej to chyba zły pomysł, bo osób w wieku produkcyjnym będzie coraz mniej.

Nie trzeba znać się na ekonomii, wystarczy znać historię i przeczytać analizę znajdującą się w Krajowym Planie Odbudowy, w której znalazła się m.in. ocena ich skutków. Zauważono ich niekorzystny wpływ na stan finansów publicznych i na rynek pracy oraz brak osiągnięcia zakładanego celu, jakim było odwrócenie postępującej zapaści demograficznej. Inne analizy dla rządu również wskazywały, że polskie rodziny żyją z pracy, a nie z zasiłków. Praca w Polsce powinna być przedmiotem afirmacji, a nie fiskalnej i biurokratycznej dyskryminacji jak obecnie. Doświadczenie Grecji z dobrobytem na kredyt skończyło się bankructwem tego kraju. Według oficjalnych danych do kwietnia br. dług publiczny zwiększył się w dwa lata o ponad 433 mld zł. Jak zatem można stworzyć trwały dobrobyt za pomocą długu, którego nie mamy możliwości spłacić, i zakładać jak przy hazardzie, że deszcz pieniędzy z Unii Europejskiej będzie w stanie ten sztucznie wywołany dobrobyt utrzymać? Historia podpowiada, że nie udało się to ani w Hiszpanii, ani w Grecji, ani w wielu innych krajach i wcześniej, i obecnie.

Prezentacji Polskiego Ładu towarzyszą zapewnienia, że wypływa z „ducha Solidarności". Solidarność oznacza „jedni drugich ciężary noście", ale widać wyraźnie, że tych ciężarów rząd nie nakłada na wielkie korporacje, które mają w Polsce szklarniowe warunki. Premier wiąże, jak widać, duże nadzieje z planem wprowadzenia globalnej minimalnej stawki CIT. Czy to realne, że dzięki temu Polska zostanie obsypana przez korporacje deszczem pieniędzy?

Nie, i to z prostego powodu. CIT to podatek od dochodu. Dochodu, nawet przy przychodach idących w dziesiątki miliardów złotych, można legalnie nie wykazywać do opodatkowania. Propozycja ta ma odwrócić uwagę opinii publicznej i służy wyciszeniu buntu przeciwko globalnym firmom.

Centrum im. Adama Smitha kolejnym rządom wielokrotnie proponowało prosty i jednoznaczny powszechny podatek, ale naliczany od przychodu. Nawet 1,5 proc. od przychodu dawałoby znacznie więcej niż 19 proc. od dochodu. Ustałaby gra operacyjna urzędów skarbowych i firm o tzw. koszty uzyskania. Punktowo podatek przychodowy w Polsce obowiązuje i wprowadzono go m.in. w przemyśle stoczniowym dla uratowania go i dla sklepów wielkopowierzchniowych dla ukarania ich. Proponujemy zastąpić CIT podatkiem przychodowym, a nie dodawać go do CIT.

Czy nie zniechęci to zagranicznego kapitału?

Mamy dzisiaj w Polsce apartheid gospodarczy. Międzynarodowym korporacjom zaproponowano program tzw. relokacji, który żelaznym listem gwarantuje im niskie i niezmienialne przez pięć lat podatki i przepisy. Dlaczego polscy przedsiębiorcy nie są godni tych samych gwarancji? Gdzie jest Polska jako jedna strefa ekonomiczna? Gdzie jest równość wobec prawa? Czy patriotyzm gospodarczy polega na uprzywilejowaniu globalnych firm?

Rząd chwali się świetnymi wynikami eksportu i niskim bezrobociem, ale sytuacja nie przedstawia się jednak aż tak różowo.

Gdyby wnikliwiej przyjrzeć się danym, to mogłoby się okazać, że „kwitnący eksport" jest efektem statystycznym, bo w znacznej części jest przesuwaniem środków i usług między oddziałami korporacji, które znajdują się w Polsce i w innych częściach świata. Ważniejsze jest to, ile firm wznowiło działalność i czy planowane są inwestycje przez prywatne firmy. Od lat maleje liczba i skala inwestycji sektora prywatnego ze względu na anarchizacje przepisów i podatków przez najwyższe organy państwa polskiego. Podnosiły to też międzynarodowe korporacje i być może stąd dla nich zaledwie pięcioletnia gwarancja niezmienności podatków i przepisów. Firmy mają wystarczająco dużo zgromadzonych na swoich kontach pieniędzy, z których powstałyby inwestycje nie mniejsze co do skali, jak z tzw. planu odbudowy dla Europy, pod warunkiem wprowadzenia gwarancji na całym obszarze państwa oraz dla wszystkich stabilnego prawa i podatków na minimum 15 lat. Pięć lat jest dobre dla spekulacji, a nie inwestycji.

Czy nie uważa pan, że Polski Ład przesycił już Polaków obietnicami?

Zależy od jakości obietnic. Nie zaproponowano dotąd Polakom uwolnienia pracy i przedsiębiorczości od fiskalizmu i biurokratycznej mitręgi oraz nie zaproponowano systemu naturalnego tworzenia bogactwa pochodzącego z naszej pracy. Rząd nie może fizycznie dać nam więcej ponad to, co sami możemy sobie dać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

Pracownicy pilnie poszukiwani

Jacek Przybylski

Niskie bezrobocie w połączeniu z rosnącą liczbą nowych miejsc pracy sprawia, że w wielu krajach świata z przytupem powrócił rynek pracownika, a zwłaszcza rynek specjalisty. W Polsce płace rosną w ogromnym tempie. W Ameryce mówi się zaś o modzie masowego porzucania dotychczasowych pracodawców

FOT. ADOBE STOCK

Według danych Eurostatu bezrobocie w Polsce od kilku miesięcy utrzymuje się na poziomie nieco ponad 3 proc., co jest najlepszym wynikiem w Unii Europejskiej. Nieźle wyglądają też dane według Głównego Urzędu Statystycznego. Na początku czerwca Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii informowało, że stopa bezrobocia w maju wyniosła 6,1 proc.

BRAKUJE NIE TYLKO SPECJALISTÓW

W urzędach pracy mnóstwo jest ogłoszeń z różnych branż i profesji, choć pomijając oferty dla specjalistów, wynagrodzenie brutto często oscyluje wokół najniższej krajowej, czyli 2,8 tys. zł brutto. Jak pod koniec czerwca wskazali eksperci Biura Inwestycji i Cykli Ekonomicznych, liczba ofert pracy skierowanych do urzędów pracy wzrosła w ujęciu miesięcznym o nieco ponad 11 tys. Portal PulsHR.pl zauważył z kolei, że tylko w kwietniu w „polskim Internecie" opublikowano prawie 300 tys. ofert pracy – to o 15 tys. więcej niż miesiąc wcześniej i ponad 65 tys. więcej niż w marcu 2020 r. Według ekspertów The Adecco Group jeszcze w tym roku bezrobocie w Polsce może więc spaść poniżej 6 proc.

Znaczący sezonowy wysyp ofert pracy widać zwłaszcza w takich sektorach jak gastronomia czy turystyka. Z dużymi problemami ze znalezieniem kadry borykają się też firmy szukające np. inżynierów, informatyków, elektryków, elektrotechników czy automatyków. Specjalistów z tych zawodów brakuje w całej Polsce. Dobrze wygląda też sytuacja pracowników budownictwa czy IT.

– Od początku czerwca widzimy nagły wystrzał ofert pracy. Nawet w branży gastronomicznej, która mocno ucierpiała podczas pandemii, obserwujemy trudności ze znalezieniem pracowników. Znacząco rośnie liczba pracodawców, którzy deklarują, że zamierzają zwiększyć zatrudnienie w drugiej połowie obecnego roku. Jest to już 29 proc. firm. Wielu menedżerów spodziewa się również, że aby znaleźć odpowiednie osoby, będzie musiało podwyższać wynagrodzenia. Co piąty pracodawca prognozuje już wzrost wynagrodzeń, choć deklaracje te są raczej wstrzemięźliwe, większość ankietowanych deklaruje wzrost płac od 2 do 7 proc. – mówi „Do Rzeczy" Mateusz Żydek, rzecznik prasowy Randstad Polska.

Są jednak takie regiony, jak choćby Wielkopolska, gdzie bezrobocie wynosi zaledwie 1,8 proc., co jest najniższym poziomem w Unii Europejskiej i jednym z najniższych na całym świecie – gdzie firmom przemysłowym, logistycznym brakuje nawet pracowników z podstawowymi kwalifikacjami. – W takich regionach niektóre firmy wymagają od potencjalnych kandydatów tylko jednego: chęci do pracy – zauważa rzecznik Randstad Polska.

W regionach o najniższym bezrobociu wielu pracodawców zdało sobie sprawę, że jeśli chcą rzeczywiście kogoś zatrudnić, to muszą podwyższyć wynagrodzenie. W maju wartość przeciętnego wynagrodzenia w przedsiębiorstwach wzrosła aż o 10,1 proc. w porównaniu z zeszłym rokiem i wyniosła – według oficjalnych danych GUS – aż 5637,34 zł brutto. „Na rękę" to 4062,67 zł, czyli o ok. 500 zł więcej niż przed rokiem.

Tak duży wzrost wynagrodzeń imponuje, tym bardziej

eprasa.pl a60f4d831b

że rok wcześniej w wyniku pandemii COVID-19 tempo wzrostu wynosiło zaledwie 1,2 proc. – W czerwcu dynamika wynagrodzeń pozostanie na poziomie ok. 10 proc. Jest to pochodna odbicia po COVID-19, ale też rosnącego tempa wzrostu gospodarczego, które jest prognozowane zarówno na ten rok, jak i na kolejny. Firmy po chwilowym zastoju i niepewności zaczynają działać z większym impetem, co przekłada się na tempo wzrostu płac. W tym roku dynamika wynagrodzeń utrzyma się na poziomie ok. 8–9 proc. rok do roku – mówi Krzysztof Inglot, prezes zarządu firmy Personnel Service, specjalizującej się w rekrutacji pracowników dla polskich przedsiębiorstw.

Oczywiście tak duża dynamika wynika w dużej mierze z tzw. efektu niskiej bazy – rok temu pracodawcy w strachu przed pandemią nie byli tak skorzy do podwyżek, a zdarzały się też niechlubne przypadki obniżek wynagrodzenia. Eksperci nie mają wątpliwości co do mocnych fundamentów polskiego rynku pracy.

– Branże, które najmocniej ucierpiały w czasie pandemii, wstają teraz z kolan. Są mocno zapożyczone, bo zmagały się z ogromnymi kosztami, które musiały ponosić nawet wtedy, gdy nie mogły funkcjonować. Dlatego nie jest to moment, w którym mogą w znaczący sposób podnieść wynagrodzenia. Oczywiście pracownicy mogą liczyć na wyższe pensje niż w 2019 r., ale nie będą to podwyżki przewyższające aktualny wzrost płac, choć tego mogliby oczekiwać pracownicy w związku z dostrzegalnym deficytem kadrowym – mówi Krzysztof Inglot.

Prognozy ekspertów potwierdzają różne wskaźniki – jak choćby Wskaźnik Rynku Pracy (WRP). Według Biura Inwestycji i Cykli Ekonomicznych WRP obniżył się w czerwcu wobec maja o ok. 0,6 pkt, co wskazuje, że poziom zatrudnienia w tym roku powinien utrzymywać się na stabilnym poziomie.

– Czynnikiem, który mógłby odwrócić trend wzrostowy zatrudnienia, jest powrót obostrzeń. Na ten moment prognozy mówią jednak, że tej jesieni powrotna fala pandemii nie zamrozi aktywności gospodarczej w takim stopniu jak wcześniejsze lockdowny. To pozwala spodziewać się wzrostu zatrudnienia rzędu ok. 0,3 proc. rok do roku. Z kolei w 2022 r. ten wzrost powinien być jeszcze mocniejszy i wynieść blisko 0,6 proc. – mówi Krzysztof Inglot.

Mateusz Żydek z Randstad Polska zauważa zaś, że choć nie wiadomo, jak rynek pracy zmieni czwarta fala pandemii, to już wcześniejsze lockdowny pokazały, że są takie sektory w Polsce, jak choćby sektor przemysłowy, które nawet podczas epidemiologicznych ograniczeń funkcjonują w sposób niemal niezakłócony i cały czas szukają pracowników.

„ZARAŹLIWE ODCHODZENIE"

Ogromne problemy ze znalezieniem pracowników mają również m.in. stocznie, fabryki, firmy budowlane czy zakłady przemysłowe w takich krajach jak Stany Zjednoczone, Wielka Brytania czy Niemcy. Szacuje się, że tylko u naszego zachodniego sąsiada brakuje niemal 300 tys. wykwalifikowanych pracowników – od kucharzy i pielęgniarek do rzemieślników i inżynierów.

Coraz bardziej desperackie poszukiwanie pracowników może wpływać nie tylko na podwyżki płac, lecz także na dodatkowe benefity, którymi pracodawcy będą chcieli skusić potencjalnych kandydatów – od lepszej opieki medycznej poprzez karnety sportowe, dofinansowania do pożywienia, owocowych poniedziałków, lodów w upały etc.

O tym, jak silny jest rynek pracownika, świadczyć może to, że w USA nastała wręcz moda na rzucanie dotychczasowego zatrudnienia. Tylko w kwietniu papierami rzuciło w Ameryce 4 mln zatrudnionych, najwięcej w ciągu ostatnich dwóch dekad. Trend ten jest tak mocno zauważalny, że cytowana przez portal Business Insider ekspertka pracy Shana Lebowitz ostrzega pracowników, aby wystrzegali się „zaraźliwego odchodzenia" tylko dlatego, że inni też tak robią.

– Poziom rotacji również w Polsce jest wysoki. Główną przyczyną od miesięcy jest zmiana poziomu wynagrodzenia. Pojawiają się też takie czynniki jak rozwój zawodowy i stabilność zatrudnienia. Pracownicy coraz bardziej świadomie szukają lepszych warunków nie tylko ze względu na płace – zauważył w rozmowie z „Do Rzeczy" rzecznik prasowy Randstad Polska.

– Taki trend w Polsce może trwać pół roku, rok. Jeśli nie pojawią się pracownicy z zagranicy, nie tylko z Ukrainy, lecz także z Hiszpanii czy z Portugalii, którzy będą mogli wypełnić lukę na rynku pracy, to pracodawcy mogą niechętnie otwierać procesy rekrutacyjne. Wstępnym beneficjentem takiej sytuacji mogą być takie regiony jak Lubelszczyzna czy Podlasie, gdzie bezrobocie na razie jest nieco wyższe, a jeśli to nie pomoże, to firmy zagraniczne mogą szukać możliwości przeniesienia się poza Polskę – zauważa Mateusz Żydek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PIERWSZY TOM „DZIEŁ ZEBRANYCH"
PROF. FELIKSA KONECZNEGO

„Głębia myśli Feliksa Konecznego, niepospolita i wszechstronna erudycja, a przede wszystkim miłość prawdy i zdolność jej prezentacji i obrony, sprawiają, że jest On szczególnie potrzebny dziś, w czasach, w których do mediów, edukacji i wychowania przenika relatywizm i agnostycyzm zabijający duchowe życie tak samych osób jak i społeczeństw".

dr hab. Przemysław Czarnek
Minister Edukacji i Nauki

WYDAWNICTWO MILES
WWW.WYDAWNICTWOMILES.PL
tel. 535 583 309

eprasa.pl a60f4d831b

Węglowy Zielony Ład

Andrzej Solecki

Aby uzyskać produkcję roczną 28 TWh, porównywalną z Elektrownią Bełchatów, farma fotowoltaiczna powinna mieć powierzchnię ok. 15 tys. ha

Podstawowym problemem związanym z energetyką solarną i wiatrową jest jej słaba dyspozycyjność. Problemy szwedzkiej energetyki, która po wyłączeniu reaktorów R1 i R2 elektrowni jądrowej w Ringhals musiała awaryjnie kupować „brudną" polską energię z węgla, są tego najlepszym przykładem. Szwecja, która ma nadwyżkę energii latem, w przypadku mroźnej zimy skazana jest na import. Zima z krótkimi dniami, ze śniegiem i z szadzią osadzającą się na panelach fotowoltaicznych to koszmarny sen proekologicznych energetyków, zwłaszcza gdy dojdzie do tego bezwietrzna pogoda wstrzymująca prace turbin wiatrowych.

Tymczasem elektrownie węglowe i jądrowe mogą pracować prawie bez przerwy. Uwzględniając niezbędne remonty, można przyjąć, że przez ok. 90 proc. czasu są one gotowe do produkcji, a remonty można planować na sezon najmniejszego zapotrzebowania. Spadek współczynnika wykorzystania mocy zainstalowanej poniżej 90 proc. wynika z powodu okresowego braku zapotrzebowania ze strony odbiorcy. W przypadku największej w Europie Elektrowni Bełchatów o mocy zainstalowanej 5 GW i rocznej produkcji rzędu 28 TWh współczynnik wykorzystania mocy wynosi ok. 64 proc.

PROBLEMY Z MOCĄ

Turbiny wiatrowe i panele fotowoltaiczne wymagają korzystnych warunków meteorologicznych (wiatr, słońce). Na podstawie danych niemieckiego Federalnego Ministerstwa Gospodarki i Energii z roku 2020 można obliczyć, że w roku 2019 współczynnik wykorzystania mocy zainstalowanej w niemieckich elektrowniach wiatrowych lądowych wynosił niespełna 22 proc., w morskich nieznacznie przekroczył 37 proc., a w instalacjach fotowoltaicznych wynosił ok. 11 proc.

Znając dominujące w EU nastawienie do emisji dwutlenku węgla i dążenie do maksymalnego wykorzystania OZE, można podejrzewać, że niska wartość współczynnika wykorzystania mocy zainstalowanej w elektrowniach wiatrowych i solarnych wynika wyłącznie z braku gotowości do produkcji na skutek niesprzyjających warunków meteorologicznych, a nie z braku odbioru ze strony operatora elektroenergetycznego systemu przesyłowego. W przypadku elektrowni węglowych można podejrzewać, że w razie spadku zapotrzebowania ich produkcja jest ograniczana w pierwszej kolejności, co powoduje zaniżanie współczynnika wykorzystania mocy zainstalowanej.

Niski współczynnik wykorzystania mocy zainstalowanej powoduje, że w przypadku turbin wiatrowych i paneli fotowoltaicznych, aby osiągnąć porównywalną produkcję do elektrowni węglowych i jądrowych, muszą mieć one zainstalowaną wielokrotnie większą moc. W dodatku w celu zapewnienia ciągłości dostaw muszą być wspomagane przez bardziej stabilne źródła energii lub instalacje magazynujące. Źródła dublujące muszą mieć możliwość szybkiego

eprasa.pl a60f4d831b

FOT. ADOBE STOCK

uruchamiania generatorów i tu najlepsze są elektrownie wodne i turbiny gazowe.

DROGIE W PRODUKCJI

Poważnym problemem jest finansowy i ekologiczny koszt budowy turbin wiatrowych i paneli fotowoltaicznych. Magnesy stałe, neodymowo-żelazowo-borowe (NdFeB), stanowią kluczowy element turbin wiatrowych, ponieważ mogą radykalnie zmniejszyć rozmiar i wagę generatora. Pozyskiwanie neodymu pociąga za sobą poważne koszty ekologiczne, w tym skażenie promieniotwórcze.

80 proc. masy elektrowni wiatrowej stanowi stal. Według danych Joint Research Centre (JRC) Komisji Europejskiej zapotrzebowanie na żelazo dochodzi do 132 tys. ton stali i 20,8 tys. ton żeliwa na 1 gigawat mocy zainstalowanej.

Zdaniem Matta Ridleya z brytyjskiego „Spectatora" przyjmującego uzysk jednego megawata z akra (ok. 20 ha), gdyby turbiny wiatrowe miały zabezpieczać tylko dwuprocentowy roczny wzrost zapotrzebowania światowego na energię, to po 50 latach pokryłyby obszar wielkości Rosji.

Biorąc pod uwagę współczynnik wykorzystania mocy rzędu 37 proc., budowa porównywalnej do Elektrowni Bełchatów instalacji wiatrowej o produkcji rzędu 28 TWh wymaga ok. 1,3 mln ton żelaza.

Farmy fotowoltaiczne to rozległe konstrukcje, gdyż do powierzchni Ziemi dociera ok. 1 kW/mkw. energii słonecznej. Biorąc pod uwagę 20-procentową sprawność i 11-procentowy współczynnik wykorzystania mocy, jeden hektar jest w stanie dostarczyć w ciągu roku 0,00193 TWh. Aby uzyskać produkcję roczną 28 TWh, porównywalną z Elektrownią Bełchatów, farma fotowoltaiczna powinna mieć powierzchnię rzędu 15 tys. ha.

Według danych Joint Research Centre (JRC) Komisji Europejskiej zapotrzebowanie na stal w przypadku farm fotowoltaicznych wynosi prawie 70 ton na 1 megawat mocy zainstalowanej. Biorąc pod uwagę niski współczynnik wykorzystania mocy, instalacja fotowoltaiczna porównywalna z Elektrownią Bełchatów wymagałaby 1,9 mln ton stali.

Nawet gdyby zbudowano tak rozległą farmę, pozostaje problem magazynowania energii na okres niesprzyjających warunków meteorologicznych. Magazynowanie dużych ilości energii w różnego rodzaju bateriach (akumulatorach) wymaga nie tylko stali, lecz także ogromnych ilości kobaltu, litu, grafitu i manganu. Ich wydobycie prowadzi do znaczącej dewastacji środowiska.

STAL I WĘGIEL

W związku z koniecznością użycia stali, pojawia się zapotrzebowanie na węgiel koksujący. Węgiel w procesie hutniczym jest nie tylko paliwem, lecz także źródłem tlenku węgla (CO), który odbiera tlen z tlenków żelaza obecnych w rudzie, przekształcając się w dwutlenek węgla (CO_2). We współczesnych hutach stosuje się koks uzyskiwany z węgla koksującego. Dla wyprodukowania tony żelaza potrzeba ok. 0,7 tony węgla koksującego.

W chwili obecnej do produkcji stali węgiel koksujący pozostaje niezastąpionym surowcem. Według danych Międzynarodowej Agencji Energetycznej w roku 2019 jego światowe zużycie wzrosło o 3,2 proc. do poziomu 1,080 mld ton. W Unii Europejskiej wynosiło ono 59 mln ton. Jeszcze w 2017 r. węgiel koksujący znalazł się na liście surowców krytycznych Unii Europejskiej, niezbędnych między innymi do wprowadzenia Zielonego Ładu.

Biorąc pod uwagę przytoczone uprzednio zapotrzebowanie na stal, budowa elektrowni wiatrowej o produkcji porównywalnej z Elektrownią Bełchatów wymaga ok. 0,93 mln ton węgla koksującego. Budowa analogicznej farmy fotowoltaicznej wymaga 1,38 mln ton tegoż węgla.

W 2019 r. współczynnik wykorzystania mocy zainstalowanej w niemieckich instalacjach fotowoltaicznych wynosił ok. 11 proc.

Trzeba przyznać, że według danych z roku 2015 opublikowanych w „Proceedings of the National Academy of Sciences of the United States of America" zapotrzebowanie na węgiel koksujący, niezbędny do wyprodukowania stali dla zbudowania elektrowni o produkcji równoważnej Elektrowni Bełchatów, może być trzykrotnie mniejsze. Dane tego zespołu pozwalają oszacować zapotrzebowanie także dla budowy elektrowni węglowej takiej jak Bełchatów i jest ono kilkanaście razy mniejsze niż dla elektrowni wiatrowych i fotowoltaicznych.

Na liście surowców krytycznych z roku 2017 Polska została wymieniona jako kraj dostarczający 1 proc. węgla koksującego. W roku 2020 udział Polski zwiększył się do 23 proc. W związku z zamykaniem czeskich kopalń, dostarczających dotychczas na rynek europejski 8 proc. węgla koksującego, można liczyć na wzrost zapotrzebowania na dostawy z Polski do poziomu 31 proc., czyli 18 mln ton, co stanowi jedną trzecią polskiego wydobycia wszystkich rodzajów węgla kamiennego.

W Polsce 28,51 proc. zasobów węgla kamiennego to węgle koksujące. Najlepsze występują w zagłębiach Górnośląskim i Dolnośląskim, nieco gorsze w Zagłębiu Lubelskim. Ponieważ węgle energetyczne występują często w obrębie tej samej kopalni, oczywiste jest, że przy eksploatacji węgli koksujących uzasadnione będzie pozyskiwanie także węgli energetycznych, dostępnych w ramach istniejącej infrastruktury. Stwarza to dobre perspektywy zarówno dla Jastrzębskiej Spółki Węglowej, dotychczasowego monopolisty na polskim rynku, jak i dla jej australijskiej konkurencji, planującej rozpoczęcie eksploatacji w zagłębiach Lubelskim i Dolnośląskim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Prof. dr hab. Andrzej T. Solecki jest kierownikiem Zakładu Gospodarki Surowcami Mineralnymi w Instytucie Nauk Geologicznych na Uniwersytecie Wrocławskim.

eprasa.pl a60f4d831b

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Apel do ministra zdrowia

Apeluję do ministra zdrowia: jeśli raport, to tylko pełen, a nigdy wybiórczy – wyłącznie o COVID-19. A zatem albo codziennie pełen raport o wszystkich zakażeniach i zachorowaniach w Polsce, o wszystkich powodach wszystkich przyjęć do szpitali i wszystkich zgonów, albo… Może lepiej… Żaden? W każdym razie dalsze publikowanie raportu wyłącznie o COVID-19 jest wyjściem najgorszym z możliwych.

Jeśli bowiem naprawdę chcemy codziennie bombardować się (znam takich, którzy żyć bez tego nie mogą!) doniesieniami o tym, u iluż to ludzi poprzedniego dnia stwierdzono zakażenie SARS-CoV-2, ilu z nich z tego powodu trafiło do szpitali, a ilu – pod respirator, wreszcie – ilu zmarło na COVID-19 lub w związku z nim na chorobę/choroby towarzyszące, to – by zachować elementarną uczciwość wobec obywateli (urzędnicy państwowi), wyborców (politycy) oraz czytelników, widzów i słuchaczy (dziennikarze) – każdego dnia podawajmy nie wyrywkowe, sensacyjnie przykrojone dane – lecz dane pełne.

Czyli – jeśli naprawdę tak bardzo potrzebujemy tej wiedzy – podawajmy każdego dnia pełen raport o tym, u ilu obywateli Polski stwierdzono jakiekolwiek zakażenia – z podziałem na wszystkie wykryte przypadki wszystkich wykrytych zakażeń (w tym grypy), pełen raport o tym, ilu Polaków trafiło tego dnia do szpitali i w związku z jakimi chorobami oraz ilu tego dnia zmarło – i z powodu jakiej choroby lub w związku z jaką chorobą/chorobami.

Oczywiście media – redakcje portali, dzienników, tygodników oraz serwisów radiowych i telewizyjnych, dziennikarze, publicyści i komentatorzy – jeśli zechcą, to nadal będą publikować dane wybiórcze – że COVID-19 to i COVID-19 tamto, a o innych mniej czy bardziej zabójczych chorobach będą milczeć, żeby nie psuć katastroficznej atmosfery. Podobnie mogą się zachowywać – czyli przekazywać dane wybiórczo – także politycy i ludzie innych profesji obecni w sferze publicznej.

Wszelako polskie Ministerstwo Zdrowia w żadnym przypadku nie powinno brać udziału w tym procederze. Procederze budowania atmosfery wszechogarniającego strachu i ustawicznego nakręcania spirali paniki. Ministerstwo Zdrowia – w trosce o zdrowie fizyczne i psychiczne Polaków – powinno codziennie publikować wyłącznie pełne dane, z podziałem na wszystkie rodzaje wykrytych tego dnia zakażeń i chorób, z podziałem na wszystkie choroby, które sprawiły, że ludzie trafili do szpitali, a także wszystkie choroby, które tego dnia doprowadziły do zgonów. I oczywiście jedną z tych pozycji – ale też tylko jedną z nich – byłby COVID-19.

Najlepiej jednak byłoby w ogóle zrezygnować z obecnego sposobu postępowania z COVID-19 i pójść drogą Singapuru, który chce żyć z nim jak z grypą – bez testów, kwarantanny i oczywiście bez codziennej statystyki. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Muzyka lepsza niż szczepionka

Kołu Konfederacji udało się zebrać brakujące cztery podpisy i projekt ustawy „Stop segregacji sanitarnej" został wniesiony do Sejmu. Stało się to mniej więcej w tym samym czasie, gdy rząd ogłosił kolejną nowelizację rozporządzenia covidowego z 6 maja. Rozporządzenie powinno zresztą już dawno mieć nową jednolitą wersję, bo po jak zwykle licznych zmianach stało się kompletnie nieczytelne. Ale do dramatycznej jakości legislacji, szczególnie covidowej, powinniśmy już przywyknąć.

W cudowny sposób wolni od zarazy nawet przy braku szczepień i testów są uczestnicy festiwali muzycznych

Zgodnie z nowymi zasadami dokonano segregacji podróżujących. Kto nie jest zaszczepiony albo nie ma odpowiedniego testu – ten musi trafić na 10-dniową kwarantannę. Tymi samymi regułami objęto dzieci powyżej 12. roku życia, co oznacza, że jeżeli nawet oboje rodzice są zaszczepieni, ale nie jest zaszczepione dziecko, choćby 13-letnie, ryzykują, że w środku wakacji zostanie ono zamknięte w czterech ścianach na ponad tydzień. Rząd objął tymi regułami wszystkie powroty z zagranicy – niezależnie od tego, czy było się tam dwa tygodnie czy dwie godziny, oraz niezależnie od tego, z jakiego kraju się wraca. Dotyczy to wszystkich państw Schengen, o tych spoza strefy nie mówiąc. Można założyć, że sporej grupie ludzi właśnie zrujnowano wakacje.

Jest jednak jeden wyjątek: w cudowny sposób wolni od zarazy nawet przy braku szczepień i testów są uczestnicy festiwali muzycznych, jurorzy tychże oraz akredytowani dziennikarze. Jako wielbiciel muzyki dawnej wiem, że ma ona niezwykłą moc. Ale żeby aż taką?

Skąd ten podział na równych i równiejszych, przypominający manipulacje rozporządzeniem z końca ubiegłego roku, gdy trzeba było je napisać specjalnie pod sylwestra TVP? Oto 12 lipca rozpoczynają się eliminacje do XVIII Konkursu Chopinowskiego. I to jest odpowiedź. Do Polski przyjedzie 160 pianistów, nie licząc jurorów i dziennikarzy. Ich uznano za VIP-ów, od których certyfikatów covidowych wymagać nie trzeba.

Ale są też pozytywne sygnały. Sieć kin Helios podzieliła się w mediach społecznościowych swoją traumą w związku z nieprzyjemnościami, jakie spadły na nią za wydawanie biletów dla zaszczepionych, i z pomysłu się wycofała. Przypomnę, że władza uparcie unika rozwiązania problemów prawnych, które wiążą się z gromadzeniem takich poufnych informacji. Zaś funduszu kompensacyjnego jak nie było, tak nie ma. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI MARSHALL MAJOR IV

Brzmienie dostrojone specjalnie dla miłośników muzyki z mocnymi basami i wyraźnymi wysokimi tonami, wytrzymała bateria, niewielka waga, świetna jakość rozmów przez wbudowany mikrofon oraz ergonomiczny design z rockowym charakterem – to główne zalety bezprzewodowych słuchawek nausznych firmy Marshall, znanego producenta wzmacniaczy i kolumn gitarowych.

Słuchawki Major IV to model kompaktowy, lekki (165 g), porządnie wykonany i wygodny w użytkowaniu nawet przez okularników. Trzeba jednak pamiętać, że siła docisku jest w tym modelu całkiem spora, więc po kilku godzinach pracy słuchawki mogą zacząć uwierać.

Niewielkie rozmiary sprawiają, że testowany model bez trudu zmieści się w plecaku czy damskiej torebce. Ze źródłem dźwięku słuchawki można połączyć bezprzewodowo (zasięg za pośrednictwem modułu Bluetooth 5.0 wynosi ok. 10 m), a także przewodowo do złącza słuchawkowego 3,5 mm. Do sterowania służy niewielki, złotawy joystick umieszczony z prawej strony. I trzeba przyznać, że jest to bardzo intuicyjne rozwiązanie.

Najważniejsze w wypadku tego typu produktów jest oczywiście brzmienie. Marshall Major IV brzmią dynamicznie i dobrze, zwłaszcza w przypadku utworów rockowych. Podbity bas jest głęboki i nie jest zniekształcony, a jednocześnie bardzo wyraźnie słychać też wysokie tony. W tych słuchawkach przyjemnie słucha się gitarowych solówek i wokalnych popisów artystów, które Major IV odtwarzają z dużą dbałością o szczegóły.

Brzmienie jest jednak typowo rozrywkowe, przez co nie jest to model dla tych, którzy szukają neutralnych słuchawek, wiernie odwzorowujących zamierzenia twórców. Wielu miłośników rocka i popu powinno być jednak z Major IV bardzo zadowolonych. Na pochwałę zasługuje również jakość rozmów prowadzonych przez wbudowany mikrofon.

Ogromną zaletą testowanych słuchawek jest akumulator, który na jednym ładowaniu pozwala na ponad 80 godzin pracy. To naprawdę imponujący wynik. Model Major IV można ładować przewodowo za pomoca kabla z wejściem na USB-C lub bezprzewodowo. Czas ładowania wynosi ponad trzy godziny.

Wady? Przede wszystkim brzmienie ustalone przez producenta jest stałe i nie ma możliwości skorygowania go za pomocą bezpłatnej aplikacji, bo takiej producent po prostu nie stworzył. Jeśli więc ktoś szuka bardziej neutralnego brzmienia, to ten model nie jest dla niego. Brakuje obsługi kodeka aptX (obsługiwane kodeki to SBC i AAC), a także możliwości parowania z kilkoma urządzeniami jednocześnie. W średniej półce cenowej przydałoby się już także jakieś etui w zestawie.

Na szczęście zalety rekompensują wskazane minusy, więc jeśli ktoś szuka słuchawek w rozsądnej cenie, to ten model warto wpisać na listę urządzeń do przetestowania przed zakupem. Za Major IV trzeba zapłacić 529 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SMARTFON DLA FOTOGRAFÓW

Leitz Phone 1 – tak nazywa się pierwszy model smartfona stworzony przez legendarną firmę Leica. Na pierwszy rzut oka wyróżnia się choćby osłonką na umieszczony z tyłu obudowy obiektyw. Leitz Phone 1 ma 20,2-megapikselowy aparat z matrycą o wielkości aż jednego cala i obiektywem o jasności f/1.9. Dzięki temu można nim robić zdjęcia z niewielką ilością szumów czy z naturalnie rozmytym tłem. W zestawie znajdują się też monochromatyczne filtry. Sam smartfon wyposażony jest w 6,6-calowy wyświetlacz OLED 240 Hz o rozdzielczości 2730 x 1260, potężny procesor Snapdragon 888, 12 GB pamięci RAM, łączność 5G i wi-fi 6, baterię o pojemności 5 tys. mAh. Całość zamknięta jest w wodoszczelnej obudowie. Nowy model na razie dostępny jest tylko w Japonii i kosztuje równowartość 6,4 tys. zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MEBLE STEREO

Ikea i Sonos już w 2019 r. wprowadzili na rynek pierwsze wspólnie opracowane produkty z serii Symfonisk: lampkę stołową z głośnikiem wi-fi oraz głośnik, który można ustawić pionowo lub zamontować poziomo jako półkę. W czerwcu IKEA i Sonos zaprezentowali głośnik wi-fi, który wygląda jak obraz. Ramkę o wymiarach 55 x 40 x 5 cm można powiesić na ścianie lub postawić na podłodze. Nowe urządzenie jest kompatybilne z wcześniejszymi modelami, a można je połączyć z lampką z głośnikiem lub grającą półką. Trzeba jednak pamiętać, że jedynym źródłem danych urządzeń z tej serii jest sieć wi-fi. Nie ma w nich wejścia AUX czy łączności przez Bluetooth. Poprzez aplikację firmy Sonos można jednak słuchać na nich serwisów streamingowych. Premierę nowego gadżetu zapowiedziano na 15 lipca. Cena w USA wynosić będzie 199 dol., czyli ok. 750 zł. Nie wiadomo, ile trzeba będzie zapłacić za grającą ramkę w Polsce, ale zapewnie będzie to 900–1000 zł. ©℗

Jacek Przybylski

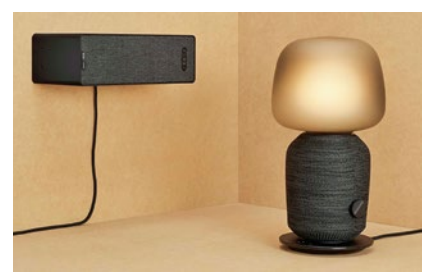

eprasa.pl a60f4d831b

Gniew

Jacek Komuda

Historyczne dzieje zamku w Gniewie i samego miasta są nie mniej burzliwe jak urządzane w nim rekonstrukcje. Wznoszony przez Krzyżaków od końca XIII w., prawie równocześnie z zamkiem w Malborku, długo opierał się polskim wojskom i nie zawsze dochowywał wierności Rzeczypospolitej

RYS. PEGAZ

Historia zamku w Gniewie na pomorskim Kociewiu jest jedną z najciekawszych wśród dziejów podobnych obiektów. Co więcej – dotyczy to również czasów nam współczesnych. Zamek bowiem, spalony w 1921 r., przebudowany potem przez Niemców na więzienie i częściowo zrujnowany w wyniku działań wojennych, odbudowany został własnymi rękami miejscowych wolontariuszy i bezrobotnych, a odbudowę tę organizował Jarosław Struczyński, wówczas dyrektor miejsko-gminnego ośrodka kultury, późniejszy kasztelan tegoż zamku, porucznik chorągwi husarskiej województwa pomorskiego, człowiek legenda o niezwykłych zasługach dla polskiego ruchu rekonstruktorskiego. Można by o jego działalności napisać osobny artykuł. W częściowo odbudowanym zamku organizował jedne z pierwszych w Polsce widowisk historycznych – średniowiecznych i związanych z Rzecząpospolitą szlachecką.

Od 2001 r. odbywała się tutaj impreza „Vivat Vasa!", odtwarzająca historyczne starcie pomiędzy dwoma Wazami – naszym Zygmuntem III, królem Polski, i jego kuzynem Gustawem Adolfem, zwanym później Lwem Północy, który ze szwedzką armią najechał w 1626 r. Pomorze. Zamek, świeżo po renowacji, miał niesamowity, historyczny klimat. Na trzy dni dosłownie przechodził we władanie rekonstruktorów, którzy zjeżdżali tam z całej Polski, razem z końmi, działami, namiotami i dziewkami, a co ważne: również z zapasami odpowiednich trunków.

WIDOKI DAWNYCH MISTRZÓW

W czasie „Vivat Vasa!" wszystko to wyglądało, jakby naprawdę wojsko obozowało w zamku zdobytym w czasie wojny trzydziestoletniej. Stare mury, poszczerbione i pełne dziur, przypominały te z obrazów holenderskich malarzy przedstawiających wojny i sceny z życia obozowego – np. Jana Steena czy Jan Vermeera. Na głównym dziedzińcu wybrukowanym kocimi łbami stały drewniane szopy i stoły, a z piwnic i wozów wytaczano beczki piwa i miodu, przy których hulała doborowa kompania kawalerów Fortuny. W kramach sprzedawano świece i bułki, w bramach stały konie uwiązane do pierścieni w murach, obok kręciły się psy i krążyli żebracy dopominający się o łyk piwa, kuglarze i połykacze ognia dawali przedstawienia. Klimat i widok były historyczne – pijatyki i gra w kości przy stołach, z kolei pojedynki staczano przy studni, nikt dziś nie pamięta, ile w niej utopiono rapierów i szabel. Obrazy tych dni były tak niepowtarzalne, że trudno dziś je zapomnieć, a najlepiej opisać i namalować, choćby piórem wyobraźni. Bywały tam zdarzenia godne opisu Jana Kochanowskiego i jego fraszki o doktorze Hiszpanie. Ot, wchodząc na górę do dormitorium (a spało się w wielkich salach, na piętrowych łóżkach), spotkałem kiedyś dwóch szlachciców niosących małego, ale zawziętego pludraka w kapelusiku z piórkiem i przy szpadzie. Nijak nie mogli zmieścić się w przejściu (bo i sami byli pod dobrą, wczorajszą datą, a schody na piętro wąskie). „Dla Boga, pomóż waść!" – zwrócili się do mnie. Pomogłem, obracając ich tak, by szli wzdłuż, a nie w poprzek schodów; to znaczy najpierw jeden pan brat, trzymający ramiona pludraka, potem ów gość zagraniczny, wreszcie drugi szlachcic, dźwigający go za nogi.

Innym razem krakowskie pospolite ruszenie złamało szyk bojowy Szwedów, atakując ich podstępną bronią. Pewien frant bowiem zakupił wiadro śledzi, którymi w czasie niedzielnej inscenizacji obrzucono

eprasa.pl a60f4d831b

husarii

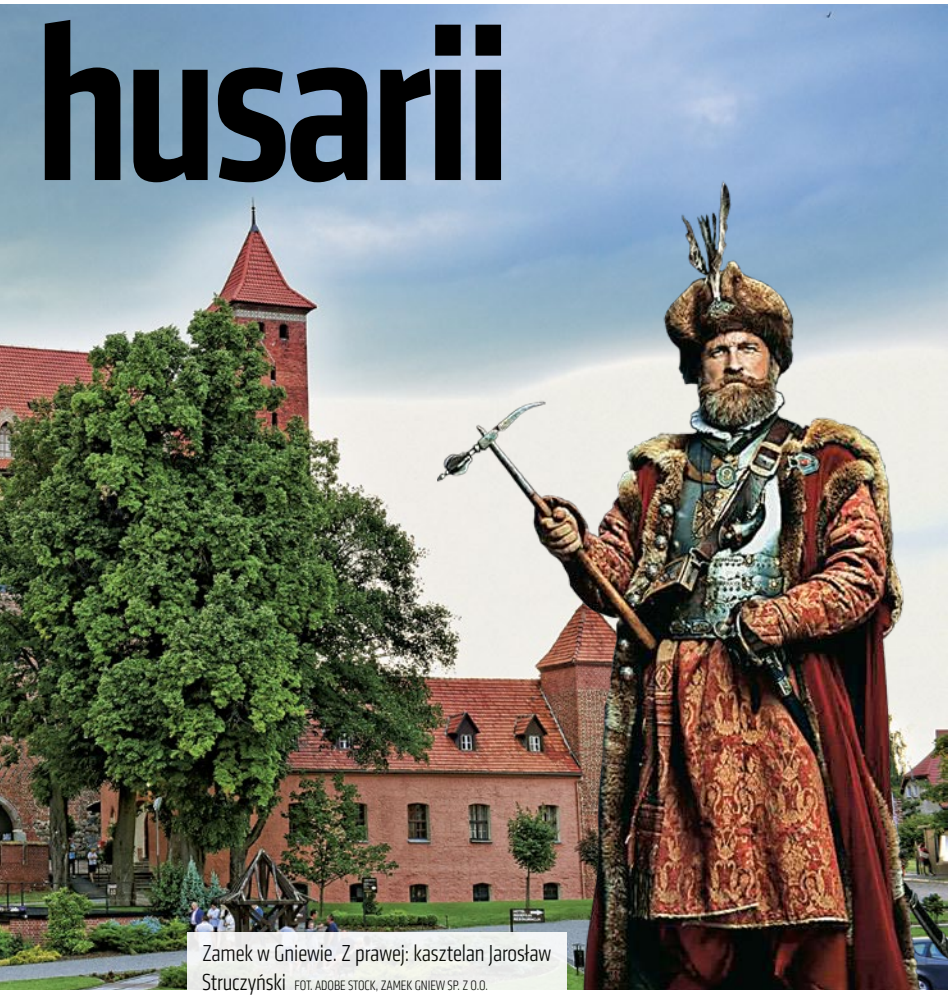

Zamek w Gniewie. Z prawej: kasztelan Jarosław Struczyński FOT. ADOBE STOCK, ZAMEK GNIEW SP. Z O.O.

szwedzkich pikinierów i muszkieterów. Na widok spadających z nieba ryb wybuchło wśród nich zamieszanie; ktoś nawet pomyślał, że przeciwnicy rzucają granatami. Tymczasem „śledziem" przezywano w dawnej Rzeczypospolitej Gustawa Adolfa i w ogóle Szwedów – być może po jakimś bliskim spotkaniu któregoś z Sarmatów z północnym przysmakiem, surströmmingiem, który opisywałem już w „Do Rzeczy" w felietonach poświęconych dawnej kuchni, czyli śmierdzącymi, kiszonymi śledziami.

TRUDNE DZIEJE GNIEWU

Historyczne dzieje zamku w Gniewie i samego miasta są nie mniej burzliwe jak urządzane w nim rekonstrukcje. Wznoszony przez Krzyżaków od końca XIII w., prawie równocześnie z zamkiem w Malborku, długo opierał się polskim wojskom i nie zawsze dochowywał wierności Rzeczypospolitej. W 1410 r. zrzucił jarzmo krzyżackie, jednak zakon łatwo go odzyskał. Tak samo w czasie wojny trzynastoletniej przystąpił wprawdzie do Związku Pruskiego, ale został zdobyty przez Krzyżaków jeszcze w 1454 r. i odtąd stał się ich bazą wypadową oraz jedną z kilku twierdz strzegących połączenia Prus z Rzeszą Niemiecką. W trakcie wojny mocno opierał się oddziałom króla Kazimierza Jagiellończyka. Zdobyto go po długotrwałym oblężeniu dopiero 1 stycznia 1464 r. Jak pisze Jan Długosz: „Mieszkańców wszystkich Polacy oszczędzili. Tylko burmistrz i jeden z rajców, którzy większą nad innymi okazywali przychylność Krzyżakom, z miasta zostali wypędzeni".

Kolejny raz Gniew znalazł się w samym środku działań wojennych w 1626 r., kiedy Gustaw Adolf wylądował z armią w Prusach, próbując zająć Gdańsk. Miasto, zamieszkane wówczas przez protestantów, przeszło na stronę najeźdźcy i stawiło opór wojskom Zygmunta III Wazy. 22 września doszło do bitwy pod Gniewem, która toczyła się na północ od zamku, na terenie pomiędzy urwiskami na północ od Ciepłego a Wisłą i Gronowem Polskim. Nazywana była ona przez historyków polskich starej daty, np. Jerzego Teodorczyka, „pierwszą porażką husarii", w której nasza skrzydlata jazda rzekomo została rozstrzelana przez zreformowaną piechotę szwedzką. Jednak dzisiejsze ustalenia, m.in. Radosława Sikory, każą temu przeczyć. Po prostu Gustaw Adolf, obawiając się jazdy, przyjął bitwę w miejscu nienadającym się do szarży – pomiędzy Wisłą a wysokim wałem przeciwpowodziowym, w terenie poprzecinanym rowami i dodatkowo umocnionym przez Szwedów. Sam zresztą byłem na koniu na polu tej bitwy i próbowałem wjechać na wał, przez który, według Teodorczyka, miała przebyć husaria, aby rozwinąć się do szarży na Szwedów. Chociaż w XVII w. był on znacznie niższy, to wciąż było to bardzo trudne zadanie dla lekkozbrojnego jeźdźca, a co dopiero husarza w zbroi z pięciometrową kopią w toku!

Właśnie o tej bitwie dwóch Wazów opowiada organizowana corocznie rekonstrukcja „Vivat Vasa!". Mało kto wie zapewne, że starcie o mały włos nie stało się punktem zwrotnym w historii tej części świata. W pewnej bowiem chwili Gustaw Adolf z częścią oddziałów został odcięty za wałem wiślanym od głównych sił i gdyby zginął lub dostał się do niewoli, dzieje Rzeczypospolitej i Szwecji zapewne potoczyłyby się inaczej.

Pod koniec XVII w. starostą na zamku gniewskim był Jan III Sobieski, który zbudował dla ukochanej Marysieńki na podzamczu barokowy pałacyk, istniejący do dziś. Już wtedy było to świadectwo, że stary, pokrzyżacki zamek słabo nadawał się do mieszkania. Kiedy w 1772 r. Gniew został zagarnięty przez Prusy, twierdzę zamieniono na spichlerz i częściowo przebudowano, zasypując fosy, niszcząc zewnętrzne mury i gdanisko. Dzisiejszy zamek w Gniewie niestety ma już mało wspólnego z budowlą sprzed 20 lat, goszczącą co roku zjazdy rekonstruktorów. W 2021 r. kupiła go firma Polmlek i zmieniła go na luksusowy hotel. Dawny dziedziniec wyłożony jest płytami, studnia zakryta szklanymi taflami, a nad wszystkim wznosi się podobny szklany dach, zamieniający wnętrze w ekskluzywną salę balową. Przy ścianach zamontowano schody i galerie, kompletnie zmieniając wizerunek tego miejsca. Dawnego widoku obozujących w starym zamku wojsk szwedzkich i polskich, ich zachowania i obyczajów nikt już dziś nie zobaczy, choć na podzamczu ciągle organizowane są turnieje rycerskie i imprezy. Pozostaje mi tylko opisać dawne czasy piórem pisarza w książce historycznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

Życie usłane ziołami

FOT. DOMINIKA KOSZOWSKA

Radosław Wojtas

Wykładowcy namawiali go, by został na uczelni. Rodzice, by po studiach w stolicy wrócił na Podlasie i wdział wygodny garnitur urzędnika. A on pokochał zioła, odkąd w dzieciństwie zbierał je z babcią. I na tej miłości zbudował dużą firmę, ale akurat pieniądze są w tej historii najmniej istotne…

Wiele się zmieniło w Korycinach, które Mirosław Angielczyk pamięta z dzieciństwa. Na przykład podejście ludzi do ziół. To prawda, że zioła wracają ostatnio do łask, że naparów, herbatek i innych produktów na ich bazie jest coraz więcej na półkach w marketach, ale kiedyś były niemal w każdym domu – przechowywane w kredensach, zawieszone na ścianach, suszone na poddaszach. – Nie do pomyślenie było – skoro wspominamy czasy mojego dzieciństwa, to musimy się cofnąć o jakieś 50 lat – by ktoś wracając z pracy przy sianie, przeszedł obok ziół i nie zabrał ich do domu. Nie uchodziło minąć dziurawca, krwawnika, kobylaka czy piołunu i się po niego nie schylić – wspomina Mirosław Angielczyk. – Podejście do ziół było inne niż do upraw. Zioła traktowano jako dar Boży, bo nie siało się ich ani nie wkładało pracy, by wzeszły, a ludzie z nich korzystali. Towarzyszyły człowiekowi od pierwszych dni życia, gdy noworodki kąpano w macierzance, aż do końca, gdy do trumny wkładało się wianuszek z koniczyny polnej albo kocanki, które wysuszone wyglądają prawie identycznie jak świeże, co miało symbolizować nieśmiertelność duszy – dodaje.

Zioła na przeziębienie, na pasożyty, zatrucia pokarmowe, na dolegliwości wątroby, na oparzenia, zioła dla ludzi i dla zwierząt. Zioła, gdy wzdęło krowę lub gdy prosięta dostały biegunki. A jeśli ziół brakło – sąsiad pożyczał od sąsiada. Nigdy nie zaczęto układać zboża w stodole, jeśli na spodzie nie położono snopów w kształt krzyża, a na nich poświęconego wianka ze sporyszu. Zioła wkładano pod pierwszą belkę nowego domu, okadzano nimi izby, wystawiano w oknach w czasie burzy (rozchodnik w oknie miał chronić dom przed uderzeniami pioruna). Jest i jeszcze jedna zmiana, która sporo mówi o nas samych. – Jeśli ktoś jeszcze zbiera dziś zioła, to idzie do lasu sam. Czasami ludzie wręcz ukrywają, dokąd chodzą, trzymają swoje miejsca dla siebie w nadziei, że więcej zarobią. A kiedyś zbierało się grupowo. Do dziś mam w pamięci obrazy tych wypraw, które były prawdziwymi rytuałami – mówi Mirosław Angielczyk.

To właśnie od takich wypraw wszystko się zaczęło…

Z BABCIĄ DO LASU

Mirosław Angielczyk pokochał zioła, odkąd babcia zabrała go po raz pierwszy do lasu. Miał wtedy siedem, może osiem lat i w odróżnieniu od innych chłopców w jego wieku dostrzegł w atmosferze wypraw po zioła i w samych ziołach coś, co pokochał od razu i na zawsze. Kiedy miał lat 12, babcia uznała, że to już czas, by jej wnuk samodzielnie sprzedał swój dzienny urobek. Chłopiec wsiadł do autobusu z dwoma workami wypełnionymi pięciornikiem kurzym zielem i pojechał do oddalonego o 20 km Herbapolu. Pieniędzy starczyło na aparat Smiena i dwie książki. O ziołach. – To musiało być dla mnie dużym przeżyciem, skoro po tylu latach tak dobrze pamiętam pierwszą sprzedaż. Widocznie babcia uznała, że jeśli będę mógł sam sprzedać zioła i dowolnie wydać pieniądze, to jeszcze bardziej mnie to zmotywuje do zbierania. No i tak się stało – mówi Mirosław Angielczyk.

Lepiej pieniędzy z ziół zainwestować nie mógł. Stosy książek przyrodniczych rosły i gdyby nie one, pewnie uczeń prowincjonalnego technikum rolniczego miałby niewielkie szanse na studia w dużym ośrodku, ale wygrana olimpiada przyrodnicza pozwoliła zdobyć indeks bez egzaminów wstępnych. Wybrał Warszawę, do której dojeżdżał pekaesem. Czas wolny uwielbiał spędzać w sklepach z ziołami, poznał właścicieli kilku takich biznesów, zaczął rozeznawać warszawski rynek.

Zrobił doktorat, podziękował za propozycje obrania akademickiej ścieżki kariery, nie był zainteresowany także oferowanymi mu kierowniczymi stanowiskami w spółdzielniach rolniczych i dużych gospodarstwach. Wrócił do Korycin, do ziół.

Na początku zbierał sam i woził do Warszawy tak, jak przez lata jeździł na studia – pekaesem. Szybko okazało się, że dwie torby i plecak to za mało, przesiadł się w malucha żony, z którego

eprasa.pl a60f4d831b

wymontował tylne siedzenia. Zamówień było coraz więcej, kursy do stolicy coraz częstsze, młody doktor po Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego zaczął sięgać po pomoc innych zbieraczy, a jego tato – gdy zobaczył, że interes idzie coraz lepiej – przestał namawiać swojego syna, by został urzędnikiem, i zaoferował pomoc w wybudowaniu pierwszego magazynu. Mama radziła, by postawić go tuż za stodołą, ale panu Mirosławowi przyśniło się, że magazyn powstał dalej, pod lasem. Wkrótce sen się ziścił.

CHATY Z DUSZĄ

Dziś w tej hali jest zakład produkcyjny firmy Dary Natury sprzedającej zioła i wytwarzającej przeróżne produkty na ich bazie. Ale wokół tego biznesu wyrosły kolejne. Otwarty w 2011 r. Podlaski Ogród Ziołowy powstawał od lat 90. z czystej pasji. Przez wiele lat Mirosław Angielczyk nie myślał nawet o biletowaniu wstępu. Kolekcja roślin rozrosła się do imponujących rozmiarów, licząc dziś ponad 1,5 tys. taksonów, w tym 85 gatunków objętych ścisłą i 13 częściową ustawową ochroną. Nie ma w Polsce miejsca, gdzie byłaby zgromadzona większa liczba gatunków roślin użytkowych. Można tu przyjechać na dzień lub dłużej. Miejsce, które nazywa się Ziołowy Zakątek, to dziś także agroturystyka ze 120 miejscami noclegowymi.

Na teren ogrodu Mirosław Angielczyk przeniósł ponad 40 starych, drewnianych budynków. – Jeżdżąc na studia do Warszawy, obserwowałem przez okno autobusu trzy drewniane domki w trzech różnych wioskach. Przez pięć lat widziałem, jak wchodzą w ziemię, zapadają się, niszczeją. Było mi ich strasznie żal, bo dla mnie te drewniane domki, przy których rosły kwiaty, najczęściej malwy, to część wiejskiej kultury. Dlatego gdy tylko zacząłem swoją drugą działalność, czyli agroturystykę, postanowiłem ratować takie budynki – opowiada Mirosław Angielczyk.

Pierwszy dom miał upatrzony już od dawna. – Był bardzo zniszczony, z częściowo zawalonym dachem, ale dla mnie był prześliczny. Miał ponad 150 lat ciekawej historii. Należał do niezbyt zamożnego szlachcica, który sprzedał go Żydom, którzy do drugiej wojny światowej prowadzili tam sklepy z ubraniami. Później dom ten był świadkiem historii miłosnej połączonej nawet z pewną tragedią. Następnie były w nim szkoła, restauracja, wreszcie mieszkania socjalne – wylicza obecny właściciel obiektu. – Większość z przeniesionych budynków ma ciekawą historię. W jednym mieszkali najpierw oficerowie Armii Czerwonej, a później niemieccy żołnierze. Inny to plebania wzniesiona między powstaniem listopadowym a styczniowym, także z niezwykłą historią… Często się zastanawiam, co w takich domach mogło się przez lata wydarzyć. Ile osób się tu urodziło, wychowało, zmarło. I żal mi, gdy ludzie jednym ruchem je niszczą, często wstydzą się takich budynków na swoich obejściach, bo nie pasują one do wzniesionych obok nowych, piękniejszych ich zdaniem, domów – dodaje.

Najcenniejszym uratowanym przez właściciela Ziołowego Zakątka obiektem jest stojący nieco na uboczu XVII-wieczny drewniany kościół. – Powstał jako cerkiew unicka, a kiedy unici się stąd wynieśli, pełnił funkcję cerkwi prawosławnej. W XIX w. zbudowano cerkiew murowaną, a drewniany kościółek oddano katolikom – opowiada właściciel Darów Natury. Ale przed ponad trzema dekadami i katolicy wznieśli murowany kościół, a dawna cerkiew została zdesakralizowana i stała pusta. Mirosław Angielczyk zagadnął ówczesnego proboszcza o możliwość zorganizowania w dawnym kościele wystawy o obecności ziół w obrzędowości. – Po dwóch latach od tej rozmowy odwiedził mnie ksiądz proboszcz i powiedział, że można by rozpocząć starania o uzyskanie zgody konserwatora zabytków na relokację kościoła. Z radością się zgodziłem – wspomina Angielczyk. – Cały czas myślałem o tym, aby zrobić w nim wystawę o ziołach i obrzędowości, ale wszystko zmieniła rozmowa z księdzem biskupem Tadeuszem Pikusem z diecezji drohiczyńskiej. Oprowadzałem go po ogrodzie, pokazywałem zioła wykorzystywane w tradycji chrześcijańskiej. Kiedy doszliśmy do kościoła, ksiądz biskup powiedział, że chętnie by go poświęcił. To mi dodało zapału do pracy. Zrobiliśmy ołtarz, wyposażenie, odrestaurowaliśmy wszystkie detale. Zrobiliśmy to własnymi siłami, bo nie udało się pozyskać żadnej zewnętrznej dotacji. Ale moi pracownicy stanęli na wysokości zadania, wszyscy bardzo się starali.

Podczas uroczystości konsekracji Mirosław Angielczyk mówił ze wzruszeniem, że to jedna z najdonioślejszych chwil w jego życiu. Drewnianą kaplicę wyświęcono pod wezwaniem Matki Boskiej Jagodnej. – Zbieracze ziół traktowali Matkę Boską Jagodną jako swoją patronkę i modlili się do niej przed zbiorami – wyjaśnia właściciel Ziołowego Zakątka.

Mirosław Angielczyk odrestaurował ponad 40 starych drewnianych budynków. Najcenniejszym z nich jest XVII-wieczny kościół FOT. TOMASZ SADOWSKI (3)

Świątynia jest dziś otwarta dla każdego. Codziennie można tam zajść, by się pomodlić. Od początku maja do końca października w sobotnie wieczory odprawiane są tam niedzielne msze święte. W zasadzie co sobota odbywa się tam jakiś ślub, sporo jest chrztów, pojawiają się zorganizowane grupy turystów. Formalnie kaplica należy do rudzkiej parafii.

POWRÓT MATKI BOSKIEJ

Kilka dni po poświęceniu dawnej cerkwi do drzwi Mirosława Angielczyka zapukał mężczyzna z tajemniczym zawiniątkiem pod pachą. Mirosław Angielczyk wspomina: – Pamiętam, że z wielkim namaszczeniem zaczął odkręcać materiał. Owinięta nim była… ikona z XVI w. Kiedy opróżniano cerkiew, jedna z rodzin wzięła ją do siebie i przechowywała przez wiele lat. Gdy kościół znów zaczął służyć wiernym, ten mężczyzna przyniósł ikonę, by wróciła na swoje miejsce. Byłem w takim szoku, że nie pamiętam nawet, kto to był.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a60f4d831b

„POLSKA PIZZA” BARTŁOMIEJA PEJO

Z gastronomią moja rodzina związana jest od kilku pokoleń. Obydwie babcie zawodowo zajmowały się kuchnią. Jedna była wieloletnią szefową szkolnej stołówki, zaś druga kierowniczką lubelskiej restauracji oraz pierwszej pizzerii w Lublinie. Trudno zatem, abym ja był obojętny na kwestie kulinarne... Bywały dni, kiedy jako dzieciak lepiłem pierogi czy gniotłem ciasto na pizzę. Na studiach zazwyczaj to ja przyrządzałem dla kolegów różnego rodzaju potrawy, najczęściej skrzydełka tandoori barbecue. Dzisiaj, jeśli czas na to pozwala, również lubię przebywać w kuchni. Eksperymentuję, mieszam przepisy i „bawię się” różnego rodzaju przyprawami i dodatkami.

Jeśli lubicie pizzę, to tym bardziej polubicie jej polską wersję, a więc podpłomyki. Dawniej przygotowywane były w otwartym palenisku lub piecu chlebowym, dzisiaj spokojnie możemy posłużyć się domowym piekarnikiem. Moja ulubiona pizza i podpłomyk musi być zawsze na śmietanie... Polecam podpłomyk z indykiem, granatem, serem camembert i rukolą na śmietanie.

Składniki (4 porcje):

- 1 szklanka mleka 3,2-procentowego
- 2 szklanki mąki
- 2 łyżeczki oregano
- 1 łyżeczka rozmarynu
- szczypta soli
- 80 ml oliwy
- 150 ml śmietany 18-procentowej
- indyk pieczony lub wędzony 300 g (najlepiej upieczony przez nas)
- 4 duże pieczarki
- 2 sery camembert
- ziarna z 1 granatu
- 80 g świeżej rukoli
- 4 ząbki czosnku

Przygotowanie:

Do miski wlewamy mleko, dodajemy przesianą mąkę, oregano, szczyptę soli i zagniatamy ciasto. Piekarnik rozgrzewamy do temperatury 200 st. C (z termoobiegiem) wraz z blachą. Ciasto rozdzielamy na cztery równe części, wałkujemy na cienkie i okrągłe placki. Rozgrzaną blachę smarujemy częścią oliwy i układamy jeden placek. Pieczemy w piekarniku kilka minut, aż się zarumieni, to samo wykonujemy z drugiej strony. Jedną czwartą część śmietany mieszamy z czosnkiem i rozmarynem, smarujemy cienką warstwą wypieczony placek. Na placek układamy kawałki indyka, plastry camembertu, pokrojone bardzo cienko pieczarki. Pieczemy kilka minut, do rozpuszczenia się sera. Po upieczeniu sypiemy po wierzchu ziarnami granatu i świeżą rukolą, skrapiamy małą ilością oliwy.

Czynność powtarzamy dla kolejnych trzech placków. Smacznego!

©℗ *oprac. raw*

FOT. WYSOKINSKI.COM

Bartłomiej Pejo jest wiceprezesem partii KORWiN (Wolność).

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Grzeczność musi być

JOANNA BOJAŃCZYK

Dyplomowy film Krzysztofa Kieślowskiego w łódzkiej Szkole Filmowej (nie znoszę słowa „filmówka”) to krótki dokument „Urząd” z roku 1966. Kieślowski nakręcił go przy okienku ZUS-u. Stoi przy nim długa kolejka starszych ludzi, cierpliwie znoszących niezrozumiałe wymagania urzędowe i pohukiwanie nieuprzejmej pani w okienku. Film pokazuje zbiurokratyzowaną, nieludzką machinę urzędniczą i bezbronnych ludzi wkręconych w jej tryby.

Pod względem zbiurokratyzowania procedur niewiele się zmieniło, nawet jest chyba gorzej, bo przepisów, niekiedy sprzecznych ze sobą, jest dużo więcej. Znajomy architekt opowiadał mi, że w latach 60., żeby otrzymać pozwolenie na budowę, wystarczyło złożyć jedno, nawet napisane ręcznie, podanie. Dzisiaj potrzebny jest stos dokumentów i zaświadczeń, a i tak buduje się chaotycznie, bo większość Polski nie ma zatwierdzonych planów zagospodarowania przestrzennego.

Jedno, co się zmieniło, to zachowanie urzędników wobec petentów. Nie mogą już na nich pohukiwać, muszą być uprzejmi. Tak zostali nauczeni na szkoleniach poprowadzonych przez PR-owców. Oni z kolei powtarzają rutynę, którą wbito im do głów na szkoleniach zagranicznych i unijnych. Tak jest: grzeczność musi być. Nie tylko w słowie mówionym, lecz także w otoczeniu. Witają nas napisy: „Jesteś mile widziany”, „Witamy serdecznie”. Żegnani jesteśmy rytualnymi: „Zapraszam ponownie”, „Miłego dnia” itp. W miejscach publicznych i komercyjnych: urzędzie miasta, w Biedronce, w Playu. Cóż do zaoferowania miał pod tym względem PRL? „Klient nasz pan” zaledwie...

FOT. ADOBE STOCK

Bardzo to przyjemne zmiany i zapewne należy się z nich cieszyć. Tylko co z tego wynika? Na pewno nie to, że jesteśmy obsługiwani lepiej. Oznacza to tylko sformalizowanie kontaktów ludzkich, zastąpienie ludzkiego języka osobliwym dialektem szkoleń. Nowomową pozorowanej uprzejmości, która z uprzejmością nie ma nic wspólnego. Mową, którą wpuszczamy jednym uchem, a wypuszczamy drugim.

Pewną odmianę tej nowomowy widać w wypowiedziach urzędników w mediach. Ich z kolei przeszkolono, że muszą mówić poważnie i mądrze. Więc mówią poważnie. Ale czy mądrze?

Za to żargonem. Nie ma już zwykłego „nie wiem” – jest „nie mam wiedzy”. Proste i treściwe „teraz”, „obecnie”, „w tej chwili” zostało wyparte przez „na tę chwilę”, „na ten moment”. Zainfekowanie polszczyzny wszechobecnym „na”. Na sklepie, na obiekcie, na pokoju, na sekretariacie…

Na tę chwilę to będzie wszystko. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Nowy Wspaniały Ład

Kiedy człowiek jest filologiem, a co dopiero, jeśli jest tłumaczem, to wie, jaka jest siła słowa. Można przeanalizować historię ludzkości, a właściwie jej konfliktów z punktu widzenia nieporozumień polegających na różnym rozumieniu słów i pojęć. A warto wracać do oryginałów, dlatego często – np. w tłumaczeniach Biblii – trzeba zejść do źródeł, zwłaszcza jeśli chodzi o ważne pojęcia. Dziś też zejdę do oryginału, ale tekstu kompletnie niebiblijnego.

Kiedy analizowałem te wszystkie Nowe Łady, w kolejnych wersjach importowanych z Unii, widziałem pojawiający się coraz wyraźniej trend, który przekierowywał starania z chęci odbudowy na plan budowy nowego. Sama nazwa – Krajowy Program Odbudowy – jeszcze sugerowała, że będzie to działanie nakierowane na spełnienie marzeń wszystkich – powrót do normalności, czyli do tego, jak się żyło przed kowidem. Ale już pojawiał się przymiotnik „nowa" przed normalnością. A więc nie była to obietnica powrotu do dawnych dobrych czasów, ale jakichś nowych, innych.

Wiadomo – nic już nie będzie takie samo, a więc będzie jakoś po nowemu. Dobra. Ale ja widzę, że w skali i światowej, i lokalnej, w każdej prawie dziedzinie, koronawirus i reakcje świata na niego były powodem (pretekstem?) do przyspieszenia i radykalizacji zmian, które bez kowida albo gdzieś tam czekały na swoją dziejową kolej, albo w ogóle nie były artykułowane. I myślenie o tym, że jakiś obszar oprze się tym zmianom, że pozostanie, „jak było", zdaje się już marzycielstwem. Ale dlaczego? Dlaczego radykalizm zmian to już pewnik, a opierający się im ludzie to jacyś wstecznicy?

My też przeszliśmy już z „odbudowy" na Nowy Ład. Jako pewnik. Niech będzie. Ale część naszego ładu jest wprzęgnięta w ład europejski. A ten – i tu wracamy do moich filologicznych rozważań – już niczego nie ukrywa. Nie będzie żadnej odbudowy i powrotu do starego. Europejski Nowy Ład nazywa się „Next Generation UE". Czyli budujemy nowe pokolenie Europy.

Od kiedy szefowie G7 oświadczyli, że zły stan klimatyczny naszej planety spowodowany jest społecznymi nierównościami, zaś w gazetach pojawiły się jak na zawołanie korelacje między dobrobytem a stosunkiem danego państwa do LGBT, widać, że będziemy rodzić Nowy Świat

Reklama w sieci, jak to unijne kawałki, jest dynamiczna i emocjonalna. Najpierw pojawia się zły wirus, taka piłeczka z kolcami, potem rozbija ją strzykawka (napięcie rośnie), potem wyłania się nowy świat. Będzie bezpieczniej, zielono, szybciej i mocniej. I dla każdego, o czym świadczy dyżurna baba z brodą. Wychodzimy z wirusa w nowy świat, tylko nie wiadomo, jak ułożony i przez kogo zarządzany. Po kowidzie (a będzie kiedyś PO kowidzie?) będzie jak po wojnie. Do tej pory to właśnie wojny były takim światowym resetem i katalizatorem zmian. Przesuwały się granice, upadały mocarstwa, wchodzili nowi gracze. Teraz wygląda na to samo, ale chyba za cenę większego resetu, lecz bez ofiar przemocy (może jedynie z ofiarami pandemii).

Dziwiły mnie te emocje wokół zawartości naszego Nowego Ładu. Przecież od razu było wiadomo, że idą pieniądze znaczone. Tyle i tyle na eko, tyle na cyfrówkę, trochę na służbę zdrowia, resztę przeciw wykluczeniom. Nie wiem, o cośmy się tak szastali, że więcej tu, mniej tam? To był polityczno-medialny spektakl, bo kupki zostały już podzielone i przydzielone.

My, prostoduszni Polacy, myśleliśmy, że kasa pójdzie na odbudowę upadłych firm, no bo to w końcu decyzje administracyjne związane z nadgorliwością kowidową powaliły dziesiątki tysięcy biznesów. A pieniądze z Unii na nasz Ład są dedykowane i pójdą na zieloną energię i cyfryzację. Upadli restauratorzy będą się musieli przekwalifikować na speców od fotowoltaiki, zaś zbankrutowani hotelarze na programistów e-commerce. Ciekawe, czy dadzą radę?

A czekają nas poważne zmiany. Zwłaszcza dziwi mnie to połączenie ambicji równościowych z… ekologią. Od kiedy szefowie G7 oświadczyli, że zły stan klimatyczny naszej planety spowodowany jest społecznymi nierównościami, zaś w gazetach pojawiły się jak na zawołanie korelacje między dobrobytem a stosunkiem danego państwa do LGBT, widać, że będziemy rodzić Nowy Świat. Obawiam się, że wcale nie Wspaniały. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Madame Rabiot

Jedną z większych sensacji mistrzostw Europy w piłce nożnej było odpadnięcie faworyzowanych Francuzów (w końcu mistrzów świata) w meczu z przeciętną Szwajcarią. W tym spotkaniu gwiazdy Francji kilka razy się pokłóciły. Ale to się zdarza. Ciekawsze jest to, że równocześnie na trybunach wyzywały się ich rodziny.

Jest taki francuski piłkarz Adrien Rabiot. Całkiem niezły, ale swą sławę zawdzięcza głównie matce. Facet ma 26 lat, ale jest całkowicie podporządkowany rodzicielce, która pełni funkcję jego agenta. Mama jak to mama – bardzo troszczy się o syna i jak sporo matek (przepraszam za uogólnienie) wykłóca się o syna. Różnica jest jedna: większość mam czyni to w czasach przedszkolnych czy szkolnych swych dzieci. Madame Rabiot uprzykrza życie nie nauczycielom, lecz szefom wielkich klubów piłkarskich.

Uczyniła na przykład piekło z życia Leonarda – już byłego dyrektora sportowego PSG. Oskarżała klub o to, że więzi jej syna, i protestowała, że na mecze mogą jeździć partnerki zawodników, ale nie ich matki. Nic dziwnego, że w Paryżu strzeliły korki od szampana, gdy Rabiot przeniósł się do Juventusu Turyn. Pojechał tam oczywiście z mamą, a ta rozpętała awanturę już na lotnisku, gdy starała się nie dopuścić do wywiadu syna z klubową telewizją. Madame Veronique jest postrachem środowiska piłkarskiego i postacią tak znienawidzoną, że prawdopodobnie zahamuje to karierę jej syna. Juventus chce się go pozbyć za wszelką cenę (odkąd mamusia namówiła synka do czegoś w rodzaju strajku), ale wątpliwe, żeby ktoś chciał francuskiego pomocnika, bo to oznaczałoby użeranie się z jego agentką.

Podczas ostatniego meczu ze Szwajcarią pani Rabiot najpierw pożarła się z rodziną Paula Pogby, a potem zaatakowała głośno nieszczęsnego Mbappé, który zmarnował decydującego karnego. A następnie wzięła na cel jego bliskich. Podobno obrzucanie się wyzwiskami trwało dobre 20 minut, a prasa we Francji ma teraz nieliche używanie.

Powiedziałbym, że madame Rabiot jest dość symptomatyczna dla naszych czasów. Chociaż może odwrotnie – to Adrien Rabiot jest symptomatyczny. Nadopiekuńcze matki zdarzały się zawsze, ale dziś działają dłużej i aktywniej, bo mają przyzwolenie od swoich dzieci. 26-letni gwiazdor zarabia mnóstwo pieniędzy i bez problemu mógłby być samodzielnym człowiekiem, ale po prostu nie chce. Jest mu wygodnie, gdy z życiem boksuje się za niego mama.

Wygodnie jest też tym młodym, ale nie bardzo młodym ludziom, którzy wciąż mieszkają z rodzicami i nie myślą się wyprowadzać. Wygodnie było też pewnemu 30-latkowi (na oko), którego widziałem w Decathlonie, jak mama wybierała mu buty sportowe. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

7 grzechów głównych na urlopie

Małgośka, mówią mi, ty taka patriotka, a turystyki krajowej nie wspomagasz, tylko zawsze do tej Hiszpanii. Po pandemii trzeba swoim pomagać! No przecież pomagam, pozwalając rodakom odpocząć ode mnie.

Poza tym urlop w Hiszpanii zawsze oznacza pracę, wywiady i wykańczające ćwiczenia duchowe, czyli jak unikać popełniania grzechów głównych co chwila. Bo co tu kryć: zżera mnie ZAZDROŚĆ. Jakiż to prezent od losu być odciętym od sąsiadów wodą lub pasmem Pirenejów? Budzić się i mieć w nosie, co szykuje Putin i co tam nowego, perwersyjnego w polityce historycznej Niemiec. Mieć zmartwienia jak Hiszpanie: czy dziś słońce będzie grzało, czy raczej naparzało powyżej średniej. Więc wznoszę dezyderaty: „Panie Boże, no ale geopolitycznie to Ty nam dałeś tak popalić, że w czyśćcu to już będzie zupełnie jak w domu. Za to Hiszpanom zafundowałeś takie pejzaże, że żyją w preludium do raju. No wybacz, ale trochę to jakby nie fair, zwłaszcza że my wierniej trwamy przy ołtarzach". Ale idźmy dalej: pokusa GNIEWU! Bo czemu ten nasz Lech polazł za braćmi Czechem i Rusem, zamiast uciekać gdzieś na południe? Przecież powinien wiedzieć, że z rodziną to się wychodzi tylko na zdjęciu. Te słynne Lechy to jednak zawsze jakaś agentura. Ale jakaż CHCIWOŚĆ ogarnia mnie tu, w Walencji! Wczoraj znów byłam w kaplicy ze św. Graalem i pomyślałam, że właściwie to powinni się podzielić z bliźnimi z Polski. Teraz nasza kolej przechować relikwię. Już nawet wezmę na siebie tę małą kontrabandę, bo kielich zmieściłby się w mojej torebce, ale nic z tego. Tutejszy kardynał Cañizares to ponoć jeden z nielicznych wierzących w episkopacie i choć miał akurat mszę, to jednak sobie odpuściłam składanie oferty w imieniu polskich katolików. Zresztą Hiszpanie też łasi na relikwie. Ciężar walki z pokusą LENISTWA: bo leżę na plaży i nawet nie chce mi się prasówki zrobić, a co już mówić, żeby felieton napisać w 40 stopniach. A skoro leżę, nic nie robię i gapię się na pięknych autochtonów, to pokusa NIECZYSTOŚCI gdzieś tam majaczy. Szybko się ogarniam, bo mąż też niczego sobie i w dodatku taki słowiański, że na tle masy rasowych Iberów nagle zyskuje na egzotyce. Co do NIEUMIARKOWANIA W JEDZENIU I PICIU to wyzwanie nieustające 24 h, bo kuchnia hiszpańska jest stokroć lepsza niż francuska i włoska, tyle że ma gorszy PR. No i wreszcie PYCHA: a należał mi się ten urlop! A właśnie, że Wołczyk zasłużyła po całym roku orki na ugorze! No więc sami widzicie, jak ciężko haruję, leżąc na leżaku i opędzając się wachlarzem od szkodliwych pokus i promieni UVA. Czego i państwu życzę! ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pruskie elementy

W okresie zaborów akcentowanie jedności między Gdańskiem, Poznaniem i Wrocławiem, czyli wszystkimi ziemiami dzielnicy pruskiej (większej niż zabór pruski), było ważnym elementem podkreślania przez społeczność polską, że z Prusakami nie jest jej po drodze. Tak było w okresie Wiosny Ludów, gdy powstawała Liga Polska obejmująca działaniem całą dzielnicę pruską. Działacze Ligi, umownie rzecz nazywając, wywodzący się z Poznania, Gdańska i Wrocławia, za swój cel zasadniczy uważali przeciwstawienie się ogłoszonej z trybuny parlamentu frankfurckiego (niemiecka Konstytuanta, w której większość mieli demokraci i liberałowie różnych odcieni) w lipcu 1848 r. zasadzie „zdrowego egoizmu narodowego". Przewidywała ona, że do przyszłych zjednoczonych – nie „odgórnie" przez Prusy „krwią i żelazem", ale zupełnie „wolnościowo" i „oddolnie" – Niemiec należeć miała zdecydowana większość Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Liga Polska – od Poznania do Wrocławia – stawiała temu stanowcze weto, organizując życie polskie na gruncie „robót organicznych".

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Ten program polskiej samomodernizacji był realizowany pomimo starań pruskiej polityki, która już od końca XVIII w. nie kryła, że jej zasadniczym celem jest wytworzenie na naszych ziemiach „amalgamatu"; jego receptura była tak pomyślana, aby polskość (polski kod kulturowy) szybko roztopiła się w „pruskim elemencie".

Po dwóch latach istnienia Liga Polska została rozwiązana przez władze pruskie. Jednak przez kolejne dziesięciolecia polskie „roboty organiczne" trwały, aby – w myśl słów Karola Marcinkowskiego – pobudzać „towarzyskość społeczną" wśród Polaków. Polscy społecznicy z Wielkopolski jeździli na Pomorze i Górny Śląsk, by swoim doświadczeniem w tworzeniu spółek, banków i czytelni ludowych pobudzać odradzające się na tych ziemiach na przełomie XIX i XX w. życie polskie. Jedność i współdziałanie „Poznania, Gdańska i Wrocławia" oznaczały determinację Polaków w chęci zrzucenia z siebie „pruskiego elementu".

Ostatnim, ale za to wyjątkowo spektakularnym akordem tej współpracy był obradujący w Poznaniu od 3 do 5 grudnia 1918 r. sejm dzielnicowy, w którym wzięło udział ponad tysiąc delegatów z Wielkopolski, Pomorza, Warmii i Mazur oraz Śląska. Reprezentowani byli nawet Polacy z Nadrenii. To była potężna demonstracja niezależnego życia polskiego (od razu oprotestowana przez organizacje lokalnej społeczności niemieckiej) oraz niepodległościowych aspiracji całej pruskiej dzielnicy – od „Gdańska przez Poznań do Wrocławia". Parę tygodni później Polacy nad Wartą przeszli od słów do czynów. Wybuchło powstanie wielkopolskie.

Parę lat temu obecny włodarz miasta Poznania – prezydent Jacek Jaśkowiak – zasłynął obchodzeniem rocznicy wybuchu tego powstańczego zrywu, publikując w Internecie swoje foty z urlopu. Ostatnio zaś błysnął tęsknym wspominaniem „pruskiego elementu", który korzystnie odróżniał Gdańsk, Poznań i Wrocław od reszty, w domyśle od „PiS-owskiej Polski" (czy Bismarck już coś wiedział o prezesie Kaczyńskim?).

Słowa te padły 1 czerwca 2021 r., przy okazji spotkania platformianych samorządowców inaugurującego działalność Studium Obywatelskiego im. Pawła Adamowicza z siedzibą w Gdańsku. Tym razem podkreślanie jedności Gdańska, Poznania i Wrocławia ma służyć akcentowaniu nie jedności, ale odmienności od „tej całej reszty". I żalu, że epoka „pruskiego elementu" dobiegła końca. W końcu Prusacy budowali koleje żelazne, drogi bite, stawiali nowoczesne budynki w centrach miast i wprowadzili powszechny obowiązek szkolny z darmowymi kursami rozszerzonej nauki języka niemieckiego.

A jeśli do tego dodamy rewelacje prof. Andrzeja Romanowskiego w „Gazecie Wyborczej" o tym, że to Niemcy uczynili nas chrześcijanami i nauczyli nas łaciny, to mamy wyraźne poczucie, że już nie chodzi o żadne elementy, ale o całościową rekonstrukcję polskiej historii. W jej świetle Dobrawa przyjechała z Monachium, św. Wojciech był biskupem Berlina, pierwszym polskim kronikarzem był Germanicus Anonim, a „Bogurodzicę" napisał nam bliżej nieznany arcybiskup Magdeburga. A co się wydarzyło pod Cedynią, to już wyjaśnił kiedyś Maciej Stuhr. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

USCHŁE DRZEWO

FOT. JV. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Drzewo ci uschło, Gringo?! I nic nie mówisz?!!!

– No przecież właśnie powiedziałem.

– Ale dopiero teraz?! Po roku od uschnięcia?!!! Czyś ty naprawdę taki głupi, czy był jakiś ważny powód milczenia o rzeczach istotnych?

Siedzieliśmy w naszej knajpie i mieliśmy gadać o fajerwerkach na 4 lipca. Z jednej strony Jeff, z drugiej Ed, a na końcu baru jeszcze niejaki Gardziel. I wszyscy trzej byli bardzo oburzeni. Z powodu tego, że im nie wspomniałem wcześniej o jednym uschniętym drzewie? Dziwne…

– Mówię wam, chłopaki, Gringo jaki głupi był, taki głupi jest i taki sam głupi umrze, a nasze nauki nie pomogą nic na to, że ciągle głupi. Staramy się od wielu lat, tłumaczymy, na czym polega życie na prerii, ale to nic nie daje. Głupiego nie zmądrzysz i tyle.

– A może po prostu głupio tłumaczycie tę prerię, skoro ja tak mało rozumiem? – próbowałem się bronić.

– Bezczelność!

– Uschło mi jedno drzewo. Powiedziałem wam o tym dzisiaj, a nie wcześniej, bo mnie to suche drzewo nie przeszkadzało. Ale gdy zaczną się wichury, nie chcę, żeby je wyrwał wiatr i walnęło w dom lub rozwaliło auto. Dlatego dzisiaj wam powiedziałem, że uschło, bo któryś z was na pewno ma piłę łańcuchową. I być może nawet tutaj, przy sobie, na pace pick-upa. I wtedy pojedziemy do mnie, wytniemy to drzewo, porżniemy na kawałki, a zimą je spalę w kominku. Koniec tematu.

– Gringo… – Jeff załamał ręce nad moim beznadziejnym przypadkiem. – A czy wiesz chociaż, czemu ci to drzewo uschło?

Przy barze zapadła znacząca cisza. Najwyraźniej wszyscy poza mną znali odpowiedź i dlatego patrzyli na mnie jak na głupka.

– Uschło, bo… stare? – straciłem pewność, a nabrałem przekonania, że oni wiedzą coś, czego nie wiem ja.

– Czy tam w pobliżu są jakieś inne drzewa, które też uschły? Czy tylko to jedno?

– Tylko ono.

– A czy w odległości 30 kroków od tego uschniętego rosną sobie nadal jakieś inne podobne drzewa?

– Rosną.

– To czemu to jedno uschło?

– Nie wiem.

– Gringo nie wie, chłopaki!!! Ale nie przyszło mu do głowy, żeby w takim razie z nami pogadać o tak dziwacznej anomalii.

Chłopaki kiwały głowami i załamywały ręce nad moim losem… wioskowego głupka.

– I w ten sposób nasz Gringo przetracił w ciągu ostatniego roku tysiące dolarów, ech.

– Nic nie przetraciłem! Jedno uschnięte drzewo… Jakie znowu dolary?

– No i widzicie, chłopaki, nie myśli nawet po tym, gdy mu się podetknie oczywistą wskazówkę na złotej tacy.

– Dobra, głupi jestem i głupi będę, ale o co chodzi z tym drzewem? Powiecie czy nie?

– Powiemy ci i niech będzie nasza strata. Otóż drzewa nigdy nie usychają bez powodu. Albo ze starości, albo od robactwa, albo coś ci się wylało pod tym drzewem, ale jakiś powód zawsze być musi. Więc... Jeżeli powodu nie widać gołym okiem na powierzchni, to…

– To znaczy, że powód musi być w korzeniach? – nie wiedziałem, co mi chcą powiedzieć, ale strzelałem ślepakami, dla poprawy wizerunku.

– No widzisz Gringo, czasami myślisz. Pod tym drzewem coś jest. Korzenie przebiły się do czegoś, co je ostatecznie zatruło. Co to może być? Żyła trującej wody? Bardzo wątpliwe. Nie tu, bo tu wody nie ma w zasadzie żadnej i dlatego nasze studnie sięgają 10 razy głębiej niż najgłębsze korzenie. Na co więc trafiło twoje drzewo? Żyła ołowiu? Siarki? Na coś te korzenie trafiły i dlatego… Tobie nie piła potrzebna, ale buldożer, żeby to drzewo wyrwać i zobaczyć, co tam jest pod spodem.

– A co tam może być?

– Najprawdopodobniej ropa.

– Naftowa? – spytałem głupio.

– No a jaka inna bywa pod ziemią?

– Czyli co? Drzewo mi wykryło ropę i teraz jestem bogaty?

– Niekoniecznie bogaty, bo to może być niewielki pokład, taki podziemny bąbel, no ale jest szansa, że przez jakiś czas będziesz musiał nam stawiać drinki.

– Za co?

– Nasze udziały za pomoc w znalezieniu złoża ropy – powiedzieli zgodnym chórem.

– Ile chcecie, bandyci?

– My nic nie chcemy. Nam się słusznie należy!

– Nawet nie ruszyliście tyłków z tej knajpy, to za co wam się należy udział w mojej ropie?

– Za KONCEPCJĘ, na którą ty sam nie wpadłeś. A poza tym zaraz ruszymy tyłki, weźmiemy sprzęt i się zobaczy, co tam jest konkretnego.

Barman wrzucił nam na pakę skrzyneczkę piwa w lodzie i… pojechaliśmy.

***

W USA można mieć własną ropę i ja mam – tam. Gdyby ta scena miała miejsce w Polsce, miałbym kłopoty, a nie dolary na drinki. W Polsce prawo takie, że NIE DAJ BOŻE znaleźć na swojej ziemi pokłady czegokolwiek. Nie daj Boże odkryć węgiel, złoto, ropę czy gaz. A jeżeli znajdziesz, to NIE ZAWIADAMIAJ NIKOGO, lecz ukryj ten fakt, bo ci tę twoją ziemię zabierze państwo, a ty nie dostaniesz nic poza marnym odszkodowaniem i nakazem wysiedlenia.

Czy to jest dobre i pożyteczne prawo? Ono powoduje, że polski obywatel nie chce znaleźć ropy, bo gdy ją znajdzie, to ona nie należy do niego, lecz do państwa. Nawet skarbów nie opłaca się szukać, bo gdybyś znalazł, to BĘDZIESZ MIAŁ KŁOPOTY, a nie pożytek.

Święto Niepodległości w USA dotyczy niepodległości osobistej obywateli. Święto Niepodległości w dowolnym kraju europejskim dotyczy niepodległości jednego państwa wobec innych państw. Dwie różne koncepcje, choć nazwa ta sama. ©℗

eprasa.pl a60f4d831b

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

S. KOPER, T. STAŃCZYK
„NAJDALSZE KRESY.
OSTATNIE POLSKIE LATA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~929~~ ZŁ

339,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 590 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a60f4d831b

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

URODZIŁAM SIĘ NA PAWIAKU. ROZMOWA Z OFIARĄ III RZESZY

Ryszard Kaczmarek – **Boje powstań śląskich**
Tomasz Stańczyk – **Dramat Korfantego**
Piotr Zychowicz – **Dlaczego Hitler przegrał wojnę**
Sławomir Koper – **Tajemnica śmierci Warneńczyka**
Jacek Bartosiak – **Przyszła wojna Polski z Rosją**
Mikołaj Iwanow – **Romans Mannerheima**
Sławomir Cenckiewicz – **Między Hitlerem a Stalinem**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a60f4d831b